tygodnik społeczno-kulturalny
Łódź
odgłosy
NR 49 (1200) ROK XXIII 7 GRUDNIA 1980 R. CENA 3 ZŁ

NIE MA ODWROTU

Rozmowa z I sekretarzem KŁ PZPR — TADEUSZEM CZECHOWICZEM

(Czytaj strona 3)

GUSTAW ROMANOWSKI

PARTIA TO PRZEMYŚLI...

Dyskusja nad takim przekształceniem dotychczasowej praktyki działania partii, aby jej funkcja i miejsce w społeczeństwie odpowiadały potrzebom państwa demokratycznego, należy do jednego z najczęściej poruszanych tematów na zebraniach partyjnych. Nie tylko zresztą na zebraniach. W wypowiedziach szeregowych członków partii, które słyszy się na zebraniach partyjnych różnych środowisk, wiele miejsca zajmuje kilka najbardziej nabrzmiałych problemów, rzutujących na pozycję kryzysową w łonie samej partii. O tym dyskutują zresztą także bezpartyjni, co jest zrozumiałe, skoro od zarania Polski Ludowej instrumentem mobilizacji społeczeństwa była jego aktywność wokół kierowniczej roli partii.

Pierwszą ze spraw poruszanych wyjątkowo często, jest

CZYSTOŚĆ SZEREGÓW PARTYJNYCH

Uprawiany przez ubiegłe lata model partii masowej za wszelką cenę, doprowadził nie tylko do przeniknięcia w jej szeregi „elementów karierowiczowskich i oportunistycznych" — jak to się potocznie określa, ale spłaszczył, też lub niejednokrotnie rozmydlił pozycję organizacji politycznej jako awangardy klasy robotniczej. Stawianie wskaźników ilościowych przy pozyskiwaniu nowych członków partii, spowodowało że kryteria jakościowe bywały nazbyt często traktowane tylko statystycznie. „Fachowiec, nie

PRZED IX ZJAZDEM PZPR

karany, nie bije żony", albo „spokojny pracownik, nie wadzi nikomu", wystarczyły nie raz i nie dwa, za wystarczające powody kwalifikacyjne i za całą siłę argumentacji rekomendujących. A przecież ludzie tacy nie powinni się byli w partii znaleźć. Nie wystarczy być bowiem spokojnym fachowcem, który nie wadzi nikomu, żeby stawać się pełnoprawnym członkiem organizacji politycznej i dziś podkreślają to także samokrytycznie ci, którzy w takich masowych rekomendacjach brali udział.

Ta praktyka jest więc obecnie powszechnie potępiana. Ale świadczy ona źle nie tylko o najwyższych formatorach oblicza partii, nie tylko o ich nadgorliwych wykonawcach w terenie, ale także o bezkrytycyzmie tych szeregowych członków partii, którzy chętnie podpisywali deklarację niezbyt sobie nawet dobrze znanych współtowarzyszy pracy.

W ten sposób, jak to się powszechnie podkreśla, w szeregach partii znalazły się tysiące ludzi biernych, bezideowych, obojętnych. Partia nie miała i nie ma z nich żadnego pożytku — podkreśla się dziś w krytycznych wypowiedziach — ponieważ działająca w społeczeństwie organizacja polityczna nie może się opierać na biernej masie frekwencyjnej ludzi w swych przekonaniach apolitycznych, czyli niezdolnych zarówno do afirmacji idei, której formalnie służą, ani też do krytycznego spojrzenia na dziejące się nieprawości, deformacje i odstępstwa od zasad moralności.

To bierność i obojętność stały się tymi cechami, które ciągnęły partię w dół, gdyż dzięki bierności postaw wielu szeregowych członków partii, przeniknąć mogli w jej szeregi i swobodnie działać ludzie amoralni — owi karierowicze, oportuniści, cwaniacy i — dziś mówimy

Dalszy ciąg na str. 4

Foto: R. Łucyszyn

BOGDA MADEJ
KONRAD FREJDLICH

fakto-montaż

Oświadczenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność", ogłoszone 19 listopada 1980 r. w Szczecinie, nie pozostawiało żadnej wątpliwości: **„...podwyżka płac włókniarzy w ramach realizacji zasad porozumienia gdańskiego powinna spełniać zasadniczą intencję określonej w tym porozumieniu polityki społecznej naprawienia istniejących krzywd, a więc uwzględnienia w podwyżkach w pierwszym rzędzie zarówno kategorii najniżej zarabiających w ramach poszczególnych zawodów, jak i zawodów o rażąco niskim poziomie płac. Rozumiejąc bardzo trudną sytuację ekonomiczną kraju i konieczność kompleksowego załatwiania sprawy układów zbiorowych celem uniknięcia podwyższenia płac, które nie znajdą pokrycia na rynku, Krajowa Komisja Porozumiewawcza uważa, że sytuacja w przemyśle włókienniczym jest szczególnie krzywdząca i wymaga załatwienia poza normalną kolejnością."**

W ślad za tą deklaracją, następnego dnia, Tymczasowa Komisja Włókniarzy „Solidarności" wystosowała apel do załóg przemysłu lekkiego, w którym stwierdzała, że prowadzone z resortem już od 18 paź-

Dalszy ciąg na str. 8—9

Tadeusz Dubicki
Krzysztof A. Kuczyński

układ nie spełnionych nadziei

Dziesięć lat temu, 7 grudnia 1970 r. został podpisany w Warszawie układ o podstawach normalizacji stosunków między PRL a RFN. Podjęcie inicjatywy normalizacji nastąpiło w istotnym momencie politycznego rozwoju Europy, gdy w końcu lat 60 pojawił się wyraźny trend odprężeniowy na linii Wschód — Zachód. Należy przy tym przypomnieć, że był on przez długi czas hamowany stawianiem warunku rozwiązania tzw. problemu niemieckiego. Parła do tego RFN wysuwając konieczność zawarcia traktatu pokojowego ze zjednoczonymi Niemcami jako warunek sine qua non bezpieczeństwa europejskiego.

Tak określony cel strategiczny polityki zagranicznej rządów chadeckich znajdował w okresie „zimnej wojny" poparcie u jego zachodnich sojuszników, dążących do destabilizacji sytuacji polityczno-militarnej w Europie Środkowej. Sprzyjało to eskponowaniu w ówczesnej zachodnioniemieckiej polityce haseł, których symbolem stała się osławiona doktryna Hallsteina, wychodząca z założenia o nieruszalności granic z 1937 r., negująca przez to zasady powojennego ładu w Europie. Można stwierdzić, że wokół problematyki niemieckiej ogniskowały się główne rozbieżności i sprzeczności interesów państw NATO i Układu Warszawskiego.

Wraz z procesem odchodzenia od polityki zimnowojennej powszechne przeświadczenie o trwałości powojennych rozstrzygnięć w Europie zaczęło sobie zdobywać prawo obywatelstwa. W tej sytuacji spadkobiercy III Rzeszy musieli pod groźbą izolacji politycznej zaakceptować je.

Do rozmów między rządami PRL i RFN doszło w następstwie polskiej inicjatywy z 17 maja 1969 roku, w której zaproponowano zawarcie dwustronnego układu uznającego granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, co miało stanowić podstawę normalizacji wzajemnych stosunków. Motywem, którym Polska kierowała się wychodząc z tą propozycją, było przeświadczenie, że uznanie przez RFN zachodniej granicy zlikwiduje potencjalne ognisko konfliktu. Z tego też względu dyplomacja polska wielokrotnie podkreślała, że „dla Polski nie ma problemu granic, istnieje tylko problem pokoju, który dotyczy całej Europy".

Realizacji polskiej propozycji sprzyjała ówczesna sytuacja międzynarodowa jak też wewnętrzna w Republice Federalnej, gdzie jesienią 1969 r. został utworzony po raz pierwszy w historii koalicyjny rząd SPD i FDP. Liderzy koalicji — Willi Brandt i Walter Scheel sformułowali zasady tzw. nowej polityki wschodniej, w której opowiedzieli się za porozumieniem z krajami socjalistycznymi, w tym z Polską.

Nie oznaczało to jeszcze identyczności poglądów obu stron na problem normalizacji — rząd Brandta-Scheela dążył bowiem do zawarcia układu o rezygnacji z użycia siły, co miało być także formą uznania przez RFN de facto, ale nie de jure granic Polski, w tym jej zachodniej linii.

Dalszy ciąg na str. 5

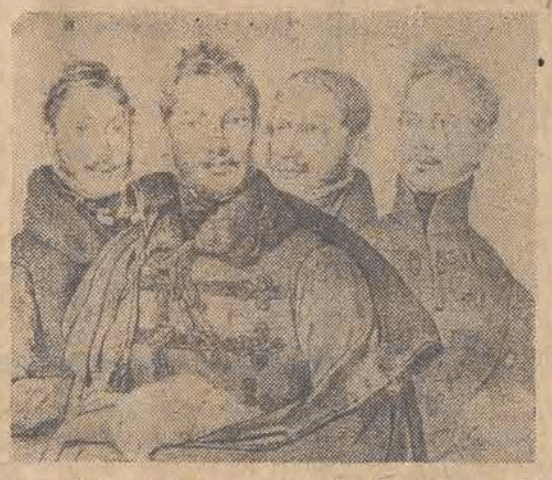

Uczestnicy napadu na Belweder: Leonard Rettel, Edward Rottermund, Roch Rupniewski, Karol Paszkiewicz, Walenty Krosnowski, Wincenty Kobylański, Aleksander Świętosławski. (Litografie: Villaina)

WIESŁAW PUSZ

(2)

DLACZEGO MUSIAŁO WYBUCHNĄĆ?

„KSIĄŻKA POD STÓŁ, BROŃ NA RAMIĘ"

Zawód płynący z ustanowienia w takiej, a nie innej postaci Królestwa Polskiego oraz podział społeczeństwa na zadowolonych i rozgoryczonych — upraszczając rzecz z konieczności — doprowadziły do bujnego rozkwitu stowarzyszeń niepodległościowych. Historiografia polska z dziwnym i długotrwałym uporem dzieli nierównomiernie w tej kwestii swą uwagę. Konspiracja „dorosła", to znaczy przede wszystkim Wolnomularstwo Narodowe i później Towarzystwo Patriotyczne doczekała się szeregu opracowań w tym dwóch monografii *Szymona Askenazego* i *Hanny Dylągowej*. Natomiast pro-

Dalszy ciąg na str. 13

OD KILKU dni w Polsce przebywa delegacja pisarzy radzieckich Anatol Ananiew — przewodniczący delegacji sekretarz Zarządu Związku Pisarzy ZSRR, Wiktor Borysow, Marina Tarasowa i Franc Taurin. We wtorek 2 bm. radzieccy goście odwiedzili nasze miasto. W Oddziale Łódzkim ZLP spotkali się z przedstawicielami Zarządu, tłumaczami i wydawcami, w siedzibie TPPR przyjął ich sekretarz KŁ PZPR Jan Nosko, w spotkaniu uczestniczył aktyw kulturalny TPPR.

W BIEŻĄCYM roku jubileusz 65-lecia pracy artystycznej obchodzi prof. Maria Wiłkomirska, uhonorowana zaszczytnym tytułem Zasłużony Nauczyciel PRL, od 1945 roku związana z łódzką Państwową Wyższą Szkołą Muzyczną. Z tej okazji w sali koncertowej PWSM odbędzie się uroczysty koncert. W części pierwszej koncertu usłyszymy I Trio H-dur J. Brahmsa w wykonaniu „Tria Wiłkomirskich" w składzie: Maria Wiłkomirska (fortepian), Wanda Wiłkomirka (skrzypce) i Kazimierz Wiłkomirski (wiolonczela). Drugą część koncertu wypełnią wychowankowie jubilatki: Danuta Dworakowska, Tadeusz Chmielewski, Jerzy Godziszewski i Jerzy Marchwiński.

W AOK — 30 listopada br. rozstrzygnięto coroczny Konkurs Literacki pod patronatem ZŁ SZSP. Jury pod przewodnictwem Henryka Pustkowskiego przyznało nagrody w dziedzinie poezji: drugą (pierwszej nie przyznano) — Jackowi Maciaszkowi, dwie trzecie — Witoldowi Bednarkowi i Jarosławowi Zielińskiemu. Trzy wyróżnienia otrzymali: Zdzisław Boguszewicz, Dariusz Kądziela i Jacek Maciaszek. W dziedzinie prozy nagrodę drugą (pierwszej również nie przyznano) otrzymał Bohdan Zajkiewicz. Dwie trzecie przyznano Grzegorzowi Dłubakowi i Tadeuszowi Wibigowi.

Ponadto odbył się turniej Jednego Wiersza, w którym nagrodę otrzymał Jacek Maciaszek.

W PONIEDZIAŁEK 8 bm. w Teatrze Wielkim odbędzie się specjalne przedstawienie „Strasznego dworu" Stanisława Moniuszki, z którego dochód przeznaczony zostanie na fundusz NSZZ „Solidarność".

KRONIKA KULTURALNA

CENNĄ WSPÓŁPRACĘ nawiązał Wojewódzki Dom Kultury w Kaliszu z łódzkim Teatrem Lalek „Pinokio". W najbliższą sobotę otwarta zostanie tam stała scena „Pinokia". W jedną z sobót i niedziel każdego miesiąca kaliskie dzieci będą miały okazję obejrzeć spektakle łódzkiego teatru. Jako pierwsza wystawiona zostanie „Ballada o bochenku chleba" E. Wojnarowskiego.

W CENTRALNYM MUZEUM WŁÓKIENNICTWA czynna jest ekspozycja z cyklu „Debiuty" prezentująca artystyczne i warsztatowe możliwości czwórki młodych artystów tkaczy: Marii Kostrzewskiej, Grażyny Kruzerowskiej, Bojany Hristowej-Leżnockiej i Konrada Zycha.

W ROKU przyszłym w związku z obchodami rocznicy śmierci i 10 rocznicy beatyfikacji ojca Maksymiliana Kolbego w jego domu rodzinnym w Zduńskiej Woli powstanie muzeum. Przygotowano już projekt architektoniczny. Napływają pierwsze eksponaty. Projektuje się nadanie jednej z ulic w Zduńskiej Woli imieniem Maksymiliana Kolbego.

W PIĄTEK 28 bm. w salach restauracyjnych Klubu Środowiska Kultury (al. Kościuszki 33) odbyła się impreza pt. „Noc poezji i jazzu". W programie utwory poetów: Z. Boguszewicza, J. Borszewicza, Z. Dominiaka, B. Jachowicza, J. Jarniewicza, J. Krakowskiego, K. Kwiatkowskiej, B. Markowicza, B. Nadgórskiej, K. Ostaszewskiego, W. Wiśniewskiego i J. Wojdeckiego. Wiersze recytowali aktorzy scen łódzkich. Odbyły się także koncerty jazzowe zespołów Kwintetu Janusza Muniaka oraz Little Group of Jazz Standard.

ZAKOŃCZONY ZOSTAŁ etap wojewódzki konkursu placówek kulturalno-wychowawczych spółdzielczości mieszkaniowej zorganizowanego przez Zarząd Główny TPPR Centralny Związek Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego oraz redakcję tygodnika „Przyjaźń". Uczestniczące w konkursie kluby i domy kultury współzawodniczyły ze sobą w organizowaniu imprez propagujących idee przyjaźni i współpracy między Polską i ZSRR, imprez upowszechniających rzetelną wiedzę o Kraju Rad, o jego osiągnięciach i życiu mieszkańców.

Główną nagrodę ufundowaną przez Zarząd Łódzki TPPR i pierwsze miejsce w etapie wojewódzkim konkursu zdobyła świetlica Ozorkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. II miejsce przypadło Społecznemu Domowi Kultury RSM „Lokator", a III Osiedlowemu Domowi Kultury Pabianickiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

ZESPÓŁ TEATRALNY „Jamb" działający przy Zespole Szkół Handlowych nr 2 w Łodzi zaprasza na nową premierę. Wystawiona zostanie sztuka Irvina Shawa „Pogrzebać umarłych". Spektakl reżyseruje Marek Wysocki z PWSFTviT.

1 GRUDNIA rozstrzygnięto Turniej jednego Wiersza o Laur Stanisława Czernika — Zima 1980, organizowanego przez Wydział Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź—Widzew, Dzielnicową Bibliotekę Publiczną Łódź—Bałuty im. Stanisława Czernika, oraz Koło Młodych przy Oddziale Łódzkim ZLP. Jury Turnieju w składzie: Henryk Pustkowski, Bohdan Jachowicz, Henryk Zasławski i Andrzej Adler dokonało następującego podziału nagród: I nagroda — Jarosław Borszewicz, II — Roman Gorzelski, dwie II ex aequo — Mieczysława Kucharska i Anna Zwolińska. Nagrodę publiczności zdobył Jarosław Borszewicz.

KOLEJARZE RAZ JESZCZE

Mój artykuł „Godziny szczerości" („Odgłosy" nr 45 z dnia 9.11.1980), dotyczący lokomotywowni na stacji Łódź-Olechów, spowodował istną lawinę listów do redakcji, telefonów, odwiedzin. Niektóre z tych listów już opublikowaliśmy, inne czekają swojej kolejki. Ale wśród nadchodzącej do redakcji korespondencji są i takie, które wymagają odrębnego, szczególnego potraktowania. Są to listy z dołączonymi dokumentami, listy-skargi i listy-petycje. Ludzie wierzą nie tyle może w zbawcze działanie samej prasy, ile są przeświadczeni, że być może teraz, po latach, ktoś przyzna im rację, ktoś przywróci im odebrane dobre imię. Jedni nie ukrywają swoich nazwisk, inni proszą a anonimowość, jeszcze inni ciągle obawiają się tych, którzy wyrządzili im niegdyś krzywdę, a dziś, mimo odnowy, pozostają na wysokich, eksponowanych stanowiskach.

Oto fragmenty niektórych listów. Pisze Zygmunt Talma ze stacji Łódź-Olechów: „Jestem jednym z wielu, którzy byli szykanowani, gnębieni i poniewierani przez towarzyszy sekretarzy Komitetu Zakładowego PKP Łódź—Olechów (nie tylko ja, ale również mój syn, Lucjan, bezpartyjny). Byłem jednym z nielicznych, którzy próbowali się przeciwstawić tym niecnym praktykom stosowanym przez tow. Kanieckiego (dziś sekretarz KD Łódź-Bałuty — przyp. E.I.), Mrozińskiego i Pietrasika. W powyższych sprawach występowałem na zebraniach partyjnych, a w miesiącu wrześniu 1979 napisałem skargę, którą złożyłem osobiście na ręce I sekretarza KD Łódź-Widzew... W miesiąc później wezwano mnie do Komisji Kontroli Partyjnej przy KD i powiedziano, że nie mam racji. Po kilku następnych tygodniach ponowiono ze mną rozmowę..., gdzie próbowano mnie nakłonić do wycofania skargi i przeproszenia Kanieckiego, czemu się kategorycznie sprzeciwiłem".

W załączonym do listu dokumencie (4 strony maszynopisu), będącego kopią pisma skierowanego do Komisji Kontroli Partyjnej przy KŁ PZPR, Zygmunt Talma szczegółowo wyjaśnia przyczynę konfliktu pomiędzy nim a ówczesnym kierownictwem Komitetu Zakładowego. Pisząc swój list Z. Talma nie domaga się niczego dla siebie, chce, aby prawdzie stało się zadość. Dodam od siebie, że Z. Talma pełnił przez kilka kadencji funkcję sekretarza POP, sekretarza propagandy, ławnika Sądu Powiatowego oraz przewodniczącego Zakładowej Komisji Ekonomicznej. Jest absolwentem WUML.

Inny list, przysłany przez starszego adiunkta KP, Kazimierę Skorupską, którą karnie przeniesiono z Olechowa na stację Łódź-Kaliska. Z jego treści wynika, że owa pracownica pochodząca z rodu działaczy partyjnych i związkowych, nie chciała tolerować istniejącego stanu rzeczy na stacji Łódź-Olechów. „I chociaż uprzedzono mnie o tym — pisze ona — że sekretarz Kaniecki mnie „zgnoi", zwróciłam się do niego z zapytaniem, dlaczego toleruje taką sytuację, przecież to godzi w dobre imię partii. Na to tow. oburzony stwierdził, że jestem wrogiem partii, i że takich jak ja należy tępić. Następnie zwołał plenum KZ, na którym polecił mojemu przełożonemu zwolnić mnie z pracy. Ponieważ zawiadowca, Tomasz Derwisiński, kategorycznie się temu sprzeciwił, na wniosek KZ został przeniesiony służbowo do oddziału budynków PKP". Z dalszej treści listu wynika, że owa towarzyszka usiłowała się bronić, ale bez skutku. „Napisałam o tym wszystkim, bardzo obszernie, do Komisji Kontroli Partyjnej przy KW PZPR w Łodzi...".

Na zakończenie fragmenty jeszcze jednego listu, najobszerniejszego, z dołączonymi doń dokumentami. Jego autorką jest referentka ze stacji Łódź-Fabryczna. Ona także pracowała niegdyś na Olechowie, także próbowała „walczyć z olechowską kliką w 1976 roku", i także przegrała. „Musiałam odejść — pisze — i straciłam stanowisko, choć teraz tego nie żałuję, bo pracuję w spokoju, a „towarzysze" mówiący „partia — to ja" zaczynają być rozliczani, nareszcie. Szkoda, że to tylko „płotki", wychowańcy tow. Kanieckiego, a on sam zmienił tylko teren...".

List jest bardzo długi, szczegółowy, poparty dokumentacją. Autorka snać wierzy we wszechmoc prasy, przedstawiając swoją niełatwą drogę w czasie pracy na KP. Niestety, nie do redakcji należy oficjalne prawo rehabilitacji...

Na zakoczenie, konkluzja. Otóż, nadesłane listy moglibyśmy wydrukować, jak to często czynimy. Ale tym razem okazało się to niemożliwe, bowiem każdy z nich wymaga odrębnego, wnikliwego rozpatrzenia, gdyż za każdym kryje się głęboki dramat ludzki. Z drugiej strony, listy te mają z sobą wiele wspólnego, dotyczą tych samych spraw i tych samych ludzi. Dziś wiemy, że na stacji Łódź-Olechów dokonały się istotne zmiany, że trwa tam przebudowa organizacji partyjnej, że przywraca się właściwe znaczenie słowu: partia. Jestem przekonany, że robotnicy, ludzie uczciwej i rzetelnej roboty, nie tylko odzyskają utracone stanowiska, lecz i zostanie im przywrócona ich robotnicza godność.

EUGENIUSZ IWANICKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

Nie ma dnia aby politycy i prasa zagraniczna nie zabierali głosu na temat wydarzeń w Polsce. W żadnym innym kraju nie są teraz tak uważnie śledzone różne przejawy życia politycznego, społecznego i gospodarczego, jak właśnie w naszym. I nie są to tylko agencyjne informacje o tym, co się w przeddzień zdarzyło. Wiele miejsca zajmują również komentarze, analizy, prognozy... Centralna prasa polska niemal codziennie informuje o tych zagranicznych reakcjach. Co jest dla nich charakterystycznego? Przede wszystkim **wzrost zaniepokojenia tym, co dzieje się w naszym kraju.** Ciągle utrzymująca się destabilizacja sprawia, że Polska stała się po prostu ośrodkiem światowego napięcia o „trudnych — jak to napisał jeden z dzienników amerykańskich — do przewidzenia konsekwencjach". Otóż właśnie obawa, **czy wydarzenia w Polsce nie będą negatywnie rzutować na rozwój sytuacji międzynarodowej**, każe doradzać różnym siłom (a nie rządom, które nie ingerują w wewnętrzne stosunki), aby zaniechały swej podgrzewającej działalności. Nie ulega przecież wątpliwości, że siły antysocjalistyczne w kraju pozostają w kontakcie z tymi ośrodkami. Wykazano to już wiele razy na łamach prasy polskiej.

Europa, a można nawet powiedzieć: świat, **uznają Polskę**, będącą ogniwem socjalistycznej wspólnoty, **za czynnik stabilizacji odprężenia.** Tymczasem ciągła nerwowość życia politycznego w kraju rodzi niepewność i zagrożenie. Przykro jest czytać, że nasz kraj, który tyle przecież zrobił dla europejskiego pokoju i równoprawnej współpracy i jest autorem lub współautorem wielu inicjatyw o jeszcze szerszym, bo światowym zasięgu, teraz wymieniany jest jako jeden z powodów eskalacji napięcia. Te siły w kraju które winne są naruszania politycznej równowagi w ich egoistycznym interesie, wydają się tego międzynarodowego aspektu nie dostrzegać lub też go wręcz lekceważą. A w tej chwili chodzi już nawet o coś więcej niż tylko o dobre imię Polski — **o europejski pokój.** Taka jest wymowa większości poważnych publikacji, jakie o Polsce ukazują się poza naszymi granicami.

Nie można było przeglądu aktualiów międzynarodowych nie zacząć od tego tematu — po wysokim napięciu w ub. tygodniu, wywołanym w Warszawie i jej okolicach na tle zatrzymań z powodu nielegalnego powielania tajnych dokumentów.

Z tym, co napisaliśmy powyżej, koresponduje w minionym tygodniu kilka wydarzeń, a w tym **wizyta w Warszawie ministra spraw zagranicznych CSRS — Chnioupka**, jego rozmowy z kierownictwem partii, państwa i rządu.

Wspólny komunikat ogłoszony w prasie codziennej o przebiegu wizyty podkreśla znaczenie przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy między Polską i Czechosłowacją, **podkreśla raz jeszcze** znaczenie wspólnego działania ze Związkiem Radzieckim na rzecz dalszego zacieśniania współpracy w ramach Układu Warszawskiego oraz Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, a także umacniania międzynarodowej pozycji państw wspólnoty socjalistycznej. Potwierdza również wolę dwóch państw utrzymania pokoju i odprężenia oraz działania w celu zapoczątkowania rozbrojenia. „Odprężenie w stosunkach Wschód — Zachód — czytamy w komunikacie — jest jedyną rozsądną i korzystną dla wszystkich narodów Europy i świata alternatywą kształtowania stosunków międzynarodowych".

Przedmiotem rozmów ministrów spraw zagranicznych było oczywiście także trwające w Madrycie spotkanie przedstawicieli 35 państw. Obie strony **wyraziły przekonanie, że przyniesie ono umocnienie polityki odprężenia** i uzgodnienie porozumień co do dalszych kroków, służących pokojowi, bezpieczeństwu i współpracy na kontynencie europejskim. Przeciwstawiają się one jednocześnie próbom niektórych zachodnich delegacji narzucania atmosfery konfrontacji i bezowocnych polemik z uszczerbkiem dla ustalenia środków, służących dalszemu utrwalaniu procesu odprężenia.

A co się dzieje w Madrycie? O dotychczasowym przebiegu spotkania **mówił w tych dniach minister M. Dobrosielski.**

Początek nie był zachęcający. Nacisk Stanów Zjednoczonych sprawił, że niemal wszystkie państwa zachodnie chciały uczynić z wydarzeń afgańskich i swoiście pojmowanych praw człowieka centralny temat spotkania. Państwa socjalistyczne nie dały się jednak sprowokować.

Obecny etap spotkania, który potrwa do przerwy świąteczno-noworocznej, poświęcony jest debacie o realizacji Aktu Końcowego KBWE. W drugiej części spotkania nastąpi składanie propozycji. Już wiadomo że wówczas zgłoszony zostanie wniosek o rozszerzenie odprężenia na dziedzinę militarną i zwołanie konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia. Polska podtrzymuje propozycję, aby ta konferencja odbyła się w Warszawie.

W. SŁAWSKI

WALNE ZEBRANIE ZLP

W minioną niedzielę w siedzibie Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich odbyło się walne zebranie, na którym pisarze dyskutowali o sprawach ogólnokrajowych. Z wielką troską i powagą mówiono o przyszłości literatury i o jej miejscu w życiu narodu, zastanawiano się nad dalszym losem kultury w naszym mieście, spierano się nad jej modelem integracyjnym.

Wybrano także delegatów na walny zjazd Związku Literatów Polskich, jaki odbędzie się w Warszawie w dniach 28—29 grudnia br.

Środowisko literackie Łodzi reprezentować będą:

Tadeusz Gicgier
Jan Huszcza
Mieczysław Kucner
Ziemowit Skibiński
Jerzy Wawrzak
Andrzej Wilczkowski
Józef Wiśniewski

Poniżej drukujemy rezolucję podjętą przez pisarzy podczas zebrania.

REZOLUCJA

Pisarze Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich zgromadzeni na Walnym Zebraniu w dniu 30 listopada 1980 roku wyrażają swoje zaniepokojenie podejmowanymi próbami prowokacyjnych wystąpień godzących w procesy demokratyzacji i odnowy życia społecznego, zachodzących w Polsce.

Ostrzegamy przed szkodliwością podejmowania takich prób między innymi w środowiskach robotniczych i studenckich w Łodzi.

Pisarze popierają wysiłki partii i wszystkich ich sił społecznych, realizujących proces odnowy w naszym kraju.

Członkowie organizacji partyjnej przy Łódzkim Oddziale Związku Literatów Polskich po dyskusji na zebraniu w dniu 18.XI. br. zwracają się do centralnych władz PZPR o niezwłoczne zainicjowanie ogólnopartyjnej przedzjazdowej dyskusji nad zmianami w statucie PZPR:

— wzmacniającymi gwarancję demokracji wewnątrzpartyjnej,
— zabezpieczającymi partyjną procedurę wyborczą od prób manipulacji,
— precyzującymi zasady oceniania wyników działalności członków partii piastujących kierownicze funkcje partyjne i ogólnopaństwowe.

Szanowny Panie,

w imieniu Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" Pracowników Kultury Dolnego Śląska a także w imieniu wszystkich związkowców, którym służy nasza działalność, dziękujemy za obszerną relację z Krajowego Spotkania Przedstawicieli NSZZ „Solidarność" Pracowników Kultury. Liczymy na dalszą współpracę z redakcją „Odgłosów" dla dobra kultury polskiej.

Komisja Koordynacyjna
NSZZ „Solidarność"
Pracowników Kultury
Dolnego Śląska

Wrocław, 17 listopada 1980 r.

Naszemu koledze

red. JERZEMU KATARASIŃSKIEMU

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

MATKI

składa ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW"

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (I z-ca redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

TADEUSZ CZECHOWICZ: „Musieliśmy przestać przemawiać, a nauczyć się rozmawiać".

Foto: R. Łucyszyn

NIE MA ODWROTU

Rozmowa z I sekretarzem KŁ PZPR — TADEUSZEM CZECHOWICZEM

— Dla polityka, który teraz przejmuje tak odpowiedzialną funkcję, trudno o bardziej skomplikowaną sytuację.

— Sytuacja rzeczywiście jest poważna, rzecz by można historyczna nawet. I to zarówno jeśli idzie o nastroje społeczne, jak i zachodzące zjawiska w łonie samej partii. Jesteśmy na kolejnym zakręcie. Nie ukrywam, że dla mnie najistotniejsze jest, by partia z tego zakrętu wyszła w sposób najbardziej właściwy, to znaczy aby potrafiła sprawiedliwie rozliczyć się przed swoimi członkami i społeczeństwem. Konieczne jest również stworzenie takich zabezpieczeń, aby w przyszłości podobne kryzysy stały się niemożliwe.

— „Głos Robotniczy" z 18 listopada informował: „funkcję I sekretarza KŁ PZPR plenum powierzyło jednomyślnie Tadeuszowi Czechowiczowi — dotychczasowemu sekretarzowi KŁ do spraw ekonomicznych. W roku 1969 T. Czechowicz rozpoczął działalność w Zarządzie Głównym Zw. Zaw. Włókniarzy (był sekretarzem ZG, następnie wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego)..." Mówiąc potocznie nowy sekretarz nie został przywieziony w teczce, ale nie jest też, jak to się mówi — człowiekiem nowym. Wszyscy chcą wiedzieć, czy protestował, czy choć raz pełniąc wcześniejsze funkcje był przeciwko?

— W związkach zawodowych zajmowałem się ochroną warunków pracy. Począwszy od 1970 roku problem ten był przez nas bardzo ostro stawiany. Protestowaliśmy, oczywiście.

— Konkretny przykład?

— Proszę bardzo: zatrzymanie montażu krosien w Łomży, z powodu niedotrzymania norm ergonomii pracy. Wymuszenie na resorcie przemysłu lekkiego modernizacji: Warszawskiej Fabryki Obuwia „Syrena", Głuchołaskich Zakładów Galanteryjnych czy też przędzalni średnioprzędnej w ZPB im. J. Marchlewskiego. Podobnie było z innymi oddziałami, zwłaszcza w przemyśle garbarskim, lniarskim, skórzanym...

— Protesty tego typu w stosunku do oczekiwań społecznych były jednak niewielkie, cokolwiek by powiedzieć o odwadze starych związkowców, nigdy w obronie słusznych interesów robotniczych nie sięgnęli po protest ostateczny jakim jest strajk, zgadzali się często na niewłaściwą politykę rządu.

— Zawsze mówiłem otwarcie, że związki zawodowe były takie jakie chciała je mieć partia — błąd, za który teraz płacimy. Oddając sprawiedliwość muszę stwierdzić, że nasze negocjacje z kierownictwem MPL w sprawach płac, też były napięte, choć nie wspierały nas strajkujące załogi. Później, gdy pełniłem funkcję sekretarza ekonomicznego KŁ, wiele spraw było już nie do zatrzymania, zwłaszcza jeśli idzie o inwestycje. Ale przecież to na skutek naszej interwencji nie doszło do budowy w Pabianicach jeszcze jednej fabryki domów, opartej na starej technologii, a do tego zlokalizowanej na gruntach ornych. Protestowaliśmy również przeciwko niewłaściwemu wykorzystaniu maszyn zakupionych od kontrahenta hiszpańskiego dla „Bistony". Oczywiście nie jest to żadne tłumaczenie i niczego nie usprawiedliwia. Powiem wprost — na to, co było, po trosze zgadzaliśmy się wszyscy.

— Sprzeciw społeczny budzi karuzela stanowisk na wysokich szczeblach władzy. Czytając niektóre życiorysy nieodparcie nasuwa się refleksja o braku kompetencji. Podejrzani wydają się działacze, którzy oprócz „działania" niczego w życiu konkretnego nie robili. Gdyby nie polityka, to czym zajmowałby się I sekretarz KŁ PZPR Tadeusz Czechowicz...

— Mam dokąd wracać. Jestem z wykształcenia inżynierem włókiennikiem, wróciłbym więc do normalnej pracy zawodowej. Interesowały mnie zawsze badania naukowe, stąd zapewne wziął się mój doktorat.

— Jaki był jego temat?

— „Analiza procesu aerodynamicznego formowania runa i jego wpływu na podstawowe właściwości runa i włóknin klejonych".

— Nic z tego nie rozumiem. Sądzę jednak, że miało to społeczny pożytek?

— Na pewno tak. Doktorat był ukoronowaniem długich badań prowadzonych w Instytucie Włókiennictwa, a także poprzedzony został wcześniejszymi publikacjami naukowymi. Nasz zespół doczekał się patentów, wdrożenia opracowań do produkcji i nagród Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Pieniądze, jakie otrzymałem z tych nagród, pomogły mi w kupnie pierwszego w życiu samochodu.

— Czym tłumaczyć przechodzenie od pracy zawodowej do działalności politycznej i na odwrót?

— Jestem z natury niespokojnym duchem. Nie mogę usiedzieć na jednym miejscu. Osobiście rzadko krytykuję. Jeśli coś mi się nie podoba, staram się uczestniczyć w zmianie tego. Życie można przeżyć lub przeklepać. W pewnym okresie zafascynowany byłem prozą Hemingwaya. W jednej z książek zawarł on myśl, że życie można przeżyć w ciągu trzech dni, ale nie może być ono letnie i jałowe.

— Dotknęliśmy wcześniej tematyki związkowej. Wróćmy do niej w tym zakresie, jaki wiąże się z NSZZ „Solidarność".

— Jest to ruch, który budzi społeczne uznanie. Wierzę w dobre intencje jego działaczy i chciałbym się nie zawieść. Dotychczasową współpracę z łódzkim MKZ uważam za pomyślną. Będziemy mu udzielać pomocy. Przede wszystkim chcę podkreślić, że nie jest to przeciwnik ale partner, z którym chcemy rozwiązywać podstawowe problemy naszych załóg.

— Pomoc ta jest jednak ciągle niewystarczająca. Sam przydział lokalu, nie mówiąc już o istotniejszych problemach budzi zastrzeżenia. Wystarczy powiedzieć, że funkcjonują tam zaledwie dwa telefony, w tym jeden zaczynający się od trójki, a więc uniemożliwiający automatyczne połączenia z innymi miastami. Ten lokal to wąskie gardło ruchu liczącego już w Łodzi około 200 tys. ludzi...

— Zgadzam się, że dotychczasowa pomoc jest niewystarczająca. Będziemy ją zwiększać. „Solidarność" otrzymała już propozycję nowej siedziby. W miarę naszych możliwości będziemy rozwiązywać pozostałe problemy — łagodzić konflikty i nieporozumienia.

— Czy w naszym mieście istnieje problem sił antysocjalistycznych?

— Błędne byłoby założenie, że nie ma w naszym kraju ludzi zdecydowanie przeciwnych ustrojowi socjalistycznemu. Uważam jednak, że przez pewnych działaczy słowo to jest zbyt pochopnie używane. Jeżeli tylko krytyka — nawet ostra, mocna, bezpardonowa — nie dotyczy podstaw ustroju socjalistycznego, nie można zaraz jej nazwać antysocjalistyczną. Mamy do czynienia z jednostkowymi przykładami szykanowania za przynależność do PZPR, na to nigdy nie pozwolimy. Podobnie będziemy reagować przeciwko tym, którzy stosują represje za przynależność do „Solidarności".

— Szansą odzyskania zaufania przez władzę jest przede wszystkim większa jawność życia społecznego, zmniejszenie ilości tematów tabu, walka z plotką. Czeka nas na tym polu przezwyciężenie wielu złych stereotypów. Chciałbym poruszyć jeden z nich. Czy należy ujawniać społeczeństwu wysokość dochodów funkcjonariuszy partyjnych i państwowych?

— Jestem za tym.

— W takim razie, ile wynosi pensja I sekretarza KŁ?

— Jeszcze w tym miesiącu nie odbierałem. Ale wiem, że na stanowisku I sekretarza pensja kształtuje się w granicach 17—18 tysięcy złotych.

— O niczym to oczywiście nie świadczy. Wiadomo bowiem, że władza sprawowana nieuczciwie daje możliwość podwyższenia tej sumy. Zawsze więc otwarta pozostanie kwestia zaufania do osoby sprawującej władzę.

— Stanowczo jestem za tym, aby wzmóc w tej dziedzinie kontrolę społeczną.

— Uważam, że sekretarz KŁ nie jest gwiazdą filmową i nie wszyscy muszą wiedzieć, co mu żona opowiadała przy kolacji, ale są jednak rzeczy, które można z życia prywatnego ujawnić, bo przecież sekretarz jest osobą życia publicznego. Skoro jesteśmy przy tak osobistym temacie — ile metrów kwadratowych ma mieszkanie, w którym się znajdujemy?

— 55 metrów kwadratowych, tzn. trzy pokoje z kuchnią. Mieszkają tu cztery osoby. Gdyby przyszła w tej chwili moja żona i chciałaby położyć się, musielibyśmy z naszą rozmową przejść do kuchni — w jednym pokoju bowiem uczy się starszy syn, student PŁ, a w drugim śpi młodszy. Czy jednak będąc na moim miejscu odważyłby się pan teraz zmienić mieszkanie...?

— Rozmowy z robotnikami dziś a pół roku temu, to dla działacza partyjnego dwie różne rzeczy.

— To prawda. Musieliśmy przestać przemawiać a nauczyć się rozmawiać. Kiedy rozpoczęły się w Łodzi strajki byłem na urlopie w ośrodku wczasów rodzinnych w Ustce. Codziennie wieczorem kontaktowałem się telefonicznie z Łodzią. Kiedy wróciłem, moja praca polegała na koordynacji działań pomiędzy resortami a strajkującymi przedsiębiorstwami. Pełne dramatyzmu były wówczas rozmowy z robotnikami, ostre, burzliwe, bezkompromisowe.

— Byłem obecny przy jednej z takich rozmów. Mam tu na myśli naradę aktywu partyjnego MPK. Uchwalono na niej rezolucję przeciwko strajkowi ostrzegawczemu, proklamowanemu przez NSZZ „Solidarność". Omówienie tej rezolucji zamieszczono w prasie, co zdezorientowało wielu łodzian. Uważam, że była to błędna decyzja.

— Może. Ale taką rezolucję podjęto. Jak pan wie, inicjatywa wyszła od uczestników tego zebrania. Mieli do tego prawo.

— W MPK pracuje 7.400 osób, a na sali było tylko około 80 aktywistów. Jeszcze mniej głosowało za rezolucją. Forma strajku ostrzegawczego w Łodzi była przejawem dobrej woli MKZ, mogło stanąć 87 zakładów, a wytypowano do strajku jeden. Rezolucja więc została przyjęta przez załogę MPK, i ogół społeczeństwa, jako przysłowiowe wkładanie kija w mrowisko...

— Nie mam zamiaru ukrywać, że partia jest i będzie przeciwko strajkom, chociaż uznaje prawo związków zawodowych do strajków. Każdy strajk przynosi przecież straty.

Ale jeśli taka jest ocena większości łodzian, to był to rzeczywiście błąd. Jednocześnie chciałbym bronić swego prawa do błędu. Dotąd żaden sekretarz nie miał takiego prawa. Mieć zawsze rację to przecież kolejny bezsens propagandy sukcesu. Sekretarz musi również mieć prawo do przyznania się, że na czymś się nie zna, że w jakiejś dziedzinie nie jest fachowcem. Ja, na przykład, nie zamierzam udawać, że zagadnienia związane z kulturą są moją silną stroną. Po prostu bardziej związany jestem z techniką i przemysłem.

— Żaden z pierwszych sekretarzy w tym mieście nie okazał się wielkim mecenasem kultury. Czyżby więc epitety o Łodzi w rodzaju „kulturalna pustynia", „trójkąt bermudzki", miały pozostać aktualne?

— Proszę nie popadać w fatalizm. Mieliśmy przecież osiągnięcia. Choćby działalność Teatru Wielkiego z jego premierami, na które przyjeżdżano z Warszawy i Krakowa, choćby Łódzkie Spotkania Baletowe i Łódzkie Spotkania Teatralne. Choćby Dejmek z jego Teatrem Nowym. Ale wracając do pytania mam ambicję, aby Łódź znaczyła więcej niż dotychczas na kulturalnej mapie Polski. Zależy mi na większej konsolidacji samego środowiska, na reprezentowaniu wspólnych, a nie indywidualnych interesów. Wiem, że problem gwiazdorstwa jest tu ważny i należy go docenić, ale z kolei dobra atmosfera w przedsięwzięciach kulturalnych również może przynieść efekty artystyczne. Zrobię wszystko, aby ludzie kultury mieli dobre warunki do pracy i rozwoju. Będziemy udzielać poparcia jednostkom utalentowanym i wartościowym, choćby to nam miało przysparzać kłopotów.

— Co jakiś czas pojawiają się zarzuty: prasa kłamie — po części tylko słuszne. Wiadomo bowiem, że jakość prasy w znacznej mierze zależy od szansy, jaką daje jej władza. Proponuję, aby np. Wydział Propagandy KŁ przyznawał nagrodę za najbardziej krytyczny tekst dotyczący działalności aparatu partyjnego i administracyjnego miasta.

— Chcecie, żeby kochała was jednocześnie władza i czytelnicy? Czy to nie za wiele? Ale rozważymy tę propozycję. Istotne jest natomiast, by propaganda sukcesu nie została zastąpiona przez propagandę porażki. Bo w ten sposób można zanegować wszystko, a więc również to, co było obiektywnie wartościowe, co jest naszym niepodważalnym dorobkiem.

— „Sekretarz ekonomiczny KŁ Tadeusz Czechowicz: uważam, że po 1985 roku będziemy mogli mówić, że problem budownictwa mieszkaniowego w Łodzi zostanie rozwiązany" — to fragment wypowiedzi udzielonej „Odgłosom" w 1978 roku. Czy da się podtrzymać?

— Niestety, muszę się wycofać. Chociaż warunki mieszkaniowe łodzian znacznie się poprawiły. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że zapotrzebowanie będzie aż tak ogromne. Trzeba więc tę datę przesunąć.

— Panuje moda na ekspertów. Istnieli oni zawsze, tylko społeczeństwo nie wiedziało kto, komu i co doradza. Czy ta praktyka się zmieni? Czy będziemy wiedzieli kto doradza kierownictwu KŁ? Czy będziemy znali opinie ludzi, którzy są doradcami I sekretarza KŁ?

— Już dziś mogę powiedzieć, że korzystamy z usług grupy skupionej wokół rady naukowej prezydenta miasta, stowarzyszeń naukowo-technicznych i PTE. Nie mam też nic przeciwko temu, aby wypowiedzi moich doradców były udostępniane szerokiemu ogółowi. Zwrócę się także do wybitnych specjalistów z prośbą o pomoc w budowaniu planu rozwoju naszego województwa na lata 1981—1985. Liczę tu bardzo na ludzi młodej generacji, nie mających jeszcze renomy i nazwisk, ale myślących w sposób nowatorski. Będę ich słuchał ze szczególną uwagą.

— Jakie są szanse na utrwalenie procesu odnowy?

— Przy założeniu, że nie nastąpi coś czego nie możemy przewidzieć, proces odnowy jest nieodwracalny. Obawiam się natomiast, aby w obecnym okresie kiełkowania nowego, nie doszły do głosu, i to po obydwu stronach, zarówno w partii jak i „Solidarności", siły krańcowe. Dlatego też opowiadam się za głosami rozsądku i umiarkowania. Nie możemy dopuścić, aby tym razem nam się nie udało. Po raz pierwszy mamy w kraju szansę na trwałe zmiany, głęboko demokratyczne. Jestem przekonany, że wszyscy Polacy powinni zdawać sobie z tego sprawę postępując bardzo rozważnie.

— Wielu działaczy w partii uważa, że zmiany w Polsce zachodzą zbyt powoli.

— Nie do końca, ale się z tym zgadzam. Na ostatnim plenum KŁ np. powołaliśmy komisję, która pracuje nad modyfikacją statutu i ordynacji wyborczej partii. Wszystkie propozycje brane są pod uwagę. Musi to być, podkreślam, wspólnie wypracowany model, a nie godzenie w jedność naszej partii. Uważam jednak, że musimy lepiej dostosować styl i metody naszej pracy partyjnej do zachodzącego procesu przemian. Potrzebna jest większa więź działaczy partyjnych z załogami zakładów pracy i środowiskami uczelnianymi.

— Może to nietaktowne u progu kadencji, ale nic przecież nie jest wieczne. Chciałbym więc zapytać o umiejętność odchodzenia.

— Dwa razy odchodziłem już ze stanowisk politycznych. Po raz pierwszy ze stanowiska przewodniczącego Zarządu Łódzkiego ZMS. Koledzy przynieśli mi wówczas w formie upominku książkę pt. „Sztuka odchodzenia". Odszedłem na własną prośbę, co dla młodego człowieka (29 lat) nie było decyzją łatwą. Miałem przecież do dyspozycji samochód, byłem zapraszany do różnych ważnych prezydiów i komisji. Ze związków zawodowych odszedłem również na własną prośbę. Wszyscy pytali — dlaczego? A ja po prostu uważałem, że minął mój czas i powinienem odejść. Z obecnej funkcji też pragnąłbym odejść w odpowiednim czasie i z podniesionym czołem, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

— Chciałbym na koniec naszej rozmowy powiedzieć, że przeczytałem wszystkie wywiady z pierwszymi sekretarzami w naszym mieście, jakie ukazały się w prasie. Z lektury tej wynika, że nigdy dotąd nie przeprowadzono wywiadu z I sekretarzem ustępującym z zajmowanego stanowiska. To daje dużo do myślenia. Czy już dziś mógłbym uzyskać zgodę na taki wywiad?

— Oczywiście. Tylko nie wiem, czy wtedy ktoś to panu wydrukuje....

Rozmawiał: MAREK MILLER

Foto: W. Pary

Dalszy ciąg ze str. 1

o tym wszyscy — także prymitywni złodzieje mienia społecznego.

Dziś również, kiedy wskazuje się palcem zarówno tych biernych i apolitycznych, jak i tych drugich, powszechne też staje się żądanie wszystkich aktywnych i krytycznie patrzących członków partii, aby ci, którzy nie powinni się byli znaleźć w jej szeregach — odeszli. I to niekoniecznie w formie drastycznej — wydalenia — choć w wielu przypadkach na pewno i to jest niezbędne. Otóż charakterystyczne są te głosy ludzi partii, którzy zalecają osobistą weryfikację w swoim sumieniu każdego, kto posiada legitymację partyjną. Jeśli czuje, że do partii trafił przypadkowo, że aktywne działanie w organizacji nie odpowiada jego aspiracjom życiowym, jego potrzebom — niech sam zdecyduje i odejdzie. Bez jakichkolwiek szkód dla jego pozycji zawodowej i życiowej. I na tę gwarancję oczyszczenia szeregów partyjnych zwraca się powszechną uwagę.

Podnosi się równie często, że ci, którzy nie powinni znaleźć się w partii, uczynili jej wielką krzywdę, stawiając partię pod pręgierzem opinii bezpartyjnych, dla której każdy nagannie zachowujący się członek partii, może uosabiać konkretną organizację, działającą w określonym środowisku. Mówi się w związku z tym, że opinia bezpartyjnych nie może być tu miarodajna. Jest to przekonanie przesadzone i niesłuszne. **Lenin** na przykład bardzo wysoko cenił opinie bezpartyjnych robotników, jako kryterium oceny przy przyjmowaniu do partii i usuwaniu z jej szeregów jednostek szkodliwych. Pisał:

„Gdyby nam się rzeczywiście udało w taki sposób (czyli biorąc pod uwagę opinie bezpartyjnych ludzi pracy) **oczyścić partię od góry do dołu „bez względu na osobę" — to byłoby to w rzeczy samej wielką zdobyczą rewolucji (...).**

PARTIA TO PRZEMYŚLI...

Dokonywać czystki partii, licząc się ze wskazaniami bezpartyjnych mas pracujących — to wielka sprawa. Da nam ona poważne wyniki. Uczyni ona partię o wiele silniejszą awangardą klasy niż poprzednio (...)."

Głosy bezpartyjnych są więc istotnym elementem, wspomagającym żądania ideowych i uczciwych członków partii, aby oczyścić jej szeregi w sposób zgodny tak z wynikami obrad VI Plenum PZPR, jak i odczuciem społeczeństwa.

Drugim z najważniejszych problemów, poruszanych przez dyskutujące masy partyjne, jest

DEMOKRATYCZNE UMOCNIENIE

kierowniczej roli partii. Pokreśla się często, że ta kierownicza rola bywała bardzo często wypaczana przez poszczególne instancje i działających tam funkcjonariuszy. W związku z tym rola kierownicza — czyli inspirująca i wytyczająca — partii, bywała przekształcana na reglamentacyjną i zarządzającą — nierzadko sprowadzającą się do bardzo drobiazgowych interwencji i pouczeń. Tak zresztą nadal rozumie kierowniczą rolę partii wielu etatowych pracowników jej aparatu i niemało jeszcze nadal członków wybieralnych organów różnych instancji. W związku z taką koncepcją partia bierze na siebie odpowiedzialność tam, gdzie odpowiadają z samej zasady władze gospodarcze i administracyjne, starając się je niepotrzebnie wyręczać, zamiast nadzorować tylko pracę swych członków działających w tych organach.

Powodowało to w przeszłości istnienie czegoś w rodzaju dwuwładzy. Np. w przedsiębiorstwie przemysłowym dyrektor obchodził często zarządzającą praktykę komitetu zakładowego partii, uzgadniając od razu swoje decyzje z instancją partyjną wyższego szczebla. Kiedy indziej zaś reglamentacyjne rozumienie kierowniczej roli partii powodowało bierność i niesamodzielność mniej odpornych dyrektorów, zdających się całkowicie na inicjatywę organizacji partyjnej. Skutki tego, również gospodarcze, były na ogół szkodliwe.

Podnosi się więc w wypowiedziach członków partii, że kierownicza rola nie powinna zależeć od subiektywnej jej interpretacji przez takiego czy innego pracownika aparatu. Powinna być ona określona jasno, bez możliwości dowolnego, a więc nierzadko i fałszywego lub błędnego jej praktycznego urzeczywistniania.

— Powinna zostać w odpowiedni sposób rozwinięta zasada, podkreślana zresztą na VI Plenum partii — mówią liczni dyskutanci na zebraniach partyjnych — że partia nie rządzi, ale kieruje, bo taka jest istota jej kierowniczej roli.

Tej kierowniczej roli partii nasze społeczeństwo nie kwestionuje. Wynika ona zarówno z historycznej drogi, jaką przebyła partia jak i zasad demokracji socjalistycznej, potwierdzonych w ustawie konstytucyjnej. Są to jednak zasady ogólne, które na obecnym etapie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego wymagałyby już bardziej szczegółowego unormowania. Zwraca się więc w toczących się dyskusjach uwagę na potrzebę ujęcia kierowniczej roli partii w ramy ściślejszej regulacji statutowej, a nawet ustawowej, ściślej precyzującej zakres jej wykonywania przez poszczególne partyjne instancje i ogniwa. Uniknęłoby się wówczas dowolności w traktowaniu kierowniczej roli partii jako schematu, który wyraża się w słowach „partia to załatwi" zamiast „partia to przemyśli i wytyczy drogę", a załatwią odpowiedzialni ludzie według swoich kompetencji.

Charakterystyczną cechą toczącej się w partii dyskusji jest nie tylko większe niż to może przedtem bywało zaangażowanie jej aktywnych i ideowo świadomych członków, ale i dociekliwość w prostowaniu wypaczeń nie powierzchownie, lecz także w poszukiwaniu ich głębokich przyczyn. Również w samej partii w jej strukturze i w pozycji w rozwiniętym państwie socjalistycznym.

GUSTAW ROMANOWSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

BYĆ Z KLASĄ ROBOTNICZĄ

W niedzielę, 30 listopada 1980 roku, o godzinie 10,02 rozpoczęło się w sali konferencyjnej Łódzkich Zakładów Radiowych „Fonica" konwersatorium poświęcone bieżącym zagadnieniom życia partyjnego. Nad prezydium hasło: **„PARTIA SILNA JEDNOŚCIĄ I ZAUFANIEM JEJ CZŁONKÓW".** Na sali kamery filmowe i telewizyjne, fotoreporterzy. Wszystkie miejsca zajęte. Konwersatorium zorganizowali: **Komisja Ideologiczna KŁ PZPR** oraz **Komitet Zakładowy PZPR w ŁZR „Fonica".** Obrady zakończyły się o godzinie 19,22. Dyskutowano — jak to zaproponował sekretarz KŁ PZPR — **Jan Nosko** — nie tylko o propozycjach dokonania przemian zgłoszonych przez organizację partyjną „Foniki" czy ZPB im. J. Marchlewskiego, ale o wszystkim, co członków partii interesuje, a co mogłoby się przyczynić do odrodzenia sprawnej działalności partii, do odbudowy zaufania do niej, do skutecznego przełamania przyczyn błędów i nieprawidłowości.

W poprzednim numerze omówiłem obszernie, komentując jednocześnie niektóre tezy **„CO ROBIĆ? PALĄCE ZAGADNIENIA NASZEGO RUCHU"** zaproponowane do dyskusji przez organizację partyjną „Foniki" i **„MANIFEST KOMUNISTÓW"** zaproponowany przez organizację partyjną ZPB im. J. Marchlewskiego. Nie będę więc powtarzał tego, co już pisałem, postaram się natomiast przedstawić Czytelnikom nowe sprawy i problemy, jakie wyniknęły w trakcie dyskusji. Nie będzie więc to sprawozdanie z obrad, a jedynie prezentacja żywo dyskutowanych problemów.

OCENA SYTUACJI jest na ogół jednoznaczna. Znajdujemy się nadal w warunkach kryzysu politycznego i gospodarczego. Powszechnym pragnieniem jest wyjść z tego kryzysu. Powszechnie oczekuje się też na program: partii, rządu, który rysowałby drogi wyjścia, nie spodziewając się, że będzie to rejestr obietnic, ale rzetelna analiza warunków, w jakich przez najbliższe miesiące przyjdzie nam żyć i pracować. Nikt rozsądny nie spodziewa się, że kryzys ten może być szybko rozwiązany. Wszyscy jednak oczekują, że przyjęte kierunki działania będą prowadziły do stabilizacji sytuacji politycznej, a nie powodowały dalszych napięć społecznych. Tego też oczekuje się po uchwałach VII plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR, które — jak zebranym było wiadome — rozpoczyna swoje obrady w poniedziałek, 1 grudnia 1980 roku. Jego rezultaty będą więc już znane, gdy bieżący numer „Odgłosów" ukaże się w kioskach.

Zgodna ocena sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej nie wykluczała jednak różnicy zdań w sprawie sposobów wyjścia z kryzysu. Zastanawiano się przede wszystkim nad tym, co jest obecnie ważniejsze: rozwiązania gospodarcze, czy polityczne? Profesor **Stefan Banasiak** (Uniwersytet Łódzki) uważał, że decydujące znaczenie ma gospodarka. Jego zdaniem **„rewolucje upadały, bo nie mogły sobie poradzić z gospodarką".** Zatem warunkiem stabilizacji jest uporządkowanie gospodarki, co wcale nie jest takie łatwe. Obserwuje się tendencję do dzielenia tego, co jest, a wiadomo, że niewiele zostało już do podziału. Niezbędna jest więc produkcja bez zakłóceń, aby mogły powstawać nowe towary. Nieprzerwane drukowanie pieniędzy prowadzi tylko do utraty ich wartości. W tej sytuacji — jak powiedział **S. Banasiak** — oczekuje się większej inicjatywy Sejmu PRL. Powinien to być Sejm nieustanny. Sejm powinien zakazać drukowania pieniędzy, ujawnić płace, jakie obecnie obowiązują w kraju, podjąć takie działania, aby powstrzymać rozwijającą się w kraju anarchię. Potrzebny jest szeroki, wieloorganizacyjny ruch społeczny, w którym powinna przodować partia.

Profesor **Cezary Józefiak** (Uniwersytet Łódzki) przypomniał, że poprzednie kryzysy, też wywołane złą sytuacją gospodarczą, rozwiązywane były w innych warunkach. W 1956 roku rezerwą było rolnictwo. W 1970 roku — zagraniczne kredyty. Obecnie takich rezerw nie ma. Musimy się więc nauczyć żyć i działać w warunkach kryzysu. Innego wyjścia po prostu nie ma. Aby jednak móc działać w takich warunkach trzeba wykształcić mechanizmy negocjacyjne. To znaczy — tak zreformować system rządzenia krajem, aby przy pomocy mechanizmów negocjacyjnych móc szybko i sprawnie likwidować napięcia.

Przygotowywana reforma gospodarcza — w pracach nad którą **C. Józefiak** bierze udział — przyniesie rezultaty dopiero po wyjściu z kryzysu. Natomiast „mała reforma" jest przygotowywana przez rząd i nie można się po niej zbyt wiele spodziewać. Trudność przy budowie aktualnego programu polega bowiem na tym, że obecnie nie dysponuje się żadnymi rezerwami. Trzeba ich zatem szukać w społecznej aktywności. Musi nastąpić ożywienie wszelkich organów przedstawicielskich. Musi zacząć działać taki system, aby wszystkie decyzje były rzeczywiście konsultowane, aby wyniki konsultacji były brane pod uwagę, aby wszystkie opinie docierały do władz zwierzchnich i aby też były brane pod uwagę. Nie wykluczając więc konieczności przeprowadzania zmian instytucjonalnych większe znaczenie należy przypisywać rewolucyjnej czujności mas.

Wszakże znaczna część dyskutantów większą wagę przywiązywała do zmian, jakie nieuchronnie muszą dokonać się w partii. Najdobitniej wyraził to **Dariusz Woszczalski** (Łódzki Ośrodek Telwizji Polskiej), który powiedział wręcz, że **„bez odnowy w partii nie ma co myśleć o odnowie w kraju".**

NURT PLEBEJSKI był następnym przedmiotem sporu. W materiale, który przedstawiła do dyskusji organizacja partyjna „Foniki" mówi się między innymi i o tym, że **„trzeba po prostu spowodować, aby nadmiernie bogaci znacząco stracili na korzyść biednych".** Sformułowanie to spowodowało właśnie posądzenie o schlebianie nurtowi plebejskiemu. **Edmund Lewandowski** (Uniwersytet Łódzki) w zagajeniu dyskusji stwierdził, że nie ma w tym nic złego, jest to po prostu odpowiedź na bardzo ostre zachwianie poczucia sprawiedliwości społecznej. Stanowisko to poparło wielu dyskutantów. **Wacław Biliński** (Związek Literatów Polskich) postulował, żeby na zebraniach załóg wybierać Robotnicze Komisje Porządku Społecznego, **Stefan Banasiak** niesprawiedliwość społeczną widział nie tylko w „kominach zarobkowych", ale w kumulacji różnych funkcji i stanowisk, co prowadziło do „wtórnego podziału dóbr". **Danuta Mikołajczyk** (Biblioteka im. L. Waryńskiego) przypomniała, że na VIII Zjeździe partii każde sformułowanie o „sprawiedliwości społecznej" wywoływało burzliwe oklaski, co było sygnałem, że z tą sprawiedliwością dzieje się coś niedobrego. **Zdzisław Zarzycki** (WSNS Warszawa) pokreślił, że komisje kontroli społecznej zostały powołane, a nie wybrane, co było między innymi powodem skazania ich na fikcyjne działanie. Drugim takim powodem był fakt, że na przykład w Łodzi i na Śląsku, a więc w dwu dużych ośrodkach robotniczych, w komisjach tych robotnicy stanowili mniej niż 30 procent członków.

Wprawdzie **Cezary Józefiak** przestrzegał, że **„nie wystarczy zabrać bogatym i dać biednym, aby stworzyć warunki dla wyjścia z kryzysu",** bo będzie to tylko tworzenie kolejnego złudzenia, ale mi się wydaje, że sprawa ma głębszy społeczny sens. Członkowie partii oczekują, że VII Plenum KC PZPR wypowie się konsekwentnie i do końca w sprawie winy i kary dla tych, którzy zawinili w polityce i gospodarce, jak i w sprawie tych, którzy stworzyli „system wtórnego podziału dóbr" i z systemu tego korzystali. Wśród ludzi utrwaliło się bowiem silne poczucie krzywdy społecznej. I ludzie oczekują, że władza, jeśli nie deklaruje tylko odnowy, ale pragnie ją zgodnie z tym, co głoszą realizować, to rozprawi się z tymi, którzy przyczynili się swoim postępowaniem do powstania przejawów niesprawiedliwości społecznej. Stąd między innymi wołanie o to, aby partia była **„moralną awangardą klasy robotniczej",** stąd wołanie o robotnicze komisje sprawiedliwości, które wzięłyby w obronę niesłusznie oskarżonych, ale i sprawiedliwie oceniły tych, którzy bogacili się społecznym kosztem, przyczynili się do marnotrawstwa naszego wspólnego dobra, do korupcji.

KOMISJE KONTROLI PARTYJNEJ nie spełniają swojej roli — takie są poglądy wielu członków partii wyrażane na różnych zebraniach. Przede wszystkim nie powinny one pełnić tylko roli partyjnego prokuratora. Poza tym — nie powinny być powoływane, a wybierane. Centralna Komisja Kontroli Partyjnej powinna być wybierana przez zjazd partii i przed zjazdem odpowiadać. Podobnie wojewódzkie komisje kontroli partyjnej powinny być wybierane przez konferencje wojewódzkie i odpowiadać przed nimi. Centralna KKP powinna mieć prawo oceniania Biura Politycznego i Komitetu Centralnego partii pod względem zgodności ich działania z programem przyjętym przez zjazd, a w razie stwierdzenia, że wybrane organy władzy partyjnej — również i w województwie — programu tego nie realizują, powinna mieć prawo zwołania zjazdu, a w województwie konferencji.

Wiele uwagi i postulatów zgłaszanych obecnie padło już w dyskusji przed VIII Zjazdem PZPR. Gdyby tylko połowa z tego została wzięta pod uwagę i zrealizowana, mielibyśmy zupełnie inną sytuację w społeczeństwie i kraju. Kryzys nie byłby tak ostry, łatwiej byłoby z niego wyjść. Tymczasem kierownictwo partii sprzed września 1980 roku robiło wszystko, aby nie słuchać głosu mas. Już w 1971 roku — jak to przypomniał **Zdzisław Zarzycki** — Sekretariat KC PZPR wydał instrukcję wyborczą dla partii, która miała wyraźnie antydemokratyczny charakter. W 1972 roku Rada Państwa wydała dwa dekrety, które przyczyniły się do powstawania grup uprzywilejowanych, a także spowodowały głębokie poczucie niesprawiedliwości społecznej. Jeden dekret był o uposażeniu kierowniczych kadr państwowych, drugi — o emeryturach dla działaczy państwowych i partyjnych oraz ich rodzin, przy czym za rodzinę uznano nie tylko żony działaczy, ale ich dzieci oraz wnuki, co oczywiście jest prawdą, ale nie stanowi żadnej podstawy do korzystania z przywilejów. Przynajmniej w kraju, w którym powinna obowiązywać zasada: **„od każdego według zdolności, każdemu według pracy".** Umacnianiu władzy byłego kierownictwa partii służyła też reforma administracyjna, która ubezwłasnowolniła rady narodowe i inne organy przedstawicielskie, a także podporządkowanie Najwyższej Izby Kontroli rządowi, a właściwie byłemu premierowi — Piotrowi Jaroszewiczowi. Ten ostatni fakt należy już na szczęście do historii i NIK, jak wiadomo, powróciła pod kontrolę Sejmu PRL. Również instrukcja, którą w swojej pracy kierował się Klub Poselski PZPR, sprzeczna była ze Statutem partii.

ZA PARTIĄ LENINOWSKĄ, kierującą się w swoim działaniu marksizmem, stosującą dialektyczną metodę oceny zjawisk i procesów, opowiadali się wszyscy. **Grzegorz Kamiński** (ZPB „Boruta" w Zgierzu) jasno wyraził zdanie członków organizacji w „Borucie": **„Zmiana szyldu — nie, głębokie przeobrażenia — tak".** **Stefan Banasiak** natomiast powiedział, że **„marksizm jest świetną ideologią dla tych, którzy walczą o władzę, ale dla tych, którzy władzę zdobyli może okazać się ideologią niewygodną, gdyż zmusza, aby w wyniku rzetelnej analizy ukazywać prawdę".** Chodzi więc o to, aby partia przeobrażona nie odstępowała od marksizmu, aby był on nadal jej najskuteczniejszym narzędziem. Jest to bowiem — jak to określił **Janusz Więckowski** (lektor KŁ PZPR) — **„najskuteczniejsza metoda badania zjawisk społecznych w oparciu o obiektywne prawa".** I dotąd nikt nie wymyślił metody skuteczniejszej.

Partia, jeśli chce tworzyć program, który odpowiada całemu narodowi i skutecznie go realizować, musi uważnie wsłuchiwać się w głosy tego narodu, musi mieć nieprzerwany kontakt z klasą robotniczą, której jest awangardą, musi tworzyć ideologicznie zintegrowaną całość, musi być silna jednością i zaufaniem jej członków. **„Kiedy 5 lat temu wstąpiłem do partii** — powiedział **Ryszard Ładniak** (mistrz w ŁZR „Fonica") — **wielu ludzi ściszało głos na mój widok, bo byłem partyjny, bo lepiej przy mnie nie mówić, dziś nikt już głosu nie ścisza, mówimy w swoim robotniczym gronie o wszystkim i tak powinno być zawsze".** A **Mieczysław Kwaśniewski** (mistrz w ŁZR „Fonica") przyznał, że kiedyś wiedział, co to znaczy **BYĆ KOMUNISTĄ,** dziś tego nie wie. I chyba nie on jeden. **Lucyna Nazarow** („Pamotex-Wifama") opowiedziała, że ktoś oddający legitymację partyjną powiedział: **„zobaczymy, jak wasza partia zrealizuje odnowę".** Są to gorzkie słowa, które przychodzi dziś słuchać członkom partii, którzy nadal tę partię uważają za swoją i chcą, aby ona przewodziła w społeczeństwie budującym socjalizm.

BYĆ Z KLASĄ ROBOTNICZĄ, BYĆ WŚRÓD KLASY ROBOTNICZEJ — to sprawa najważniejsza. Ale nie chodzi przecież o fizyczną obecność, chodzi o wnikliwe rozumienie pragnień, aspiracji, dążeń, potrzeb klasy robotniczej, aby z tych pragnień i potrzeb rodził się partyjny program, aby ludzie wiedzieli, że są jego współtwórcami, aby nie był on im dawany, jako nienaruszalna świętość z „góry". Jest to trudne, ale niezbędne. Potrzeba do tego gwarancji instytucjonalnych, potrzeba ludzi, którzy by to rozumieli, potrzeba rewolucyjnej czujności mas. **Wacław Biliński** zaproponował nawet, aby na posiedzenia plenarne Komitetu Łódzkiego zapraszać robotników i nie tylko z aktywu. O potrzebie stałego kontaktu z klasą robotniczą, o pilne wsłuchiwanie się w to, co mówią robotnicy mówili też: **Tadeusz Nowacki** (ślusarz w ŁZR „Fonica"), **Henryk Maciejewski** („Pamotex" Pabianice), **Zygmunt Nowicki** (mistrz w ŁZR „Fonica"), **Dariusz Woszczalski, Lucyna Nazarow.**

Henryk Maciejewski powiedział, że obowiązkiem partii jest być tam, gdzie są ludzie, a więc nie można ciągle boczyć się na NSZZ „Solidarność", trzeba ten ruch starać się zrozumieć, pomagać w jego rozwoju i jego umacnianiu się, aby nie zawładnęli nim ludzie przeciwni socjalizmowi.

Wielu dyskutantów wyrażało niepokój, czy VII Plenum KC PZPR spełni oczekiwania mas partyjnych, oczekiwania społeczeństwa. Fakt ten myślę, można zostawić bez komentarza.

Nie o wszystkich sprawach napisałem. Będzie jeszcze okazja nie raz do nich wrócić. Nie wszystkich też dyskutantów wymieniłem, więc już tylko z kronikarskiego obowiązku dodam, że w dyskusji głos zabierali poza wymienionymi: **Zdzisław Baranowski** (PP Pracownie Sztuk Plastycznych), **Stanisław Matusiak** („Mera-Poltik"), **Józef Tyszkiewicz** (Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna), **Zenon Michalski** (PWSFTviT), **Ryszard Kwiatkowski** (KD PZPR Polesie), **Leszek Rudnicki** („Dziennik Popularny"), **Tomasz Jaworski** („Głos Robotniczy"), **Witold Sidewicz** (KD PZPR Górna), **Jadwiga Łużyńska** (PWSF, TviT), **Bogdan Cegielski** (ZPB im. J. Marchlewskiego), **Karol Stryjski** (Międzyuczelniany Instytut Nauk Politycznych UŁ), **Jan Kraszewski** („Trybuna Ludu"), **Janusz Mękwiński** (Zjednoczenie Surowców Wtórnych).

Uczestnicy konwersatorium w ŁZR „Fonica" doszli do wniosku, że należy po VII Plenum KC PZPR spotkać się w szerszym już gronie dla dalszej dyskusji nad programem działania partii przed i po IX Nadzwyczajnym Zjeździe.

UKŁAD NIE SPEŁNIONYCH NADZIEI

Dalszy ciąg ze str. 1

Wynik rozmów z Polską, podjętych w lutym 1970 r., był dla rządu socjalliberalnego szczególnie ważny, gdyż obustronne stosunki były obciążone olbrzymim ładunkiem emocjonalnym i pod takim naciskiem rozmowy się odbywały. To, że od chwili powstania Republiki Federalnej, właśnie jej stosunek do Polski był papierkiem lakmusowym dla sprawy pokoju i odprężenia w Europie, wywołało wiele sprzecznych opinii w społeczeństwie zachodnioniemieckim. Chodziło bowiem o zasady, na jakich ma się opierać porozumienie z Polską — czy za cenę rezygnacji z użycia siły, czy też przez uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Charakterystyczne przy tym, że polaryzacja postaw została wywołana wówczas rozmowami z Polską, podczas gdy w stosunkach z NRD — (w roku 1970 premierzy obu krajów spotkali się dwukrotnie) uważano powszechnie, że polityka Brandta zmierza do zbliżenia z Niemcami, a w wypadku rozmów z ZSRR (układ z 12 sierpnia 1970 r.) wychodzono z założenia, że ma się do czynienia z mocarstwem zwycięskim, a w związku z tym nobilitują one niejako RFN.

Trwające od 4 lutego do 18 listopada 1970 r. intensywne rozmowy w sprawach trudnych, o węzłowym znaczeniu dla rozwoju wzajemnych stosunków doprowadziły do parafowania układu, a 7 grudnia 1970 r. w Warszawie podpisy pod tym aktem złożyli szefowie rządów.

Polityczne i psychologiczne znaczenie układu zawarte jest w jego nazwie „O podstawach normalizacji", dokument ten stanowił w założeniu jego twórców dopiero początek długotrwałej i niełatwej drogi do normalizacji stosunków między obu państwami i narodami. Przełomowe znaczenie tego kroku podkreśla wstęp do układu, który stwierdza, że do jego zawarcia doszło w 25 lat po zakończeniu II wojny światowej, której pierwszą ofiarą była Polska i w której wyniku ucierpiała cała Europa. Określono jednocześnie zasady, na jakich miało się odbywać przezwyciężanie tragicznej przeszłości, wysuwając na plan pierwszy integralność terytorialną wszystkich państw w Europie. Sprecyzowaniem tej formuły jest stwierdzenie zawarte w art. I układu, iż granica na Odrze i Nysie Łużyckiej stanowi zachodnią granicę Polski. Ta forma uznania granicy odpowiadała nam, gdyż „Niemcy" są kategorią historyczną, a przy tym stroną umowy było w tym przypadku państwo, z którym Polska nie graniczy. Dalsze postanowienia artykułu I stwierdzały, że obecne stanowisko RFN będzie obowiązywać również w przyszłości i że obie strony nie mogą i nie wysuną w przyszłości roszczeń terytorialnych.

Art. II mówi o respektowaniu zasad Karty Narodów Zjednoczonych, rozwiązywaniu wszelkich kwestii spornych wyłącznie na drodze pokojowej.

W art. III stwierdzono, że we wspólnym interesie obu krajów leży rozszerzenie współpracy gospodarczej, naukowo-technicznej i kulturalnej.

Art. IV postanawia, że układ nie narusza umów zawartych wcześniej przez każdą ze stron.

Dzięki tym postanowieniom została stworzona zasadnicza przesłanka oparcia wzajemnych stosunków w duchu partnerstwa i współpracy. Układ ten nie likwidował oczywiście całkowicie obciążeń przeszłości, nie regulował automatycznie istniejących spornych problemów. Można stwierdzić, że w tym rozumieniu nawet późniejsze nawiązanie stosunków dyplomatycznych oraz zintensyfikowanie kontaktów dwustronnych nie wyrażało jeszcze w pełni sensu tego, co wiąże się z pojęciem „normalizacja". Dotyczyło to zwłaszcza bardzo ważnej grupy problemów humanitarnych dotyczących kwestii łączenia rodzin i odszkodowań dla szczególnie poszkodowanych przez faszyzm niemiecki.

Tak więc zwrot dokonany w 1970 roku oznaczał dopiero początek niełatwego dla obu stron pełnego komplikacji procesu rozszerzania porozumienia i współpracy, usuwania resentymentów i uprzedzeń nagromadzonych w mentalności obu społeczeństw przez wielowiekową tradycję, okupację hitlerowską i nie najlepsze doświadczenia okresu powojennego.

Dziś, z perspektywy mijającej dekady można przeprowadzić próbę jej bilansu. Punktem wyjścia dla strony polskiej winno być stwierdzenie, że niestety podstawy normalizacji wzajemnych stosunków nie były i nie są przez obie strony rozumiane jednakowo. Ten stan jest rezultatem faktu, że rząd federalny nie wyciągnął dotąd konsekwencji z terytorialno-politycznych postanowień układu zawartego z Polską, a także z ZSRR i Czechosłowacją. W minionym okresie wykształciła się polityczno-prawna doktryna koalicji SPD/FDP, której normy sprowadzają się w największym skrócie do uznania stanu wprowadzonego przez układ grudniowy za obowiązujący do chwili ostatecznego jego uregulowania w przyszłym układzie pokojowym, w którym strona niemiecka byłaby reprezentowana przez jedno — zjednoczone — państwo. Szczególnie ważnym elementem określenia polityczno-prawnej doktryny RFN jest w tej kwestii orzecznictwo Federalnego Trybunału Sprawiedliwości. Analiza dwóch podstawowych w tej materii orzeczeń z 31 sierpnia 1973 r. i 7 lipca 1975 r. wskazuje, że Trybunał uznał umowy normalizacyjne za zgodne z Ustawą Zasadniczą tylko w zakresie zgodnym z polityczno-prawną doktryną RFN, co sprowadza w interpretacji zachodnioniemieckiej sens zawartych umów do „zabezpieczenia" okresu przejściowego — do chwili osiągnięcia jej strategicznego celu — tzn. takiego stanu, „w którym naród niemiecki odzyska swoją jedność". Przejawem tego stanu stały się formuły prawne o „dalszym istnieniu Rzeszy Niemieckiej pod względem formalno-prawnym", „otwartym charakterze kwestii niemieckiej" czy istnieniu „jednego niemieckiego obywatelstwa".

Polski minister sprawiedliwości J. Bafia, po złożeniu w RFN wizyty stwierdził, że prawo wewnętrzne RFN „nie nadąża" w tym państwie za procesem normalizacji. Potwierdziły ten wniosek badania Instytutu Badań Prawa Sądowego Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie, które w kwestii obowiązującej zachodnioniemieckiej doktryny polityczno-prawnej stwierdziły m. in.:, że: 1) zarówno rządząca koalicja jak i opozycja CDU/CSU zajmują takie same pozycje strategiczne, do procesu normalizacji z Polską. Cele te są skierowane przeciwko uznaniu ostatecznego charakteru polityczno-terytorialnego status quo w Europie środkowej. Różnice w koncepcjach obu ugrupowań dotyczą form realizacji celów strategicznych, a nie ich podstawowych treści.

2) Reprezentowane przez obecną koalicję stanowisko jest skierowane na pomniejszenie znaczenia układów normalizacyjnych, w tym z 7 grudnia 1970 r. Proces ten ciągle się pogłębia, nie jest zjawiskiem przejściowym i dotyczy samej podstawy normalizacji. Zwrócono jednocześnie uwagę, że tak ukształtowana doktryna umożliwia stosowanie w państwie ustawodawstwa o rewizjonistycznym wydźwięku. Dodajmy, że obecnie ukazuje się w RFN przeszło 360 tytułów gazet wydawanych przez przesiedleńców w jednoczesnym nakładzie 1,6 mln egz., a co roku od państwa i poszczególnych krajów federalnych „związki emigracyjne" otrzymują 15 — 16 mln marek.

Na tej podstawie uzasadnionym wydaje się wniosek, że takie kroki polityczne jak układy z ZSRR, Polską, Czechosłowacją miały głównie za zadanie stworzyć bazę do rokowań z NRD. Stanowi to wenętrzną treść Ostpolitik, która jako swój dalekosiężny cel stawia utrzymanie jedności narodu niemieckiego jako etapu na drodze do jedności państwowej.

Nie jest zadaniem tego artykułu przeprowadzenie analizy tak skomplikowanych zagadnień jak stosunki między dwoma państwami niemieckimi, faktem jest, że zachodnioniemieckiej tezie o „jedności narodu niemieckiego" kierownictwo NRD przeciwstawia tezę o odrębnym narodzie w tym państwie, odróżniającym się od Niemców w RFN, posiadającym specyficzną świadomość narodową.

Patrząc z tej perspektywy na rozwój bilateralnych stosunków polsko-erefenowskich zrozumiałe stają się różnego rodzaju „zahamowania" występujące w polityce RFN. Spadek zainteresowania postępami normalizacji jest również związany z powszechnym w RFN przeświadczeniem o wypełnieniu już w tym zakresie obowiązku, uznając, że terytorialne uszczuplenie Niemiec na wschodzie jest wystarczającą rekompensatą dla strony polskiej.

Eksponując problematykę polityczną związaną z rocznicą układu nie można jednak zapomnieć, że normalizacja jest procesem wielowarstwowym obejmującym także sferę gospodarki czy społeczno-kulturalną.

Powiązania ekonomiczne stanowią węzłową część dialogu bilateralnego pomiędzy PRL i RFN, są jego materialną podstawą. Jak stwierdza badacz wzajemnych relacji pomiędzy obydwoma krajami Ludwik Gelberg, „właściwy rozwój stosunków gospodarczych jest najlepszym miernikiem ogólnego postępu w procesie normalizacyjnym". Podkreślić tutaj należy, że wymiana handlowa pomiędzy Polską a Republiką Federalną odbywała się już w okresie przed nawiązaniem normalnych stosunków dyplomatycznych, jakkolwiek jej rozmiar nie był duży. I tak np. obroty handlowe pomiędzy obydwoma krajami miały w roku 1970, a więc u progu minionego dziesięciolecia, wartość 1,3 mld zł dewizowych, by już w 1975 osiągnąć pułap ok. 6 mld. Jakkolwiek relacje handlowe wykazywały w okresie 1970 — 1980 tendencje wzrostu, należy jednoznacznie stwierdzić, że nie wszystkie możliwości zostały w pełni wykorzystane, chociaż w końcu 1980 r. można odnotować pięciokrotny wzrost obustronnej wymiany handlowej w porównaniu ze stanem z 1971 roku.

W chwili obecnej Republika Federalna Niemiec zajmuje wśród naszych zachodnich partnerów pierwsze miejsce, z kolei Polska jest dla RFN drugim co do wielkości kontrahentem wśród krajów bloku socjalistycznego.

Współpraca gospodarcza pomiędzy PRL i RFN odbywała się w minionym dziesięcioleciu w ramach umów dwustronnych. Istotny wpływ miała tutaj 5-letnia umowa o obrocie towarowym i współpracy gospodarczej z 1970 roku, dążąca do redukcji niekorzystnych ograniczeń i dyskryminacyjnych barier stosowanych wobec polskiego eksportu nad Ren.

Niestety zobowiązania strony zachodnioniemieckiej nie zostały wykonane, i możliwości importu z Polski były w dalszym ciągu sztucznie zawężane. Kolejna, tym razem 10-letnia umowa o współpracy ekonomicznej z 1974 roku dotyczy głównie kooperacji gospodarczej i technicznej, przy czym wyszczególniono dziedziny, gdzie zacieśnienie stosunków gospodarczych jest szczególnie korzystne i pożądane. M. in. dotyczyło to wydobycia węgla, przemysłu żelaza, stali i metali nieżelaznych, przemysłu energetycznego, przemysłu maszyn i motoryzacyjnego, stoczniowego. W czasie spotkań polskiego kierownictwa partyjno-rządowego z czołowymi politykami zachodnioniemieckimi np. w 1975 i 1976, podjęto szereg decyzji co do praktycznej realizacji podpisanych wcześniej umów. I tak np. w oświadczeniu o rozwoju stosunków między Polską a Republiką Federalną, ogłoszonym w Bonn w 1976 r. czytamy m. in.: „Świadome znaczenia wymiany handlowej oraz współpracy gospodarczej, przemysłowej i technicznej dla umocnienia pokojowych stosunków, obie strony wyrażają zamiar poświęcenia szczególnej uwagi i usilnego popierania w ramach wszystkich swoich możliwości rozwoju swych stosunków gospodarczych i intensyfikacji współpracy przemysłowej..." W Bonn podpisano w czerwcu 1976 roku kolejną, 5-letnią umowę gospodarczą, m.in. o gazyfikacji węgla oraz 14 porozumień pomiędzy polskimi i zachodnioniemieckimi centralami zagranicznymi, jak np. „Ciech" z koncernami Republiki Federalnej o wymianie handlowej kooperacji w dziedzinie przemysłu chemicznego na okres 1976 — 1980; czy porozumienie „Stalexportu" i „Polimex-Cekopu" o współpracy na rynkach trzecich.

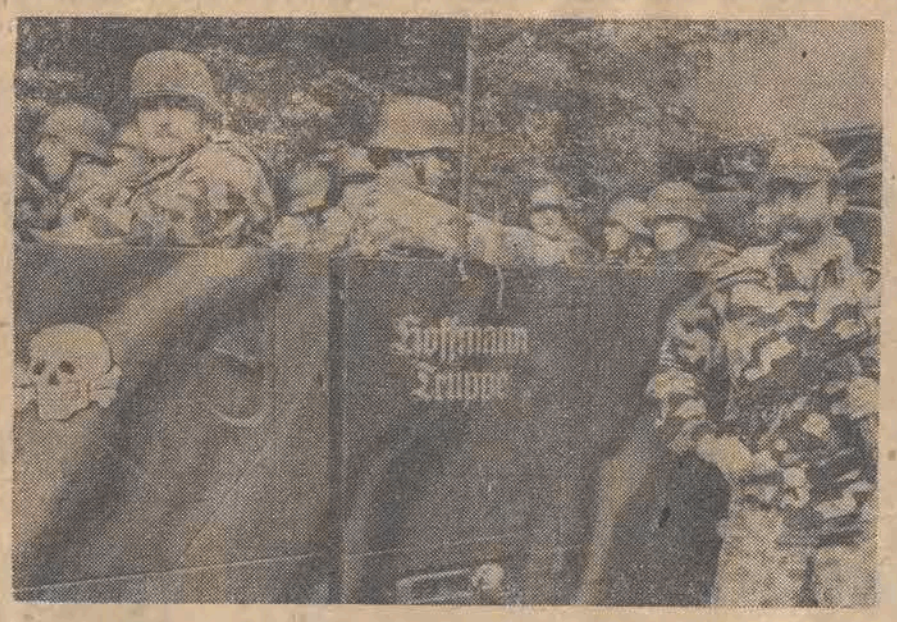

Istotną rolę w stosunkach ekonomicznych stanowią kredyty udzielane stronie polskiej. I tak przykładowo w 1977 r. Konsorcjum Banków RFN udzieliło nam kredytu 2 mld marek na sfinansowanie dostaw z RFN urządzeń do gazyfikacji węgla i chemicznego przetwarzania gazu. Ostatnio Konsorcjum to na mocy umowy z polskim Bankiem Handlowym zobowiązało się do udzielenia kredytu w wysokości 400 mln marek na rozbudowę Lubelskiego Zagłębia Węglowego, zaś jego spłacenie nastąpi w latach 1986 — 1990 w postaci 4 mln ton węgla. Drugi kredyt w wysokości 800 mln marek Konsorcjum udzieliło na pokrycie bieżącego importu z Republiki Federalnej Niemiec.

Patrząc z perspektywy na bilateralne stosunki ekonomiczne pomiędzy PRL i RFN w okresie minionych 10 lat można zauważyć, że bariery polityczno-handlowe nie były początkowo usuwane przez Republikę Federalną i zdecydowanie ujemnie rzutowały na stan rozwoju wymiany gospodarczej dla Polski oraz decydująco przyczyniły się do wzrostu dysproporcji w bilansie strony polskiej. W drugiej połowie lat 70 stosunki gospodarcze mimo rozlicznych przeszkód poczęły wkraczać na nieco korzystniejsze dla nas tory.

Duże znaczenie dla zapoznania strony RFN-owskiej z możliwościami polskiej gospodarki mają wystawy przemysłowe, jak np. wystawa „Polen-80" w Düsseldorfie, podczas której m. in. renomowane firmy Kruppa i Thyssena zawarły korzystne dla Polski kontrakty. Współpraca gospodarcza z RFN to m. in. obopólne inwestycje na terenie RFN i Polski, ale także i na terenach innych państw, jak np. w Libii czy Szwajcarii. Jak wspomnieliśmy, mimo lepszej sytuacji w wymianie ekonomicznej z Republiką Federalną w drugiej połowie lat 70, strona zachodnioniemiecka, związana postanowieniami EWG, limituje eksport z Polski. Ten i inne przykłady (choćby tzw. towary strategiczne, określone przez USA) świadczą, że gospodarka Republiki Federalnej Niemiec podlega naciskom sfery politycznej, co hamuje pełniejszy, optymalny rozwój wymiany bilateralnej. Mówiono o tym m. in. na III Forum PRL — RFN w bieżącym roku w Darmstadt, gdzie analizowano dorobek procesu normalizacji i rozważano możliwość intensyfikacji dialogu w latach 80. Pamiętano przy tym, że współpraca gospodarcza między Polską a Republiką Federalną nie odbywa się w próżni politycznej i to przeświadczenie kazało z dużą dozą powściągliwości patrzeć w przyszłość, która powinna m. in. przynieść równowagę w bilansie handlowym między obu krajami.

W procesie normalizacji ważką rolę przypisać także należy zagadnieniom społecznym oraz współpracy kulturalnej. Oprócz problemów roszczeń strony polskiej z tytułu zaopatrzenia emerytalnego i wypadkowego, do szczególnie ważnych spraw należy proces migracyjny ludności, chociaż aspekt ten w latach siedemdziesiątych nie posiada już cech charakterystycznych dla okresu wcześniejszego. Na mocy decyzji poczdamskich z 1945 r. w latach czterdziestych wysiedlono ponad 3 mln. ludności pochodzenia niemieckiego. W kolejnych latach władze PRL, kierując się względami humanitarnymi, wyraziły zgodę na wyjazd do obu państw niemieckich około pół miliona osób w ramach akcji łączenia rodzin. W latach siedemdziesiątych na skutek porozumienia pomiędzy rządami obu krajów — Helsinki 1975 r. (sprawa wyjazdu ludności pochodzenia niemieckiego nie weszła do Układu z 7. XII. 1970) wyjechało około 150 tysięcy dalszych osób. Mimo humanitarnej postawy strony polskiej rewizjonistyczne koła zachodnioniemieckie dalej wysuwają żądania ludnościowe przyjmując bezpodstawnie, iż obywatelstwo byłej Rzeszy Niemieckiej (nawet sprzed I wojny) jest identyczne z niemiecką narodowością. Niekonsekwencja w postępowaniu strony zachodnioniemieckiej daje się zaobserwować w wielu innych dziedzinach. Do szczególnie jaskrawych przykładów należy sprawa wprowadzenia w życie nowych podręczników szkolnych do historii i geografii, opracowanych wg zaleceń wspólnej komisji PRL i RFN, działającej przez kilka lat pod auspicjami UNESCO. W myśl umowy strona zachodnioniemiecka ustalone zalecenia miała wprowadzić w praktykę nauczania szkolnego. Pojawiły się tutaj jednak przeszkody, rząd RFN powołując się na federalną strukturę państwa i autonomię krajów związkowych w dziedzinie oświaty nie uczynił wiele, aby trudności te przezwyciężyć.

Obecną sytuację w zakresie wprowadzania zaleceń podręcznikowych można scharakteryzować następująco: władze polityczne i oświatowe uzależniają swoje poparcie dla niej od skali oddolnego zaangażowania, głównie nauczycieli, ci zaś oczekują pobudzenia i zachęty ze strony władzy.

Należy tutaj zauważyć, że analogiczne, wcześniejsze porozumienia RFN z Francją odnośnie udoskonalenia treści podręczników zostały w pełni wykonane i w tym wypadku ani autonomia krajów związkowych, ani zdecentralizowany ustrój szkolny, ani wreszcie złożony mechanizm kwalifikacji nowych podręczników szkolnych nie stanowiły przeszkody. Natomiast w wypadku Polski powyższe czynniki są nie do pokonania i chyba mamy tutaj do czynienia z regułą „nie chcieć znaczy więcej niż nie móc".

Blok zagadnień kulturalnych, niezwykle rozległy i ważny w systemie obustronnych związków pomiędzy PRL a RFN, wykazuje zdecydowanie mniej nieprawidłowości. Można tutaj odnotować pewien katalog ważkich wydarzeń, jak np. powołanie do życia Instytutu Polskiego w Darmstadt (na czele którego stoi znany tłumacz literatury polskiej Karl Dedecius), wzajemne wizyty polskich i zachodnioniemieckich teatrów, czy organizowanie tzw. Polskich Dni w szeregu miast Republiki Federalnej (Kilonia, Hamburg, Bonn itd.) względnie Dni Filmu i Teatru RFN w Polsce. Szczególnym uznaniem cieszą się nad Renem polscy muzycy i kompozytorzy, mający nawet premiery swych utworów w RFN (K. Penderecki). Czołowi polscy reżyserzy teatralni, muzycy i dyrygenci otrzymują ze strony zachodnioniemieckiej interesujące propozycje (K. Dejmek, J. Krenz, E. Axer). Wymiana kulturalna pomiędzy Republiką Federalną Niemiec a Polską oddaje dziełu wzajemnego zbliżenia i porozumienia niewątpliwie nieocenione usługi. Strona zachodnioniemiecka ma okazję wyrównać dawne zaległości w poznawaniu światowych osiągnięć polskiej kultury, zaś czołowe dokonania zachodnioniemieckie w zakresie postępowej literatury, muzyki, filmu czy teatru znajdują w naszym kraju dobre przyjęcie.

Umocnienie w latach 70 pokoju i bezpieczeństwa europejskiego jest w znacznym stopniu następstwem układów zawartych przez RFN z krajami socjalistycznymi, przy czym szczytowe dla tej sprawy osiągnięcie stanowiło zwołanie i sukces KBWE w 1975 r. w Helsinkach. Od tego momentu nastąpił w polityce RFN wyraźny spadek zainteresowania dalszą normalizacją, „Ostpolitik" zaczęła tracić znaczenie samodzielnego odcinka w jej polityce. Można wręcz stwierdzić, że staje się ona (z wyjątkiem stosunków z ZSRR) w coraz większym stopniu podporządkowana polityce niemieckiej (Deutschlandspolitik).

Pamiętając o celu strategicznym tej polityki, którym jest osiągnięcie państwowej jedności niemieckiej nasuwa się wniosek, że układy z lat 1970 — 73 miały stworzyć bazę dla rokowań z drugim państwem niemieckim w celu ich wzajemnego zbliżenia.

W tym kontekście dalszy proces normalizacji stosunków RFN z krajami socjalistycznymi (w tym z Polską) widziałaby ona jako pochodną postępów polityki niemieckiej. Zdając sobie sprawę, że zainteresowanie takim rozwiązaniem wykazuje tylko jedna strona, należy jednocześnie pamiętać, iż rola RFN w stosunkach międzynarodowych stale wzrasta co sprzyja reprezentowaniu przez nią własnej doktryny polityczno-prawnej „o jedności narodu niemieckiego". Taka postawa prowadzi do prób relatywizowania trwałości obecnych struktur powojennych oraz „instrumentalnego traktowania" postanowień helsińskich, co ma negatywny wpływ na dalszy wszechstronny proces normalizacji.

Tak więc układ o normalizacji wzajemnych stosunków między RFN, a Polską należy ocenić z perspektywy 10 lat jako układ nie w pełni zrealizowanych szans, dalsze jego perspektywy rozwojowe w decydującym stopniu uzależnione są od autentycznego zaangażowania RFN w wypełnianie treści jego postanowień.

TADEUSZ DUBICKI
KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

NASZ GŁOS W SPRAWACH PUBLICZNYCH

(Uchwała Nadzwyczajnego Zjazdu SDP)

Nadzwyczajny Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich obradujący w dniach 29—31 października 1980 roku wyraża pełne poparcie dla procesu przemian demokratycznych, jaki dokonuje się obecnie w naszym kraju. Jest to proces złożony i trudny, nie przebiega on prostą drogą. Jesteśmy przekonani, iż członkowie SDP i całe środowisko dziennikarskie dążyć będą z całą żarliwością do usunięcia źródeł kryzysów i do stworzenia programu, który zapewni, że rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dokonywać się będzie bez okresowych załamań i konfliktów społecznych.

Uznając niezwykle twórczą i istotną rolę wystąpień robotników dla usunięcia źródeł kryzysu społeczno-politycznego i gospodarczego — widzimy potrzebę konsekwentnego usuwania tych źródeł i tworzenia programu naprawy. W tym procesie niezmiernie ważną rolę do spełnienia mają środki masowego przekazu. Punktem wyjścia procesów odnowy są, naszym zdaniem, porozumienia z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. Opowiadamy się za konsekwentnym wprowadzaniem ich w życie. Jesteśmy przekonani, że należy przede wszystkim przyspieszyć proces realizacji postulatów o charakterze politycznym i organizacyjno-prawnym, gdyż stworzy to podstawy społeczne dla wprowadzenia reform gospodarczych i reform odnawiających samorządową strukturę wszelkich organów przedstawicielskich. Uważamy, że proces demokratyzacji jest faktem nieodwracalnym w życiu społeczeństwa i państwa, i leży w najgłębszym interesie narodu.

Procesowi odnowy nie służą rozmaite, niespójne w swej istocie, taktyczne posunięcia, noszące znamiona manipulacji i niepotrzebnie antagonizujące społeczeństwo. Świadczy o tym na przykład sprawa rejestracji NSZZ „Solidarność". Świadczy o tym prowadzona nadal w niektórych regionach kraju mała wojewódzka polityka blokowania przemian, także wobec lokalnych środków masowego przekazu. Wyrażamy nadzieję, że sprawy te zostaną rozwiązane zgodnie z interesem społecznym i zasadami praworządności.

W działalności środków masowego przekazu w ciągu ostatnich miesięcy nastąpiło wiele zmian pozytywnych — poszerzenie zakresu informacji i pogłębiona ocena źródeł kryzysu, czemu sprzyja otwarta dyskusja w wielu zespołach redakcyjnych. Równocześnie jednak występują nadal zjawiska niepokojące, niekiedy wręcz szkodliwe. Są to próby dezinformacji, jednostronność ocen, opóźnianie się z podejmowaniem problemów nurtujących społeczeństwo. Szczególnie niepokoi nieprecyzyjne szermowanie pojęciem „sił antysocjalistycznych". Agresywna i przeinaczająca fakty propaganda przynosi jedynie szkody, podrywa zaufanie do wiarygodności środków masowego przekazu i nie służy kształtowaniu się właściwej kultury politycznej w społeczeństwie. Protestujemy przeciwko wystąpieniom w środkach masowego przekazu ludzi prezentujących pogardę i lekceważenie społeczeństwa.

Zjazd uważa, że dla przezwyciężenia istniejącego kryzysu i dla trwałości demokratycznych przemian niezbędne jest, aby środki masowego przekazu odzwierciedlały wielość poglądów, opinii i ocen różnych grup społecznych, stojących na gruncie Konstytucji PRL. Uważamy za konieczne zrealizowanie punktu Porozumienia Gdańskiego, dotyczącego zagwarantowania nowym związkom posiadania własnych wydawnictw. Brak możliwości prezentowania swego stanowiska, zarówno w tych wydawnictwach jak i w istniejących środkach masowego przekazu, jest jednym z podstawowych powodów powstawania nowych zadrażnień, co w konsekwencji utrudnia nowym organizacjom związkowym podjęcie pozytywnych działań na rzecz rozwiązywania sytuacji kryzysowych. Szeroka prezentacja różnych poglądów, nieskrępowana krytyka i swobodna dyskusja są niezbędnymi warunkami odbudowy więzi społecznej oraz budowy programu rozwoju naszego kraju i integracji wokół nadrzędnych celów narodowych.

Jesteśmy zdania, że niezwykle ważnym zadaniem prasy, radia i telewizji w chwili obecnej jest podanie do wiadomości społeczeństwa pełnej prawdy o sytuacji ekonomicznej kraju. Opowiadamy się za dokonaniem głębokich i zasadniczych reform w metodach funkcjonowania gospodarki. Niezbędne jest przy tym nadanie autentycznego priorytetu sprawom rolnictwa i gospodarki żywnościowej. Indywidualne rolnictwo musi uzyskać gwarancje trwałości swojego rozwoju.

Opowiadamy się za przeprowadzeniem szybkich zmian, umożliwiających spełnianie przez załogi zakładów pracy i ich organizacje, w tym nowe związki zawodowe, funkcji współgospodarza zakładów, regionów i całego kraju. Stanu takiego nie osiągniemy przez apele i nawoływania do zachowania rytmiczności produkcji i podnoszenia wydajności pracy, ale przez usunięcie przyczyn wywołujących napięcia oraz przez stworzenie instytucjonalnych warunków dla autentycznej działalności samorządu robotniczego przedsiębiorstwa oraz innych form samorządowych — na wsi i w mieście. Współodpowiedzialność za działanie gospodarki mogą przyjmować na siebie tylko ci, którzy mają prawo współdecyzji.

Witając z zadowoleniem wyniki rozmów polskiej delegacji partyjno-rządowej z przywódcami ZSRR Zjazd zobowiązuje nowy Zarząd Główny SDP do zaproszenia naszych kolegów dziennikarzy z państw socjalistycznych, w celu poinformowania ich o sytuacji w Polsce, istniejących problemach i zamierzeniach.

W klasie robotniczej widzimy wielki potencjał dobrej woli i chęci działania na rzecz naprawy Rzeczypospolitej. Jeżeli tak rozumiemy motoryczne siły procesu odnowy, to musimy z całą mocą podkreślić nie dający się przekreślić obowiązek całej polskiej inteligencji, konstruktywnego włączenia się w nurt reform. Nie wolno nam bowiem zapominać, że nie tylko na „zakretach historycznych", ale we wszystkich najtrudniejszych momentach naszych powojennych dziejów — wiele środowisk inteligenckich w sposób odważny, odpowiedzialny i patriotyczny podnosiło swój głos w obronie podstawowych wartości, w obronie godności narodowej, kultury i postaw moralnych, ostrzegając przed zbliżającym się kryzysem zaufania.

Pamiętając o tym wszystkim wyrażamy nasze stanowcze poparcie tym siłom w partii i społeczeństwie, które aktywnie dążą do społecznych i gospodarczych reform. Uważamy, że proces odnowy nie jest możliwy bez równoprawnego udziału w nim wszystkich obywateli, ludzi wszystkich światopoglądów i grup pokoleniowych.

My, dziennikarze, powinniśmy te procesy nie tylko rzetelnie rejestrować, ale wspierać je naszą pasją, wiedzą i umiejętnościami.

Foto: R. Łucyszyn

PAWEŁ TOMASZEWSKI

NAUCZYĆ PTAKI PRZESTRZENI

Kończyły się już wakacje, a trwały jeszcze strajki. Ludzie nie wierzyli a władze niezbyt przekonywająco o tym mówiły, że porozumienia zawarte na Wybrzeżu i w Jastrzębiu, dotyczyć będą całego kraju. Każdy chciał mieć zatem gwarancje swego. Trudno się dziwić. Tak więc to tu, to tam, zbierały się rozmaite komisje mieszane. Zgłaszano postulaty. Podpisywano coraz to nowe porozumienia. W gronie tych, którzy niczego nie potrafili lub nie chcieli nauczyć się z tych trudnych, a momentami tragicznych dni sierpniowo-wrześniowych, rosło oburzenie i irytacja. Zanosi się na przetarg nieograniczony. Jak tak dalej pójdzie to władza wyprzeda wszystkie swoje atuty — wołali. Tymczasem ta nowa już władza, nie słuchając głosów owych poirytowanych porażką swoich ocen i prognoz doradców, rozmawiała, wysłuchiwała i podpisywała zobowiązania nowej umowy społecznej. Jednym z gwarantów tej umowy były wolne, samorządne i niezależne związki zawodowe.

Kiedy zastanawialiśmy się wówczas, w połowie września, w gronie przyjaciół nad przyszłością odmienionego ruchu związkowego, było już dla nas oczywiste, że ruch i duch odnowy nie może ominąć również środowiska akademickiego. Wśród pracowników naukowych, nauczycieli akademickich, zawiązywały się pierwsze ogniwa „Solidarności". A co będzie z ruchem studenckim? — pytano coraz bardziej natarczywie i z pewnymi, coraz mniej skrywanymi obawami, troskami.

Zastanawiano się, kalkulowano z jaką mocą dotrze fala odnowy do studentów. Zgadzano się, że będzie to fala odbita, zdeformowana w jakiś tam sposób. Ale na ile i przez jakie procesy ulegnie ona deformacji w stosunku do głównego nurtu wydarzeń? Tego nikt nie potrafił jeszcze wówczas przewidzieć.

Ale już dociekano, już kalkulowano na temat tego, czego też studenci będą się domagać? Czy będą negowali? Przeciwko czemu protestowali? Jeśli w ogóle będą z czymkolwiek do władz uczelni przychodzili — dorzucali co bardziej pewni politycznej obojętności i organizacyjnej degrengolady ruchu studenckiego.

Tymczasem do akademików zjeżdżali już na sesję „naukowców" pierwsi studenci. Przybywały do Łodzi z wakacji grupki aktywu. I wtedy to odebrałem pierwszy telefon z propozycją spotkania się z grupą studentów, aby porozmawiać na temat aktualnej sytuacji w kraju. Dyskusje nasze zaczynały się zwykle od spraw aktualnie najważniejszych i zawsze schodziły na temat coraz to bardziej intrygujący, czyli przyszłość ruchu studenckiego. Wielu bowiem uczestników tych rozmów niepokoiło się rozwojem sytuacji w Gdańsku, Krakowie czy Wrocławiu. Coraz częściej mówiło się o powstających to tu, to tam niezależnych związkach studenckich. Padało też hasło: samorządność.

Na początku była sprawa SZSP. I pytania: czy organizacja się utrzyma? Czy wytrzyma falę krytyki? Czy aktywistów nie poniosą nerwy i zapyziała ambicja? Pytania się mnożyły. Odpowiedzi też było sporo. Głównie w tym stylu: organizacja wytrzymą, choć wielu aktywistów przepadnie. Na pewno sporo ludzi z SZSP odejdzie. I obawa o to, czy jeśli organizacja tę burzę już wytrzyma, to czy aby nie pozostanie wrakiem? Co do jednego wszyscy byli zgodni, a mianowicie, co do tego, że cokolwiek by się nie stało, ile by tych nowych organizacji studenckich nie powstało, to zadbać trzeba o to, aby:

— niezależnie od organizacyjnego rozbicia, zachować jedność ruchu w sprawach dla studentów najważniejszych,

— aby ostała się w środowisku akademickim organizacja o charakterze ideowo-politycznym; niech ona tylko nie będzie funkcjonującą na zasadzie przybudówki PZPR,

— stworzyć płaszczyznę realnej integracji rozbitego organizacyjnie ruchu studenckiego. Na tej płaszczyźnie miałyby się zespalać wysiłki tych z SZSP, nowych organizacji i tych studentów, którzy staną pośrodku (byle nie obok!).

Chciałbym podkreślić, że te postulaty wysuwane były podczas moich rozmów z aktywem studenckim, z działaczami rozmaitych agend SZSP. Brakowało głosu najważniejszego — reprezentanta ogółu studentów. Można by się na mnie w tym miejscu żachnąć za ostatnie sformułowanie i zapytać: jak to, a czy aktyw tak masowej organizacji, jak SZSP nie był reprezentantem tegoż właśnie ogółu, nie był miarodajną reprezentacją wszystkich studentów srodowiska? Otóż, właśnie rzecz w tym, że już wówczas, to jest przed plenum w Uniejowie, a tym bardziej po obradach tego gremium, większość zgadzała się co do tego, że organizacja nie może sobie już dłużej uzurpować prawa wyłącznej reprezentacji zdania i interesów wszystkich studentów. Konstatacja tego faktu dla wielu nie była łatwa.

Rzeczywistość bywa często nader brutalna, a nawet niesprawiedliwa. Można się z nią zgadzać, można się brać za bary, ale nie wolno ignorować jej. Kończył się czas monopolu SZSP w środowisku akademickim i to był fakt.

Pogodzenie się z porażką sprawy, za którą się obstawało przez jakiś tam długi szmat czasu, nie przychodzi łatwo. Jedni udawali, że niczego co by można naprawić w organizacji nie widzą. Że organizacja, a nade wszystko oni sami (bo niby dlaczego Związek to nie oni?) są w porządku. Byli i inni. Mówili: zgoda. To i tamto, nie wychodziło. Niejedno było w SZSP postawione na głowie, ale dlaczego od razu ucinać głowę? Spróbujmy raczej głowę i wszystko inne, postawić na swoim miejscu...

Tymczasem przyszło już inaugurować nowy rok akademicki. W ramach tradycyjnego festynu przemówień okolicznościowych, występowali na uroczystych akademiach w uczelniach przewodniczący rad SZSP. I słuchało się tych wystąpień tak, jakby nic się nie stało i jakby nic się nie mogło zdarzyć potem. Optymistów rozpierała pewność siebie... No, widzicie! U nas spokój. Niech na całych swoich koleżanek i kolegów.

Scena zgłasza sprzeciw — komitet założycielski nie może być na razie zbyt liczny.

— *A ja się zgadzam z kolegą!*

Scena: — *Nie czuję się upoważniona do rozszerzania komitetu.*

— Przegłosować propozycję! *Przegłosować!*

— *Nie głosować!*

— *Głosować!*

— *Na jednym zebraniu była już dywersja ze strony eszetespe.*

— *No to co, głosujemy?*

Wniosek przegłosowany.

Relacja ze spotkania z rektorem na bibliotekoznawstwie: Kolegium Rektorskie ustaliło, że władze uczelni nie będą się mieszać do spraw organizacji. Rektor obiecał pokój i maszynę do pisania.

Relacja z działań członków komitetu założycielskiego na kierunkach. To teraz najważniejsze!

Cybernetyka: *pierwszy rok się boi, a czwarty podszedł do całej sprawy niepoważnie. Jest paru chętnych, ale teraz nie mają czasu.*

Prawo: *dziekanka pozwoliła na spotkanie informacyjne i własną tablicę. Na razie zapisały się 22 osoby. 80 procent zajmuje wyczekujące stanowisko.*

Filologia polska i angielska:

Na scenie stał stół i kilka krzeseł. Trzy były już zajęte. Spóźnieni siadali na ławkach szkolnych, na podłodze, na brzegu niskiej sceny — gdzie kto mógł. *Zaczynać! Szkoda czasu!* — Ktoś spojrzał na zegarek. — *Dobra, zaczynamy.*

Niewidzialna kurtyna poszła w górę.

Scena odczytuje komunikat o powstaniu Komitetu Założycielskiego Niezależnego Związku Studentów Łodzi w Uniwersytecie Łódzkim. Proponuje następujący porządek zebrania: informacja o sytuacji na wydziałach i poszczególnych kierunkach, ustalenie planu działania.

Sala: — *Kto jest władzą?*

Odpowiedź sceny: — *Władzą jest komitet założycielski.*

Scena: *Musimy dziś ustalić termin uczelnianego spotkania. Na uniwersytecie enzeteseł nie ma jeszcze lokalu. Prorektor obiecał podjąć decyzję w piątek. Komitet założycielski proponuje, żeby siedziba enzeteseł była na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym. Wszystkie osoby mogą składać postulaty, które później — miejmy nadzieję — zostaną zrealizowane.*

Propozycja sali, że jeżeli obecne są osoby z kierunków, z których nie ma dziś oficjalnych przedstawicieli Uczelnianego Komitetu Założycielskiego NZSŁ, to niech osoby te mają prawo reprezentowania

KAROL JÓZEF STRYJSKI

SCEPTYCZNI CZY OBOJĘTNI?

łym świecie wojna, nasza łódzka wieś spokojna...

I owszem, ale niedługo. W kilka dni zaledwie potem uczestniczyłem w inauguracyjnym posiedzeniu zespołu doradczego powołanego przez sekretarza do spraw nauki Komitetu Łódzkiego PZPR. Na posiedzeniu tym rektor PWSFTviT w Łodzi referował szczegółowo fakt powołania w tej uczelni komitetu założycielskiego Niezależnego Związku Studentów. Potem tego typu komitety powstały w pozostałych uczelniach Łodzi.

Fakt powstania NZS w uczelniach łódzkich był, jak się to rychło okazało zaskoczeniem zarówno dla pełnych optymizmu władz jak i aktywu SZSP. Władze jednak zareagowały w miarę prawidłowo. Skoro już to „coś" jest, co tu dużo mówić — dziecko nie bardzo przecież chciane, to nie można faktu tego ignorować. Rektorzy zatem przyznali NZS lokale, minimum środków itp. Aktywiści SZSP zaś, pochowali głowy w piasek, a prawidłowo rzecz nazywając i po imieniu — tylki w pokojach rad wydziałowych i uczelnianych. Ale czy udając, nie wiem zresztą przed kim, że się czegoś tam nie widzi, zmieniało w czymkolwiek to, że istnienie konkurencji jest faktem?

Wreszcie jednak koledzy z SZSP ocknęli się i zaczęli coś robić. Tu i ówdzie zaczęło się od prześmiewek. Na jednej z wielu tablic ogłoszeń w Politechnice Łódzkiej widziałem taki oto obrazek — żart. Drzwi z napisem: Rektor. Przed drzwiami spora grupka studentów z jakimiś papierami pod pachą. I dochodzący głos zza uchylonych drzwi gabinetu: Następny niezależny, proszę!

Bywały równie dowcipne rysuneczki, jak ten, ale bywały i mniej śmieszne, a nawet żenujące. Cóż, trudno nawet wymagać, aby można było przejść tak nagle i to jeszcze z powodzeniem od stylu propagandy sukcesu do niełatwej agitacji politycznej i rywalizacji programowej. Tego jeszcze przyjdzie się uczyć i to nie tylko działaczom studenckim.

Ale powrócę do wcześniej zasygnalizowanej sprawy, a mianowicie stosunku ogółu studentów do reformowanego SZSP i powstających ogniw NZS.

Pierwszą, poważną próbą sił dla Związku była akcja weryfikacji. Przegląd szeregów członkowskich, nie dał zapewne spodziewanych pomyślnych, czy krzepiących rezultatów. Różne były w połowie października szacunki. Najczęściej zakładano, że w organizacji pozostanie na podstawie chęci i deklaracji dalszej w niej działalności około 20 proc. jej dotychczasowych członków. Bywały jednak wydziały, gdzie w tym czasie potwierdzało swoją przynależność do SZSP niewiele ponad 8 proc. dawnego składu członków.

A co u Niezależnych? Na tablicach ogłoszeń w poszczególnych wydziałach PŁ, przeczytać można było: jest nas 25, a za kilka dni — 57, czy — 86. Bywało i mniej, rzadziej — więcej. A więc i tu szeregi nie były zbyt liczne i nie rosły bynajmniej w tempie imponującym.

W tym momencie dochodzimy do problemu zasygnalizowanego wprost w tytule. Chodzi o próbę odpowiedzenia na pytanie: dlaczego, skoro nie tak wielu studentów wstępowało do NZS, tak niewielu równocześnie deklarowało swoją chęć działania w SZSP?

Wydaje się, że nietrudno było fakt powyższy przewidzieć. Dowodem może być Uchwała ZG SZSP, podjęta w dniu, 20.IX. br., gdzie czytamy m. in.: „Kryzys władzy w Polsce podważył pozycję i autorytet wielu elementów systemu (...) Proces ten obejmuje również ruch studencki w jego dotychczasowym kształcie".

I to jest prawda. Studenci sceptycznie wypowiadają się o dorobku i działalności tej organizacji. Czy nie deklarując zatem swojego dalszego członkostwa w Związku, dowodzą tym, że nie wierzą w możliwość naprawy tego, co było w SZSP złe i nieprawidłowe? I tak i nie! Wielu bowiem korzysta z weryfikacji, aby dać wyraz swojej dezaprobacie wobec dotychczasowej praktyki agitacji, a raczej akcyjnego, okresowego werbunku do Związku. Chodzi bowiem o to — mówią studenci — że nie można budować siły Związku na prędko rozdawanych i zbieranych deklaracjach, czy na niezdrowych ambicjach typu (na papierze) — im nas więcej tym większa nasza siła. A więc krytyczny stosunek do przeszłości i sceptycyzm na przyszłość. Brak zaufania wyrażany w stosunku do wszelkich struktur formalnych. Wielu bowiem studentów w sondzie robionej przez Studenckie Radio „Żak", wypowiadało się mniej więcej tymi słowami: Niezależni? Dobrze, że są. Może będzie konkurencja? Może to pomoże ruchowi, a może i nie.. A jeśli ci Niezależni też popadną w rutynę biurokracji? Gwarancji, że tak nie będzie nie ma żadnej.. I pytanie: czy dlatego nie wstępujesz do NZS? Odpowiedź: może i dlatego...

Wielu jednak studentów nie ma żadnego zdania ani o SZSP (poza sloganowymi słowami negacji) ani własnego stosunku do NZS. Najczęściej nagabywani o wypowiedź wzruszają ramionami, albo machają ręką. W sumie jest to irytujące...

Czy można zatem powiedzieć, że dla zdecydowanej większości studentów sprawy przyszłości ich ruchu i ich samych w październiku 1980, były zupełnie obojętne? Nie. To nie byłaby całą prawda. Studenci pragną zmian, oczekują ich nawet z pewną niecierpliwością, ale równocześnie nie deklarują swojej chęci uczestnictwa w tych przemianach albo czynią to z wieloma zastrzeżeniami. Chętnie podpisują się pod już gotowymi deklaracjami i postulatami. Mówią: dobrze, że jest NZS, bo może będzie teraz lepiej i zgadzają się na to, aby działała w ich środowisku również organizacja polityczna o jednoznacznym, tj. socjalistycznym obliczu ideowym. Ale nie zgłaszają bynajmniej na wyścigi chęci wstąpienia do niej i pracy w jej ogniwach czy agendach.

Kiedy w dyskusjach zarzucić im obojętność, obruszają się czasami i tłumaczą: my nie mamy czasu. My musimy się uczyć, po to tu, tzn. na uczelnię, rodzice nas posłali. I to także jest prawda. Zamiast uczelni, mamy dziś szkoły, zamiast studiowania — jedynie uczenie się, „wkuwanie" na stopnie, dla nagrody rektorskiej. Na działalność społeczną, na rozwój swojej osobowości, swoich zainteresowań wreszcie — na poznanie samego siebie już nie starcza im czasu, a może poprostu chęci i sił.. Stąd obojętność tak wielu młodych wobec tego wszystkiego, co się w Polsce działo i dzieje.

Jest jeszcze i inny powód tego, iż dla wielu młodych nie zawsze wzorem osobowym jest człowiek wrażliwy i społecznie zaangażowany. Są bowiem wśród wychowawców młodego pokolenia i tacy, którzy powołując się na swoje doświadczenie życiowe powtarzali, że najważniejsze jest to, aby wchodzić w samodzielne życie w roli pogodzonego z góry ze światem takim, jakim on jest, nawet jeśli nie jest najlepszym z możliwych. Brak konsekwencji stosowania w praktyce funkcjonowania szkoły wyższej związku celów nauki, dydaktyki i wychowania także pozostawił rysę w osobowości wielu wychowanków. Ponadto wbrew pozorom w dotychczasowym modelu uczelni brakuje głębszych, zróżnicowanych i autentycznych motywacji do samodzielnego myślenia i społecznego działania.

Powie ktoś — są wyjątki. Tak. Może nawet wcale nie tak nieliczne, ale one potwierdzają jedynie regułę, a nie przeczą jej...

Foto: R. Łucyszyn

---

zgłosiło się już 110 osób, głównie z polonistyki. Słaba informacja: nie wszyscy jeszcze wiedzą, co to jest ta nowa organizacja.

Biologia: nie mam jeszcze *pełnego rozeznania, nie bardzo wiem, co mówić ludziom, którzy się zgłoszą. Geografia chyba jeszcze nic nie wie, bo jest w innych budynkach. Ja jestem z pierwszego roku i nie bardzo mam czas latać.*

Historia: *dopiero wczoraj zaczęliśmy zapisywać. Zrobiliśmy zebranie informacyjne dla pierwszego roku. Zgłosiło się 21 osób, przy czym 4 z innych kierunków. Co z nimi zrobić? Mamy już swoją tablicę.*

Fizyka: *8 zgłoszeń — tylko z pierwszego roku. ludzie się boją, czekają na przedstawiciela eszetespe.*

— Po co czekają? Aż eszetespe nas zje?!

Germanistyka: *Zrobiliśmy zebrania informacyjne dla wszystkich. Przyszło trzech działaczy rady uczelnianej eszetespe i starali się rozbić zebranie. Ciągle zmieniali temat rozmowy.*

Scena (po dłuższym namyśle): *dokooptować do składu komitetu założycielskiego ludzi z kierunków, które nie są jeszcze reprezentowane.*

Zgłasza się handel zagraniczny, organizacja i zarządzanie. Nie ma nikogo z chemii i rusycystyki.

— Czy organizować otwarte zebranie uczelniane?

Wątpliwości, czy to coś da. Na razie powinny być tylko zebrania na wydziałach.

— Podobno wczoraj w „Kiksie" było zebranie eszetespe, na którym. byli bliżej niezidentyfikowani przedstawiciele enzeteseł Kto to był? Czy, aby ktoś się pod nas nie podszył?

— A co ze statutem?

— Wpadać do nas, do emkazetu (to w tym samym budynku na dole, naprzeciw bufetu) *i dowiadywać się, czy projekt statutu jest już powielany.*

— Dowiedziałem się, że eszetespe ma podjąć decyzję o zrezygnowaniu z prowadzenia spraw socjalno-bytowych i przejmie je samorząd.

— Z eszetespe nie ma teraz co wdawać się w polemiki. Musimy się najpierw dobrze zorganizować.

— Czy mógłbym coś przeczytać?

Scena delikatnie wyraża protest.

— Zajmiesz nam tylko czas. I tak jest już późno: prawie dziesiąta.

— Przecież to jest demokratyczne zebranie i każdy ma prawo się wypowiedzieć. Koleżanki i koledzy, nie wracajmy do referatów i oklasków.

Oklaski.

Odczytany tekst, to wizja przyszłości ruchu studenckiego. Jest w nim propozycja struktury organizacyjnej samorządu studenckiego. Idea jego działalności. Ale czyja to wizja?

— No, widzisz, zająłeś tylko czas. To była publicystyka.

Temperatura sali rośnie.

— Skąd będziemy brali pieniądze na naszą działalność?

— Czy brać pieniądze państwowe, czy się uniezależnić?

— To są społeczne pieniądze i mamy prawo je brać!

— Trzeba jak najszybciej wyjaśnić kompetencje w sprawach socjalno-bytowych, bo ludzie załatwiają sobie wszystko jeszcze w eszetespe.

— Konieczne jest spotkanie z prawnikami.

— Nowa wersja statutu, nad którą pracuje w tej chwili na dole emkazet, jest konsultowana z prawnikami — wyjaśnia scena — *i przewiduje uwzględnienie wszystkich spraw socjalnych.*

— Eszetespe nas nie interesuje. Niech sobie dalej działa jak chce. Później możemy mieć takie same prawa i możliwości jak eszetespe, jeżeli będziemy chcieli.

— Ale czy będziemy chcieli mieć takie same prawa i obowiązki?

— To zależy od nas samych.

Scenie coraz trudniej panować nad salą. Z niespodziewaną pomocą przychodzi asystent z polonistyki, który — niezauważony — przysłuchiwał się dyskusji:

— Państwo odwracają proporcje. Komitet założycielski nie stanowi żadnej władzy, bo władza zostanie dopiero później wybrana w demokratycznych wyborach. Ten styl prowadzenia zebrań zdecydowanie mi nie odpowiada. Państwo reprezentują teraz tylko i wyłącznie samych siebie.

Chwila ciszy. Ale tylko chwila.

— Proponuję przegłosować, czy enzeteseł ma częściowo przejąć dysponowanie funduszami uczelni na sprawy studenckie.

— Czy trzeba teraz nad tym głosować, skoro nie jesteśmy jeszcze ukonstytuowani?

— Głosujemy!

— Nie głosujemy!

— Chodzi o to, żeby przegłosować, czy zgłaszamy taki postulat.

— Dyskutujmy przede wszystkim nad linią propagandową wokół której mamy zbierać ludzi.

— Nie powtarzajmy błędów eszetespe;

W sali zjawia się członek Międzyuczelnianego Komitetu Założycielskiego Niezależnego Związku Studentów Łodzi, który w tym samy czasie, dwa piętra niżej, w podziemiach „filmówki" pracuje nad statutem. Mówi o nowej wersji statutu, ale to nie rozwiewa wątpliwości sali. Wprost przeciwnie. Scena posyła więc po nowe posiłki na dół. Po chwili zjawia się kolejny członek MKZ. Mają właśnie przerwę w obradach. Wyjaśnia, że postulatów się nie głosuje. Postulaty wpisuje się do zeszytu, który jest na dole.

Temperatura sali trochę opada. Parę osób opuszcza zebranie, Ci, którzy pozostają, stawiają nowe pytania, rzucają mniej lub bardziej przemyślane propozycje. Ktoś kogoś posądza o mącicielstwo. Ktoś się na kogoś obraża. Znów ktoś wychodzi.

— Nad szczegółowymi rozwiązaniami — przekrzykuje salę student z dołu — *będziemy dyskutować wtedy, gdy już się dobrze zorganizujemy. Sytuacja, w jakiej istnieją komitety założycielskie, jest sytuacją nienormalną i o tym musimy pamiętać...*

Niezależni... Zbyt wiele ich jeszcze dzieli, zbyt mało łączy — niechęć do stylu pracy SZSP. Zbyt mało, by wiedzieli, czego razem naprawdę chcą. Postanowili zacząć od zera, zerwać z dotychczasową praktyką działania organizacji studenckiej, z ludźmi, do których stracili zaufanie. Komu teraz mają zaufać?

Niezależni... Przypominają ptaki zbyt długo trzymane w żelaznej klatce. Ptaki, które skrycie tęsknią do bliżej nieokreślonej, nie znanej im wolności, do przestrzeni, choć nigdy nie zaznały swobodnego lotu Klatka była ciasna, żelazne pręty skutecznie odgradzały od świata, o którym opowiadano w niej legendy. Ale przecież te same żelazne pręty chroniły przed różnymi niebezpieczeństwami.

I oto nagle drzwi klatki zostały wyłamane. Ptaki mogą wreszcie wylecieć w tę wymarzoną przestrzeń. Mogą, ale bezradnie zatrzymują się na progu. Skrzydła niektórych odmawiają posłuszeństwa. Inne niezdarnie próbują poderwać się do swobodnego lotu. Nikt nie nauczył tych ptaków przestrzeni.

Bywają takie chwile, kiedy dokonać wyboru jest równie trudno, a może nawet trudniej niż pogodzić się z myślą, że wyboru nie ma.

P.S. Zebranie założycielskie Niezależnego Związku Studentów Łodzi Uniwersytetu Łódzkiego odbyło się 7 października 1980 roku w jednej z sal ćwiczeniowych Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Obecnie Niezależne Zrzeszenie Studentów (taką ostatecznie przyjęto nazwę) ma na UŁ około 2 tysięcy członków.

Dalszy ciąg ze str. 1

dziernika 1980 r. rozmowy w sprawie płac nie dały rezultatów, nie dała ich również akcja protestacyjna zapoczątkowana 13 listopada.

„W tej sytuacji — głosił apel — **Tymczasowa Komisja Włókniarzy, działając z upoważnienia Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność" informuje wszystkich pracowników przemysłu lekkiego, iż od dnia 24 listopada 1980 roku w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego w Łodzi, delegaci przedsiębiorstw czekają przybycia Komisji Rządowej dla podjęcia rozmów. Do czasu przyjazdu Komisji delegaci nie opuszczają sali obrad."**

Biało-czerwone zawiadomienia o oczekiwaniu na przyjazd Komisji Rządowej pokryły całe miasto. Plakaty zagęściły się w rejonie ul. Ogrodowej słynnej z charakterystycznego korpusu dawnej fabryki Poznańskiego. Na terenie fabryki, za żelazną secesyjną bramą, w oddzielonym od hal produkcyjnych budynku, już od wczesnych godzin rannych przebywało ponad 100 delegatów włókniarzy z terenu całego kraju. W sąsiadującym z zakładami kinie gromadzili się łącznicy, których zadaniem będzie przekazywanie na bieżąco do macierzystych fabryk otrzymywanych przez głośniki wiadomości z sali konferencyjnej.

Kiedy przybyliśmy do „Marchlewskiego", aby relacjonować negocjacje, wyczuliśmy od razu nieuchwytne napięcie, które towarzyszyć będzie rozmowom przez długie cztery dni. Sposób przyjęcia dziennikarzy jest w takim wypadku papierkiem lakmusowym ogólniejszych nastrojów. Biuro prasowe „Solidarności" wita nas wprawdzie bez niechęci, ale z nietrudną do zauważenia rezerwą. Jedną z przyczyn tej nerwowości można przynajmniej odgadnąć. **„Informujemy — głosił apel Tymczasowej Komisji Włókniarzy — że dawny związek usiłuje przejąć inicjatywę w swoje ręce. Akcje podejmowane przez Zarząd Główny są obliczone na odzyskanie popularności bez względu na skutki dla kraju. Nie dajmy się sprowokować żadnym inicjatywom bez uzgodnienia ich z „Solidarnością".**

Drugą przyczyną jest fakt, że rozmowy z resortem przeprowadzone 4 listopada 1980 r. w Warszawie przez 6-osobową delegację „Solidarności", wyłonioną na specjalnym zjeździe pracowników przemysłu lekkiego w „Bistonie", zakończyły się fiaskiem. Uchwalona na tej konferencji rezolucja akceptowała w zasadzie wprowadzoną przez resort podwyżkę w wysokości 640 zł miesięcznie na jednego zatrudnionego, kwestionowała jednak sposób jej obliczania i zasadę rozdziału. Domagała się w szczególności, aby w podwyżce tej nie uwzględniać sum przyznanych załogom przemysłu lekkiego, niejako interwencyjnie, w lipcu i sierpniu dla wyciszenia nastrojów niezadowolenia społecznego.

Niepewna jest także godzina przyjazdu Komisji Rządowej do Łodzi. Nikt bowiem nie sądzi, że zdeterminowani włókniarze, zrzeszeni w NSZZ „Solidarność", mogą zostać zlekceważeni.

Około dziesiątej w biurze prasowym odbywa się pospieszna konferencja dla dziennikarzy, na której „Solidarność" przedstawia skład zespołu negocjacyjnego. Z ramienia Tymczasowej Komisji Włókniarzy upoważnieni do prowadzenia rozmów są: Marek Czekalski z „Polanilu", Jerzy Dłużniewski z „Marchlewskiego", Marek Majewski z „Maltexu", Stanisław Mecych z Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Bawełnianego, Marek Wiśniewski z „Obrońców Pokoju" oraz Krzysztof Woźniak z Instytutu Włókiennictwa w Łodzi. Bezpośrednimi obserwatorami obrad, lecz bez prawa głosu ma być dziewięciu przedstawicieli zakładów przemysłu lekkiego z całej Polski. I tak Mieczysław Ślasko z „Bieltexu" reprezentuje rejon dolnośląski, Cezary Nowakowski z „Fastów" — rejon północno-wschodni, Zbigniew Długosz z „Vistuli" — okręg krakowski, Marek Nowak z ZPO „Bytom" — region górnośląski, Ireneusz Just z „Otmętu" — region opolski, Roman Filipek z ZPL „Zyrardów" — region centralny, Piotr Pepliński z „Jantaru" — rejon północny. Region dolnośląski ma swego drugiego reprezentanta. Jest nim Andrzej Wysocki z bielskiej „Bewelany". Rejon zachodnio-południowy reprezentuje Zdzisław Zakrzewski z jeleniogórskiej „Novity".

Z ramienia Krajowej Komisji Porozumiewawczej negocjacje prowadzić będzie także Andrzej Słowik — przewodniczący MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej.

Negocjatorom „Solidarności" towarzyszy 8-osobowa grupa ekspertów.

Z pomieszczeń biura prasowego konferencja z dziennikarzami, na żądanie delegatów, przenosi się na salę ogólną. Podobne żądania, wskazujące na poczucie osamotnienia delegatów, wysuwane będą jeszcze nie raz.

Na krótko przed jedenastą przychodzi wiadomość, że Komisja Rządowa dotarła już do „Marchlewskiego". Dziennikarzy, którzy pobiegli na portiernię, spotkał zawód. Członkowie Komisji Rządowej przebywali już w gabinecie naczelnego dyrektora Zakładów im. J. Marchlewskiego. Parę minut po jedenastej członkowie Komisji Rządowej wychodzą na główną ulicę wewnątrzzakładową, która nosi nazwę „Przodowników Pracy". Odbywa się błyskawiczna lustracja pełnej wyziewów wykończalni oraz starej tkalni z hałaśliwie klekocącymi maszynami. Każda maszyna udekorowana jest chorągiewką z godłem państwowym. Jest to dopiero zapowiedź późniejszych akcji propagandowych „Solidarności", które rozwinęły się w „plakatową wojnę".

Komunikt nr 2 biura prasowego głosił:

„Godz. 11 — na żądanie delegatów załóg ustalono, że rozmowy Tymczasowej Komisji Włókniarzy z Komisją Rządową toczyć się będą w sali konferencyjnej w obecności wszystkich przedstawicieli."

Tak też wygląda początek obrad, kiedy Marek Czekalski, przewodniczący TKW, przedstawia salę, Komisję Rządową. Na jej czele stoi minister przemysłu lekkiego, Władysław Jabłoński. W skład jej wchodzą także: Stanisław Bajur — I zastępca ministra oraz Mirosława Wąsowicz — podsekretarz stanu w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, Mirosław Woźniakowski — dyrektor Departamentu Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych i Edmund Wójcicki — wicedyrektor tego departamentu. Głównym specjalistą resortu do spraw prawnych jest Karol Wojciechowski.

Nie jesteśmy w stanie zrelacjonować pierwszych godzin negocjacji, ponieważ dziennikarzy usunięto z sali konferencyjnej do kina „Popularnego", po drugiej stronie ulicy Ogrodowej. Wraz z łącznikami zakładów pracy niecierpliwie oczekiwaliśmy kolejnych, lakonicznych komunikatów biura prasowego, gdyż fatalne nagłośnienie sali uniemożliwiało śledzenie przebiegu rozmów. Okazało się, że bezkrytyczne wzorowanie się na Gdańsku, w warunkach łódzkich, absolutnie się nie sprawdziło. W miarę wyraźnie dotarł do nas tylko fragment wystąpienia eksperta łódzkiego MKZ, Andrzeja Mazura, który stwierdził, że przemysł włókienniczy dominuje w przemyśle lekkim, finansuje także inne dziedziny gospodarki. Podatek obrotowy, odprowadzany do skarbu państwa, wypracowany przez włókniarzy, zamknął się w roku 1979 kwotą ponad 57 mld zł. Jest to dokładnie tyle, ile potrzeba na pięciokrotne pokrycie budżetu kultury i sztuki w naszym kraju. Za sumę tę można przez trzy i pół roku finansować całą naukę polską. Można też o połowę — co oby nie nastąpiło — rozbudować administrację państwową i wymiar sprawiedliwości.

Nie ma innej dziedziny przemysłu w Polsce, podkreślił Andrzej Mazur, która dawałaby takie zyski. Mimo to, wynagrodzenie w przemyśle lekkim było do tej pory znacznie niższe, niż w innych branżach. Ten sposób traktowania ich spraw przez czynniki rządowe, włókniarze przyjmują jako krzyczącą niesprawiedliwość. Tym bardziej, że to właśnie w przemyśle lekkim, w ciągu 20 lat, nastąpił najwyższy wzrost wydajności pracy. Jest więc ogromnie niepokojące że dynamika wzrostu wydajności pracy w tym przemyśle rozmija się z dynamiką wzrostu płac.

Około godziny 13 biuro prasowe robi gest wobec dziennikarzy. Zostajemy wprowadzeni do sali konferencyjnej, gdzie rozpoczęły się negocjacje. Ale podczas jałowych godzin pobytu w kinie „Popularne" sytuacja uległa zmianie. Rozmowy toczą się teraz w maleńkiej salce obok biura prasowego. Nasze położenie uległo poprawie w tym sensie, że kontaktujemy się teraz już nie z łącznikami lecz z delegatami zakładów pracy którzy, podobnie jak my, niewiele mogą usłyszeć z „transmisji". Komunikat nr 4 głosi:

„Godz. 14.25 — w dalszym ciągu podtrzymujemy nasze żądania płacowe (...). W obradach Tymczasowej Komisji Włókniarzy z Komisją Rządową nie biorą udziału przedstawiciele ZG NZZPPWOiS."

Tuż przed godz. 14 Paweł Karbowski z „Marchlewskiego" reprezentujący gospodarzy, pyta delegatów:

— Czy jesteście zadowoleni z nagłośnienia?

Delegaci zadowoleni nie są. Padają charakterystyczne stwierdzenia:

— Czy my przypadkiem nie wracamy do starych struktur. Tutaj my, a tam — oni?

— Ja jestem podejrzliwy. A może oni się tam poklepią po ramieniu i nas „załatwią"?

Poruszenie na sali rośnie. Ktoś krzyczy, zagłuszając chrypiące głośniki:

— Tu nie ma dyscypliny społecznej! Czy nikogo nie interesuje, co się tam dzieje?

Ludzie cichną, ale w dalszym ciągu trudno zrozumieć treści rozmów płynące z głośników.

Przerwa w obradach. Dziennikarze po raz pierwszy mają okazję wejść do małej sali, gdzie toczą się negocjacje. Obiecujemy sobie solennie, że nie pozwolimy się już stąd wyrzucić. W zaimprowizowanej konferencji prasowej uczestniczą tylko przedstawiciele Komisji Rządowej. Chcemy poznać nie tylko punkt widzenia resortu na sprawy włókniarzy. Chcemy przede wszystkim dowiedzieć się, w jakiej właściwie fazie znajdują się negocjacje.

Minister Jabłoński wyjaśnia:

„Mój pogląd może być niezupełnie obiektywny, ponieważ na sali nie widzę drugiej strony. Myślę, że po przerwie obiadowej powinniśmy sformułować podstawowe tezy porozumienia. Wiele rzeczy już sobie wyjaśniono. I chyba rozmowy zbliżają się do właściwego punktu. W tej chwili rozmawiamy już o sposobie, o technice dokonania zmian w dotychczas przeprowadzonej podwyżce w przemyśle lekkim."

Trzeba wspomnieć, że na początku rozmów Komisja Rządowa wystąpiła z projektem podwyżek dla włókniarzy, zatrudnionych na stanowiskach robotniczych, w zależności od wysokości zarobków. I tak: dla zarabiających do 4.000 zł ministerstwo zaproponowało 500 zł podwyżki, dla pracowników mieszczących się w grupie 4.000—6.000 zł — 350 zł podwyżki, dla wszystkich, którzy zarabiają więcej, podwyżki nie przewidziano. Oczywiście, chodziło tu o sumy globalne, stanowiące wielokrotność podwyżek przypadających na 1 zatrudnionego w określonej grupie zarobków. Sprawę podziału tych sum Komisja Rządowa zostawiła otwartą.

Podczas konferencji minister Jabłoński wyjaśnił, że w przemyśle włókienniczym na stanowiskach robotniczych pracuje 530 tys. ludzi. W tej liczbie mieszczą się 42 tys. osób zarabiających poniżej 4.000 zł miesięcznie. W przedziale płacowym 4.000—6.000 zł mieści się 245 tys. zatrudnionych. Tyle samo pracowników zarabia powyżej 6.000 zł.

Na pytanie, dlaczego do tej pory nie udało się osiągnąć porozumienia płacowego, minister Jabłoński odpowiedział, że aktualne korekty podwyżek płac mogą być przeprowadzone w oparciu o środki, które przemysł lekki wypracuje w roku bieżącym w wyniku przekroczenia zadań planowych. Wcześniej resort nie miał pełnego rozeznania. Pieniądze na podwyżki wypracowali więc sami włókniarze, bo wiadomo przecież, że przy dzisiejszych trudnościach całej gospodarki państwo nic już dać nie może.

Tymczasem na korytarzu odbywa się inna, zaimprowizowana konferencja. Andrzej Mazur, stojący na ladzie szatni, gorączkowo tłumaczy skupionym wokół niego delegatom zasady porozumienia, jakie „Solidarność" chce osiągnąć z resortem. Ze względu na chaos płacowy w przemyśle lekkim w ostatnich miesiącach, szczegółowe przedstawienie wyliczeń mijałoby się z celem. Istotę sporu lepiej chyba odda uchwalona na ogólnej sali rezolucja odzieżowców, która stwierdza:

„Żądamy 640 zł na jednego zatrudnionego z funduszu państwowego, od 1 września, jako rekompensatę środków utrzymania. Wszelkie formy regulacji z funduszu wypracowanego przez zakłady nie mogą być brane pod uwagę. Domagamy się podania do wiadomości wszystkich załóg, że dotychczasowe podwyżki były wynikiem wypracowanego funduszu załóg. W związku z powyższym żądamy zdecydowanego stanowiska Komisji Rządowej. W przeciwnym razie uważamy dalszą rozmowę za bezcelową."

Kategoryczność tych stwierdzeń najlepiej chyba oddaje atmosferę negocjacji.

O godz. 16.30 rozmowy zostają przerwane. Tymczasowa Komisja Włókniarzy musi uzgodnić projekt porozumienia z podejrzliwie traktującymi rokowania delegatami. Atmosfera staje się coraz bardziej burzliwa. Jest jasne, że w tej sytuacji rozmowy przeciągną się jeszcze bardzo długo. Jakby dla podkreślenia tych przewidywań niektórzy delegaci demonstracyjnie zaczynają rozkładać materace. Andrzej Mazur i Marek Majewski usiłują wysondować opinie. Propozycja przedstawiona przez eksperta „Solidarności" nie zostaje przyjęta, delegaci głosują natomiast za kontrpropozycją wysuniętą przez Majewskiego, którą można najkrócej zawrzeć w następującym sformułowaniu:

„Od dnia 1 listopada 1980 roku każde przedsiębiorstwo przemysłowe podległe MPL otrzyma dodatkowy fundusz płac wynikający z kwoty 350 zł, pomnożonej przez liczbę pracowników zatrudnionych w zakładzie. Fundusz ten zostanie przeznaczony na wyrównanie od dnia 1 listopada 1980 r. podwyżek płac wprowadzonych z dniem 1 października 1980 r. Podziału funduszu dokona kierownictwo zakładu przy udziale działających na terenie zakładów związków zawodowych preferując grupy zawodowe najniżej zarabiające."

Kiedy ten projekt przedstawiony zostaje Komisji Rządowej, przechodzi bez zastrzeżeń, choć stanowi on istotną korektę do wstępnych propozycji ministerstwa, zwiększając ogólną kwotę przewidzianą początkowo na podwyżki o kilkadziesiąt milionów złotych. Budzi się więc nadzieja, że te wszystkie przygotowania do noclegu okażą się niepotrzebne i negocjacje zakończą się pełnym porozumieniem jeszcze tego samego dnia.

Ale rzeczywistość dopisuje nowe sekwencje do scenariusza wydarzeń. Otrzymujemy wiadomość, że jeśli protokół uzgodnień zostanie podpisany w przedstawionej tu wersji, to w ciągu godziny stanie tkalnia w „Marchlewskim". Mimo to negocjacje toczą się dalej.

W charakterze „straży pożarnej" „Solidarności", która ma za zadanie wyjaśnić niezadowolenie tkaczek, biegną: Andrzej Mazur, Jerzy Dłużniewski, Marek Szymański i Ryszard Batory.

W ciasnym i gorącym pokoju mistrzów salowych, gdzie słowa zagłusza huk pracujących maszyn robi się coraz tłoczniej. Rozgorączkowane kobiety w roboczych fartuchach nie chcą słuchać żadnych wyjaśnień. Chcą mówić z Komisją Rządową. Pada propozycja wybrania delegacji, która przedstawi ministrowi Jabłońskiemu pretensje załogi „Marchlewskiego". Do sali, gdzie toczą się negocjacje, zostaje ściągnięty dyrektor Mieczysław Krupa. Nie potrafi on konkretnie odpowiedzieć na większość pytań, stawianych przez wzburzone robotnice, które w swojej relacji przedstawiają dramatyczny obraz warunków pracy i życia włókniarek. Okazuje się także, że podwyżki płac przyznane przez resort w październiku, gdzieś się rozpłynęły, na dowód czego jedna z kobiet daje ministrowi Jabłońskiemu tzw. pasek. System wynagradzania w przemyśle lekkim jest tak skomplikowany, że wymaga nie lada fachowca, który potrafi się połapać w dziesiątkach rubryczek na odcinku listy płac. Minister Bajur przyznał potem z sarkazmem że na rozszyfrowaniu poszczególnych pozycji można zrobić doktorat.

Ale sprawy płacowe stanowiły tylko jeden z punktów długiej listy pretensji przedstawionych przez tkaczki pod adresem dyrektora Krupy. Okazało się bowiem, że robotnice boleśnie odczuwają — jak to same mówią — kary pieniężne za usprawiedliwioną nieobecność w pracy na skutek choroby czy opieki nad chorym dzieckiem, co szczególnie godzi w samotne matki.

— Jest to tym bardziej nieludzkie — mówiły kobiety — **że jesteśmy schorowane, dotknięte reumatyzmem, chorobami krążenia, od nieustannego hałasu mamy osłabiony słuch, złe oświetlenie przy warsztatach psuje nam wzrok.**

— Jesteśmy wyczerpane nerwowo i fizycznie.

— Załatwcie konkretnie nasze sprawy — dodała płacząc inna tkaczka — **bo my chcemy wreszcie spokojnie pracować. My nie chcemy strajkować.**

FAKTOMONTAŻ

Wystąpienie tkaczek „Marchlewskiego" stanowiło żywą ilustrację kolejnego punktu negocjacji, dotyczącego warunków pracy w zakładach przemysłu lekkiego, które wcześniej referowała ekspertka „Solidarności", lekarka z Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, Izabela Ciernielewska. Chociaż warunki pracy w zakładach przemysłu lekkiego, dzięki modernizacji, uległy poprawie, to w wielu jeszcze przedsiębiorstwach obserwuje się zjawiska mające zdecydowanie niekorzystny wpływ na zdrowie zatrudnionych. Reżim technologiczny w zakładach bawełnianych i lniarskich wymaga stworzenia szkodliwego dla człowieka mikroklimatu, powodującego zaburzenia termoregulacji organizmu, prowadzące do schorzeń krążenia. Ze względu na znaczne zapylenie hal produkcyjnych rejestruje się ogromną ilość nieżytów dróg oddechowych. Następnym szkodliwym czynnikiem jest trudny do wyeliminowania hałas, którego natężenie przekroczyło prawie wszędzie dopuszczalne granice. Stąd liczne przypadki wad słuchu. Najgorsze wszakże jest to, że wszystkie te trzy szkodliwe czynniki działają na człowieka łącznie, potęgując zagrożenie dla zdrowia.

Kiedy pożegnane, wcale nie kurtuazyjnymi oklaskami, tkaczki opuściły salę negocjacji, zostały entuzjastycznie przyjęte przez stłoczonych w korytarzu delegatów. Powitano je jak bohaterki. Praktyczne kobiety z miejsca zwarzyły ten podniosły nastrój.

— A co? Gorzej mówimy, niż mecenasi i eksperci? — wykrzykuje jedna z tkaczek.

Druga dodaje bez namysłu:

— No i kto tu jest właściwie delegatem? Gdybyśmy się same nie upomniały o swoje, to kto by o nas pamiętał?

Takich nieoczekiwanych spięć, incydentów i wystąpień zarejestrowaliśmy w naszych notesach ogromną ilość. Nie sposób jednak oddać choćby części. Niekiedy były one bardziej pouczające i autentyczne, niż oficjalne negocjacje, w których protokół brał niekiedy górę nad istotą sprawy. Nie znaczy to jednak, że negocjatorzy „Solidarności" odeszli choćby na chwilę od zaprogramowanego przez siebie toku obrad. Szczególnie

wiele uwagi poświęcono realizacji 4 punktu porozumienia gdańskiego, dotyczącego powrotu do pracy ludzi zwolnionych za udział w strajkach 1970—1980. O tych strajkach w przemyśle lekkim niewiele się do tej pory mówiło poza łódzkimi — w lutym 1971 roku, które doprowadziły do cofnięcia jeszcze „gomułkowskich" cen mięsa. Problem zwolnionych przedstawił ekspert TKW, Józef Śreniowski, który stwierdził, że brak jest pełnych danych o faktycznej liczbie zwolnionych. TKW dysponuje tylko danymi wyrywkowymi i tak, po strajku w 1973 roku w „Polaniu" zwolniono kilkanaście osób; w „Bistonie", po strajku w lutym 1976 — całą zmianę teksturowni; w „Feminie", w tym samym roku — 40 osób; w „Emforze" — 11 osób. Represje dotknęły także robotników „Dywilanu", „Teofilowa", „Anilany", „Lenory". Również po czerwcu 1976 roku wybuchały strajki w zakładach przemysłu lekkiego np. w pabianickich zakładach „Paso" oraz w Moszczenicy. Z kolei Krzysztof Woźniak postawił problem szkolenia funkcjonariuszy MSW zwracając uwagę na niewłaściwy jego sposób.

Nie wszystkie omawiane problemy włókniarskie leżały w kompetencji Komisji Rządowej, która dysponowała pełnomocnictwem głównie w zakresie postulatów płacowych. Minister Jabłoński zobowiązał się jednak zbadać starannie sprawę pracowników przemysłu lekkiego, zwolnionych za udział w strajkach i umożliwienie tym wszystkim, którzy zechcą powrotu do pracy. Obiecał także poinformować rząd o sprawach podniesionych przez Krzysztofa Woźniaka.

W czasie, gdy na sali, gdzie toczyły się negocjacje, panował pełny wersal, w dużej sali, wśród delegatów, wrzało. Dyskutowano, czy ograniczyć się tylko do postulatów płacowych, zgodnie z kompetencjami Komisji Rządowej, czy też rozszerzyć problematykę obrad na sprawy które powinny znaleźć odbicie w nowym układzie zbiorowym. Rozległy się nawet głosy, że należy już dziś podpisać wynegocjowany protokół uzgodnień w sprawach płacowych, a pozostałe sprawy rozstrzygnąć w Bielsku-Białej, gdzie w najbliższym czasie odbędzie się kolejny zjazd pracowników przemysłu lekkiego, zrzeszonych w „Solidarności". Zwyciężyła koncepcja, żeby rozmowy z Komisją Rządową kontynuować mimo braku upoważnienia Tymczasowej Komisji Włókniarzy przez Krajową Komisję Porozumiewawczą „Solidarności".

Komunikat 7 biura prasowego o godziny 23.45 stwierdzał:

„Przedstawiciele załóg, w głosowaniu jawnym, podjęli decyzję o parafowaniu punktu 1 porozumienia w sprawie podwyżki płac oraz o kontynuowaniu rozmów w dniu 25 listopada 1980 r. w sprawach dotyczących postulatów załóg."

Wkrótce po północy na ogólną salę weszła Komisja Rządowa, zajmując miejsca na przeciw Tymczasowej Komisji Włókniarzy. Parafowanie porozumienia odbyło się bez pompy.

Mimo czekających materacy i śpiworów, delegaci nie udali się jednak na spoczynek. Pospiesznie wyłoniono grupy problemowe, które przygotowały na poranne obrady materiały dotyczące żywotnych spraw robotniczych: dodatków rekompensacyjnych w warunkach szkodliwych dla zdrowia, czasu pracy i zmianowości, ograniczenia systemu akordowego, urlopów dla matek, szeroko pojętych zagadnień socjalnych, wynagrodzenia za postoje nie zawinione przez pracowników, doraźnych przesunięć na inne stanowiska robocze, a także zasad premiowania.

Narady w tych grupach trwały niemal do rana. Wielu delegatów nawet nie zmrużyło oka. Toteż we wtorek, 25 listopada, w momencie wznowienia rozmów, na wielu twarzach widać było zmęczenie.

W ciągu nocy mury zakładów „Marchlewskiego" i sąsiadującego z nimi pałacu Poznańskiego pokryły się plakatami i transparentami. Przechodniów zatrzymywały krzyczące napisy: **„Socjalizm — tak, zamordyzm — nie", „Ile miliardów zmarnowały PGR", „Praca obowiązkiem wszystkich — rządu też", „Nadróbki, odróbki — precz", „Rozmawiamy z rządem o sprawach kraju", „Milicjanci z nami", „Mo i SB — precz od „Solidarności"** (rewizja w MKZ „Mazowsze").

Na ulicy rozdawano ulotkę z tekstem rezolucji, która głosiła:

„Przedstawiciele zakładów podległych Ministerstwu Przemysłu Lekkiego zrzeszeni w NSZZ „Solidarność" biorący udział w negocjacjach z Komisją Rządową na terenie ZPB im. J. Marchlewskiego w Łodzi wyrażają oburzenie z powodu karygodnego łamania praworządności przez organa powołane do jej ochrony. Oburzenie nasze wynika z bezprawnego aresztowania naszych kolegów Jana Narożniaka i Piotra Sapeło, członków NSZZ „Solidarność" Regionu Mazowsze. Instrukcje dla służby bezpieczeństwa i MO, dotyczące metod szykanowania obywateli naszego kraju stanowią same w sobie pogwałcenie Praw Człowieka i ujawnienie ich jest obywatelskim obowiązkiem. Oświadczamy, iż nie opuścimy sali obrad ZPB im. Marchlewskiego, dopóki nie otrzymamy autorytatywnego zapewnienia o uwolnieniu Jana Narożniaka i Piotra Sapeło oraz ujawnieniu treści wspomnianej instrukcji."

Ale ta sprawa, przynajmniej początkowo, nie miała wpływu na przebieg drugiego dnia obrad. Tylko do portierni ludzie zaczęli przynosić coraz więcej pieniędzy, odpowiadając na apel delegatów przygotowujących się do strajku okupacyjnego. Okazało się później, że ofiarowano łącznie ponad 350 tysięcy złotych.

Nieobecność ministra Jabłońskiego wywołała szereg nieprzyjemnych dla resortu komentarzy, ale obie strony zasiadły mimo wszystko do stołu rokowań. W składzie Komisji Rządowej zobaczyliśmy kolejnego eksperta — zastępcę dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego — Zbigniewa Majera.

Obrady od samego początku mają charakter roboczy. Przewodniczący grup, wyłonionych w nocy, drobiazgowo referują kolejne postulaty z nocnej narady. Było ich tak wiele, że cała sala, może z wyjątkiem dziennikarzy, wpadła w nastrój lekkiego odrętwienia. O trzeźwość dziennikarzy postarało się biuro prasowe, przygotowując dla nas kolejne niespodzianki. Najpierw Witold Sułkowski, który wydaje na powielaczu „Solidarność z Gdańskiem", zakwestionował wiarygodność relacji z pierwszego dnia, jaka ukazała się w „Głosie Robotniczym". Później wzięto na spytki przedstawicieli całej prasy codziennej, żeby wyjaśnić stosunek dziennikarzy do „Solidarności". Okazało się bowiem, że rano dyskutowano, czy obecność dziennikarzy jest w ogóle pożądana. Powodem niechęci do „oficjalnej" prasy był protest NZZPPWOiS, czyli jak się tu mówiło: „związku pani Natorskiej", wobec jednostronnego podjęcia rozmów Komisji Rządowej z TKW „Solidarności". Niektórzy delegaci przypisywali bowiem, w sposób całkowicie dowolny, autorstwo tego protestu łódzkim dziennikarzom. Wprawdzie przyjęto wyjaśnienia dziennikarzy, ale w oświadczeniu podpisanym przez TKW i MKZ Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność" znalazło się znowu stwierdzenie przypisujące prasie odpowiedzialność za treść komunikatu NZZPPWOiS.

Z ważniejszych wydarzeń drugiego dnia, dotyczących bezpośrednio tematyki rokowań TKW z Komisją Rządową wymienić należy podpisany w godzinach rannych protokół ustaleń między pracownikami tkalni 100W a dyrektorem naczelnym ZPB im. J. Marchlewskiego. Przewiduje on zawieszenie części postanowień regulaminu premiowania dotyczących potrącania premii z powodu choroby, zobowiązuje dyrekcję do porównania zarobków w ZPB im. J. Marchlewskiego z zarobkami w innych zakładach o podobnych warunkach organizacyjno-technicznych w celu podjęcia sprawiedliwych decyzji płacowych oraz do opracowania zasad podziału wynagrodzenia za pracę zastępczą dla tych, którzy taką pracę wykonali. Dyrekcja zobowiązała się także dokonać kompleksowego badania pracowników wydziałów produkcyjnych, mającego na celu ustalenie stanu zdrowia załogi i wykrycia schorzeń objętych rejestrem chorób zawodowych. Istotny był także punkt 5 ustaleń, który cytujemy w całości.

„Dyrekcja zobowiązuje się, niezależnie od podwyżek, ustalonych w porozumieniu resortowym, podpisanym w czasie obecnych obrad, przeanalizować powtórnie zarobki za miesiąc październik indywidualnie wszystkich pracowników akordowych i wyrównać powstałe nieprawidłowości. W następnych okresach będzie to również respektowane."

Po południu, na ożywienie obrad największy wpływ miały wydarzenia zewnętrzne, zwłaszcza, gdy telewizja w wieczornym wydaniu tv odczytała nie całkiem ścisły komunikat PAP o rozmowach ministra Jabłońskiego z Zarządem Głównym NZZPPWOiS.

I wtedy się zaczęło!

Z krzyżujących się okrzyków można było wyłuskać:

— Skoro minister podpisał z Natorską przed nami, to zatrzymujemy zakład!

I głos kogoś z „Marchlewskiego":

— Kurwa, kto tu będzie nam rządził!

— Natychmiast ściągnijcie tu ministra!

— A czyja to wina, że wyrzuciliście stąd telewizję?

— A kto ją właściwie wyrzucił?

Kiedy ucichł tumult, zażądano wyjaśnień od ministra Bajura na temat tego, kto właściwie ponosi odpowiedzialność za komunikat w telewizji. Po wyjaśnieniach I zastępcy ministra, rzecznik prasowy MKZ Ziemi Łódzkiej zredagował teleks, który wysłano natychmiast do redaktora Marcina Willmanna.

Cytujemy:

„W głównym wydaniu Dziennika Tv dnia 25 listopada br. podano informację sugerującą, iż ZG NZZPPWOiS kierowany przez p. Natorską wynegocjował dla pracowników resortu przemysłu lekkiego korzystne porozumienie płacowe. W istocie związek ten podpisał się pod tekstem wynegocjowanym 24 bm. i parafowanym w dniu 25 bm. o godz. 0.25 przez NSZZ „Solidarność" w toku wielogodzinnych rozmów z kierownictwem resortu. Zagadnięty w sprawie tego incydentu p. S. Bajur, wiceminister resortu oświadczył, iż resort nie ponosi odpowiedzialności za komunikaty Zarządu Głównego NZZPPWOiS oraz, że komunikat ogłoszony w środkach przekazu społecznego nie jest komunikatem ministerstwa. Komisja Rządowa potwierdza fakt, iż osiągnięte w dniu 24 bm. porozumienie płacowe oraz szereg innych porozumień osiągniętych w dniu 25 bm. jest wynikiem negocjacji między Komisją Rządową a NSZZ „Solidarność".

Oczekiwanie na odczytanie tego komunikatu w ostatnim wydaniu wiadomości telewizyjnych sparaliżowało właściwie obrady. Tym, bardziej, że kierownictwo resortu usiłowało się skontaktować telefonicznie z ministrem Jabłońskim, który w tym czasie brał udział w posiedzeniu rządu. Delegatów nie zadowoliła informacja dziennika radiowego, która z inicjatywy red. Andrzeja Beruta, przebywającego z nam w sali obrad, już wcześniej prostowała komunikat PAP.

Nastrojów nie uspokoiło też odczytanie komunikatu „Solidarności" w telewizji. Napięcie wzrosło, kiedy krótko przed północą Marek Czekalski przekazał delegatom treść swojej telefonicznej rozmowy z ministrem Jabłońskim, który oświadczył (cytujemy za komunikatem biura prasowego), że **„ponieważ „Solidarność" podjęła rezolucję w sprawie aresztowanych kolegów z MKZ Mazowsze, nie będzie prowadził rozmów na terenie ZPB im. Marchlewskiego."**

W tym momencie, przy czterech głosach wstrzymujących się proklamowano strajk okupacyjny. Tymczasowa Komisja Włókniarzy przekształciła się w komitet strajkowy.

Dziennikarzy przeprowadzono do małej sali, gdzie pierwszego dnia toczyły się negocjacje, i gdzie czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków. Za drzwiami trwały gorączkowe przygotowania organizacyjne. Weryfikowano mandaty, mobilizowano straż robotniczą, pośpiesznie ustalano, co robić dalej. W nocy wysłano delegację TKW do Gdańska dla uzgodnienia z Krajową Komisją Porozumiewawczą dalszego postępowania.

W środę, 26 listopada przyszła odpowiedź, iż Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność" przejęła na siebie odpowiedzialność za obronę Jana Narożniaka i Piotra Sapały, co zwolniło TKW od drastycznych form protestu, podjętych w nocy przez delegatów. Nasiliła się tylko wojna plakatowa. Mury „Marchlewskiego" pokryły się nowymi hasłami. Imponująca ilość plakatów pojawiła się także na sali obrad, gdzie delegaci czekali wciąż na przyjazd ministra Jabłońskiego. Godziny oczekiwania skracało ludziom odczytywanie natrętnie rzucających się w oczy napisów.

O godz. 15.30 odbyła się konferencja prasowa, na której m.in. przekazano nam treść teleksu Tymczasowej Komisji Włókniarzy do prezesa Rady Ministrów Brzmiał on:

„Żądamy niezwłocznego przybycia do ZPB im. Marchlewskiego w Łodzi przedstawiciela rządu w celu dokończenia rozmów i podpisania parafowanego porozumienia z włókniarzami."

Jednocześnie biuro prasowe próbowało usprawiedliwić podjęte rano restrykcje wobec dziennikarzy, zawarte w „Dekalogu biura prasowego", który najlepiej świadczy o warunkach, w których przyszło nam pracować. Jeden z punktów tego kompromitującego dokumentu głosił, że **„opublikowanie fałszywych lub tendencyjnych informacji powoduje utratę mandatu. W wypadku interwencji cenzury, dziennikarze zobowiązani są do złożenia pisemnego oświadczenia w tej sprawie w biurze prasowym."** Inny punkt głosił: **„biuro prasowe nie zapewnia (...) maszyn (...) teleksu i telefonu."** A są to przecież podstawowe narzędzia pracy dziennikarza. Oczywiście, te ograniczenia obowiązywały tylko dziennikarzy prasy „oficjalnej" Czy w tych warunkach biuro prasowe, dyktujące zasady zbierania i redagowania materiałów, nie powinno się nazywać raczej informacyjnym punktem cenzorskim? Warto również dodać, że to aroganckie zachowanie wobec dziennikarzy wzbudziło również sprzeciw delegatów, którzy nie raz musieli stawać w naszej obronie. Szczególnej pikanterii całej tej sprawie dodaje fakt, że w gruncie rzeczy było to jawne łamanie punktu 3 porozumienia gdańskiego.

Chcąc zapomnieć jak najszybciej o tych przepychankach, wracamy do sali obrad, gdzie w zaduchu, i zastygłym zapachu ludzkiego potu, padający ze zmęczenia delegaci głośno mówią o swoich pretensjach do organizatorów negocjacji:

— Bielawa prosiła o włączenie do TKW delegatów z całego kraju, i co?

— Dlaczego delegatów nie dopuszczono do partnerskich rozmów z Komisją Rządową?

— Łódź złamała generalną zasadę „Solidarności": nic o nas, bez nas.

— Łódź położyła sprawę ludziom z „Marchlewskiego". Oni się nami opiekują, karmią, a tamci się tylko rządzą.

Padło nagle nawet gorzkie stwierdzenie, że Łódź jest za długo stolicą włókniarską kraju.

O godz. 18.30 Andrzej Słowik i Marek Czekalski spotkali się z ministrem Jabłońskim, uzyskując zapewnienie, że następnego dnia przybędzie do „Marchlewskiego" łącznik MPL, dyr. Woźniakowski, w celu ostatecznego uzgodnienia porozumienia oraz zredagowania wspólnego komunikatu prasowego. Polepszyło to nastroje wyczerpanych 3-dniowym maratonem ludzi. Jeszcze bardziej polepszyła nastroje wiadomość o zwolnieniu z aresztu Jana Narożniaka i Piotra Sapały. Jak powszechnie wiadomo — za poręczeniem społecznym prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stefana Bratkowskiego. Biuro prasowe TKW podało te informacje, w komunikacie zredagowanym 27 listopada o 3.15, przemilczając rolę przedstawiciela prasy „oficjalnej" w tej sprawie.

Wchodzącego na sale w czwartek dyr. Woźniakowskiego z pewnością uderzyły krzyczące ze wszystkich ścian plakaty i hasła. Toteż przez pewien czas, zamiast zasiąść do protokołu uzgodnień, uzgadniał z salą, że te hasła nie są wymierzone przeciwko kierownictwu Ministerstwa Przemysłu Lekkiego. Dopiero po tym wyjaśnieniu stanowisk stron negocjujących w plakatowej wojnie można było przystąpić do właściwej pracy.

Kwadrans po godz. 13 członkowie Komisji Rządowej oraz Tymczasowej Komisji Włókniarzy złożyli swoje podpisy pod ostatecznym tekstem protokołu uzgodnień oraz tekstem porozumienia, które głosi:

„Niezależnie od uzgodnień dotyczących postulatu płacowego zawartego w protokole z dnia 24 listopada 1980 roku, strony prowadziły rozmowy w dniu 25 listopada 1980 roku na temat sposobu realizacji pozostałych postulatów załóg, dotyczących głównie warunków pracy i spraw socjalno-bytowych.

W wyniku rozmów ustalono, że postulaty te będą szczegółowo omówione i przeanalizowane na wspólnych roboczych spotkaniach, a sposób ich realizacji zawarty będzie w kolejnym porozumieniu Stron.

Terminy spotkań roboczych i podpisanie porozumień zostaną podpisane przez Strony nie później niż do 30 grudnia 1980 r."

Tak więc trudne, długotrwałe i nie pozbawione dramatycznych momentów rozmowy zakończyły się porozumieniem zawartym w interesie wszystkich załóg przemysłu włókienniczego. Cieszy zwłaszcza zapowiedź stałych rozmów z resortem, które z pewnością przyczynią się do złagodzenia napięć społecznych wciąż jeszcze występujących w przemyśle lekkim.

I nie tylko w tym przemyśle.

Komunikat prasowy Komisji Ministerstwa Przemysłu Lekkiego i Tymczasowej Komisji Włókniarzy NSZZ „Solidarność", opublikowany w piątkowej prasie codziennej stwierdza:

„W dniu 27 listopada 1980 r. zostało podpisane między Komisją Ministerstwa Przemysłu Lekkiego pod przewodnictwem ministra Władysława Jabłońskiego a Tymczasowa Komisją Włókniarzy NSZZ „Solidarność" porozumienie w sprawach płacowych.

Ponadto stwierdzono, że ministerstwo wydało polecenie, aby zgodnie z porozumieniem gdańskim (pkt. 4) przyjmować do pracy osoby zwolnione za akcje strajkowe w ubiegłym dziesięcioleciu w przypadku zgłoszenia wniosków.

Równocześnie podpisano protokół w sprawie trybu i terminów rozpatrzenia postulatów zgłoszonych przez NSZZ „Solidarność", dotyczących m.in. systemu akordowego, wynagrodzeń za okres postojów, godzin nadliczbowych, dodatków za drugą i trzecią zmianę, dodatków stażowych, podejmowania pracy na dodatkowych maszynach."

BOGDA MADEJ
KONRAD FREJDLICH

P.S. 1. Piątkowa prasa przyniosła również komunikaty o podpisaniu porozumień płacowych Komisji Rządowej z Prezydium Zarządu Głównego NZZPPWOiS i przedstawicielem NSZZ Włókniarzy „Współpraca".

2. W „Marchlewskim" trzeba było doprowadzić do porządku pomieszczenia, w których przebywali delegaci, zwrócić wypożyczony sprzęt, dokończyć wszelkie sprawy organizacyjne. Część członków ZKZ „Solidarność" pozostała więc jeszcze w zakładzie, aby wykonać te wszystkie prace.

Foto: Konrad Turowski

GRA W KARTKI

JACEK INDELAK

Wyszło szydło z worka

„Projekt sprzedaży mięsa, przetworów i tłuszczów w tymczasowym systemie kartkowym" — wymęczony przez rządowych ekspertów po trzech miesiącach — obnażył kolejną smutną prawdę. Tak oto, powoli, krok po kroku — za sprawą dotkliwych demaskacji — rozpoznajemy coraz lepiej świat, w którym przyszło nam żyć.

„Projekt" podparty został obszerną argumentacją, która — wbrew pewnie intencjom autorów — uzmysłowiła nam, że latami całymi stosowano wobec mieszkańców Polski statystyczną mistyfikację, skutecznie zaciemniającą rzeczywisty stan spożycia mięsa i jego przetworów.

Latami całymi, jak pamiętamy, dowodzono nam na różne — głównie statystyczne — sposoby, że jesteśmy narodem potwornych obżartuchów, którym ciągle tego mięsa mało i mało, chociaż z roku na rok — za przeproszeniem — pożeramy je w coraz większych ilościach.

Statystyczna góra mięsa urosła już ostatnio do kolosalnych rozmiarów 73 kilogramów (a nawet 77 — według innych danych), przypadających rocznie na 1 mieszkańca kraju, czyli ponad 6 kg miesięcznie. Rosła ta góra szybko w rocznikach statystycznych, podczas gdy nie za bardzo rosnąć chciała na ladach sklepowych i na naszych talerzach. Bywało też, że góra wyraźnie malała. W naszym — subiektywnym, rzecz jasna — odczuciu, bo przecież statystycznie...

Statystyka jest dobra na wszystko. Z równym powodzenie służyła uprawianiu propagandy sukcesu, co wykorzystywana jest dziś do szerzenia propagandy klęski.

Ze stytystyką było podobnie, jak z ekonomią czy socjologią, których rolę w życiu społeczno-gospodarczym kraju sprowadzono swego czasu do urabiania odpowiednich teorii i gromadzenia pseudonaukowych argumentacji pod narzucone z góry tezy, a nierzadko i decyzje. „Manipulacja" — słowo, które robi ostatnio zawrotną karierę — daje się odnieść również i do statystyki. Danymi statystycznymi manipulowano nieustannie, aby to i owo wbić nam do głowy, a co innego z niej wybić.

Winówiono nam przedtem, że problem nie w ilości, lecz jakości mięsa i przetworów, do których mamy dostęp. Teraz zaś — przy okazji „Projektu" — unaocznia się nam, że kłopot również z ilością, która wcale nie jest tak oszałamiająco wielka, jak byliśmy skłonni sądzić do niedawna. Okazuje się więc dziś, że niesłusznie oskarżaliśmy sąsiada Kowalskiego, że — świnia, za przeproszeniem — obżera nas ze statystycznej normy, wykorzystując do tego procederu zaprzyjaźnioną sklepową i emerytowaną teściową.

Tak teraz, jak i przedtem, jako kluczowego argumentu używa się 73-kilogramowej góry statystycznego mięsa. Teraz jednak — bo i cel przecież inny — górę tę serwuje się w odmiennej zgoła postaci, poddając ją szczegółowemu rozbiorowi, którego wynik nie jest dla nas wcale korzystny.

Na konferencji prasowej rzecznika rządu, Józefa Bareckiego z udziałem ministra handlu i usług, Adama Kowalika ujawniono dziennikarzom tajemnicę statystycznej masy mięsnej. Otóż na **73 kilogramy** spożywane rocznie przez statystycznego Polaka składało się:

— **10 kg** konsumowanych za pośrednictwem zakładów zbiorowego żywienia, a więc placówek gastronomicznych, stołówek i bufetów, sanatoriów i szpitali, żłobków i przedszkoli etc.;

— **11,5 kg** spożywane w ramach tzw. samozaopatrzenia, pod którym to terminem kryje się przede wszystkim ubój gospodarski;

— **3,5 kg** konsumowane w ramach innych form spożycia (np. konserwy);

— **47 kg** sprzedawanych w handlu detalicznym.

Tak oto statystyczna góra mięsa, które trafiać miało za pośrednictwem sklepów na nasze stoły, **stopniała do wagi 47 kilogramów na osobę**.

Bą, topnieje dalej, bo oto dowiadujemy się, że w związku z nieurodzajem ziemniaków i niedostatkiem innych pasz przewiduje się spadek skupu bydła i trzody o ok. 20 proc., czyli 400—450 tys. ton, co oznaczać ma w efekcie, że tych 47 kilogramów stopnieje w przyszłym roku o 11—12 kilogramów, a więc **pozostanie nam do rozprowadzenia poprzez sieć sklepów mięsnych 35—36 kilogramów** na statystycznego Polaka. Miesięcznie więc około 3 kilogramów, na tyle więc — z grubsza biorąc — opiewać będą kartki, jakie proponuje się nam wszystkim od 1 stycznia 1981 roku.

Wywód — zdawałoby się — klarowny i logiczny. Statystyka znów spełniła swoją rolę. Jest „Projekt", jest też jego statystyczna argumentacja. Nic dodać, nic ująć. Danych statystycznych nie przeskoczysz.

Czyżby?

Według rocznika statystycznego 1979 roku dysponowaliśmy 2.629 tys. ton mięsa, z czego wyeskportowaliśmy 190 tys. ton, a więc do spożycia pozostało 2.439 tys. ton. Z tegoż jednak rocznika statystycznego wynika, że spożyliśmy 2.294 tys. ton, „wyparowało" więc gdzieś **145 tys. ton.**

Zainteresowanych tą, niemałą zresztą różnicą, odsyłam do nru 47 „Tygodnika Kulturalnego", którego dziennikarze usiłowali odnaleźć tę „zgubę". Szukali, szukali i nie znaleźli. Co więcej podczas analizy kolejnych danych „zagubili" dalszych 50 tys. ton. Ani Główny Urząd Statystyczny, ani Centrala Przemysłu Mięsnego, ani też wreszcie Komisja Planowania nie zdołały — mimo najlepszych, podobno, chęci — pomóc w tych poszukiwaniach. A zguba przecież niemała — 200 tys. ton. Czterokrotnie więcej, niż tegoroczny, doraźny import mięsa, którym rząd próbuje zaepatować społeczeństwo.

Dygresja ta — wielce pouczająca — bezpośrednio wiąże się z głównym wątkiem niniejszych rozważań, gdyż w podanych nam ostatnio do wierzenia danych liczbowych tkwi również potężna luka.

Skup trzody i bydła w przyszłym roku ma być niższy od tegorocznego o 20 procent. Tegoroczne zaś zaopatrzenie w mięso i przetwory ma być utrzymane — również dzięki importowi — na poziomie roku ubiegłego.

W 1979 roku — powtórzmy — dysponowaliśmy 2.629 tys. ton mięsa. 20 procent mniej — to 2.103 tys. ton. Skoro odejmiemy od tego eksport — który ma być powtórzony na niezmienionym poziomie — to do spożycia pozostanie 1.958 tys. ton, czyli około 56 kg na 1 mieszkańca rocznie.

Odejmijmy od tego 10 kg przeznaczonych na żywienie zbiorowe. Odejmijmy również kolejne 3,5 kg przewidywane do spożycia w ramach tzw. innych form (głównie konserwy). Pozostaje nam więc 42,5 kg na jednego mieszkańca rocznie, podczas gdy „Projekt" zakłada 35—36 kg na statystycznego Polaka.

Skąd taka różnica?

Może popełniliśmy jakiś błąd w obliczeniach? Aha, prawda — nie uwzględniliśmy samozaopatrzenia, które w podanych przez rzecznika rządu informacjach poważnie zubożało naszą statystyczną górę, bo o 11,5 kg rocznie. Wielkość tę jednak trudno jest planować, zwłaszcza że system kartkowy ograniczyć ma samozaopatrzenie do minimum.

Może jednak ktoś nie uwzględnił tego faktu w prognozach na rok przyszły i popełnił tym samym błąd w liczeniu? Powtórzmy więc i my ten błąd, ale otrzymamy wtedy.. 31 kg. Z którejkolwiek by więc podejść strony, jakkolwiek by liczyć — wciąż utrafić nie można w owych 35—36 kg, która to norma sprawia wrażenie nieco — mówiąc najoględniej — abstrakcyjnej.

Zwłaszcza, że posłużyłem się zaledwie jednym przykładem arytmetycznych obliczeń, których im więcej tym więcej nasuwają wątpliwości.

Nie wiem, czy można się tu doszukiwać złej woli, a więc dalszego manipulowania statystyką w pożądanym kierunku. Może jest to tylko wynik nieudolności w posługiwaniu się danymi statystycznyim. Tak czy inaczej — statystyka zwieść może na manowce nie tylko tych, przeciwko którym ją się stosuje. Naiwny jest zatem ten, kto sądzi, że zmiana na stanowisku dyrektora Głównego Urzędu Statystycznego uzdrowi nam, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki całą stytystykę. Nie, dyrektor może być nowy, ale materiał statystyczny pozostaje wciąż stary, czyli fatalny.

Przesadzam?

Bynajmniej. Nie bez powodu rozlegają się coraz dramatyczniejsze wołania o uczciwe zbilansowanie całej naszej zrujnowanej i rozregulowanej gospodarki. A przecież — zdawać by się mogło — owo bilansowanie jest najprostszą pod słońcem czynnością. Wystarczy bowiem sięgnąć do odpowiednich opracowań statystycznych a — tych płodziliśmy i płodzimy tysiące — zaprzęgnąć do roboty komputer, aby w krótkim czasie mieć kłopot z głowy. Guzik z pętelką. Okazuje się, że dokonanie takiego bilansu niemożliwe jest bez uprzedniego — precyzyjnego i rzetelnego — „spisu powszechnego" potrzeb i możliwości całej gospodarki. I spis taki będziemy musieli przeprowadzić. Jest to coraz bardziej nagląca potrzeba. I dziw tylko bierze, że rząd od trzech miesięcy zwleka z podjęciem tego trudnego, acz niezbędnego, przedsięwzięcia.

Dane statystyczne, na których oparto ilościowe założenia „Projektu", nie są dostatecznie wiarygodne, aby na ich podstawie rozstrzygać tak istotny dla życia narodu problem. Do tej pory nie ustaliliśmy, co będziemy dzielić. Za wcześnie więc na to, aby rozstrzygnąć ostatecznie — na parę lat przecież — jak będziemy dzielić. I w tym też zawiera się jednoznaczna pretensja pod adresem autorów „Projektu", który zresztą wzbudza znacznie więcej zastrzeżeń.

Przyznam, że zaskoczył mnie on niemile. Wszyscy pewnie — czekając niecierpliwie na realizację 13 punktu „Porozumienia Gdańskiego" — spodziewali się, że trzy miesiące potrzebne były po to, aby przeprowadzić gruntowną analizę problemu i zaproponować w oparciu o nią kilka wariantów jego rozwiązania. Nie wiem, dlaczego sprawa tak długo się wlokła, skoro sam „Projekt" sprawia wrażenie skreślonego w parę godzin i to na kolanie.

Nad czym tu dyskutować? Co konsultować ze społeczeństwem? Wielkości? Podobno są niewzruszalne. Warianty? Jest przecież tylko „jeden wariant", bo kwestia tego, czy kartki mają być wartościowe czy wartościowo-asortymentowe, to wcale nie wariant, lecz brak precyzji sformułowań, a może i brak konceptu u autorów „Projektu".

Nad czym tu dyskutować? Co konsultować ze społeczeństwem? Wielkości? Podobno są niewzruszalne. Warianty? Jest przecież tylko „jeden wariant", bo kwestia tego, czy kartki mają być wartościowe czy wartościowo-asortymentowe, to wcale nie wariant, lecz brak precyzji sformułowań, a może i brak konceptu u autorów „Projektu".

Nad czym tu dyskutować? Co konsultować ze spo- powołując się na sprawiedliwość — pogłębia dalej przepaść między pracownikami fizycznymi i umysłowymi? Nad tym, czy dyskryminowanie rolników zgodne jest z interesem społecznym? Nad tym, czy rejonizować zakupy na kartki, czy uznać ich ważność na terenie całego kraju? Nad tym, czy uznać nasz podły, rybą śmierdzący, drób za mięso pełnowartościowe?

Nad czym więc dyskutować, skoro projektanci nie dali nam w zasadzie żadnej szansy, abyśmy mogli dokonać wyboru. Wyboru między większym a mniejszym złem.

Materiał do dyskusji? Dlaczego więc podany w formie, zakrawającej na przygotowaną już do wprowadzenia arbitralną decyzję?

Bo jak — na przykład — potraktować owych **8—10 kg** tłuszczów zwierzęcych — a więc masła, smalcu i słoniny — przewidzianych dla każdego z nas na cały rok?

Przecież to racje głodowe: **20—25 gramów dziennie**, a przecież normy żywieniowe, obowiązujące w naszym kraju*), przewidują co najmniej **35—40 gramów** samego masła, a gdzie smalec? słonina?

Czym została podyktowana ta wielkość, skoro dotychczasowe roczne spożycie masła sięgało prawie 10 kg na statystycznego Polaka, innych zaś tłuszczów zwierzęcych zjadaliśmy drugie tyle?

Niemożliwe chyba, aby tak nagle z dniem 1 stycznia 1981 produkcja tłuszczów spaść miała do poziomu głodowych racji. Ostatnie przecież perturbacje z masłem nie wynikały bynajmniej z niedostatku mleka, lecz niewłaściwego jego wykorzystania — a wręcz i marnotrawstwa — w skupie, transporcie, produkcji i dystrybucji.

Pod kątem norm żywieniowych spójrzmy na inne propozycje zawarte w „Projekcie".

3 kilogramy mięsa i przetworów miesięcznie, to **100 gramów dziennie.** Normy żywieniowe zakładają natomiast **85—135 gramów mięsa i 35—40 gramów wędlin dziennie,** a więc 120—175 gramów mięsa i przetworów, których nie da się zastąpić innymi produktami. Normy te zresztą mówią o sytuacji wręcz idealnej: o odżywianiu racjonalnym, i regularnym, w którym uwzględnione są wszystkie składniki pożywienia w ilościach niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania organizmu człowieka. My zaś mamy do czynienia z sytuacją, w której niedostatki naszego rynku żywieniowego dotyczą wielu innych artykułów — nie tylko mięsnych — nic zaś nie wskazuje na szybką poprawę tego stanu, wręcz przeciwnie — zapowiadane jest jego pogorszenie. Niedobory mięsa, przetworów i tłuszczów będą więc tym dotkliwsze, że pójdą w parze z innymi niedostatkami.

Porównanie norm żywieniowych z planowanymi przydziałami wykazuje istotną różnicę, która będzie jeszcze większa, jeśli uwzględni się fakt, że normy mówią o czystym, wypreparowanym niejako, mięsie, podczas gdy przydziały składać się będą z tzw. masy mięsnej, na którą prócz tkanki mięśniowej składają się różne ścięgna, żyły, błony, chrząstki i kości. Jeśli się to wszystko weźmie pod uwagę, bez przesady będzie można stwierdzić, że proponowane przydziały mięsa i przetworów są niższe co najmniej dwukrotnie od norm żywieniowych, których nie respektowanie stanowi w dłuższym wymiarze czasu poważne zagrożenie dla zdrowia człowieka.

Jeszcze bardziej niepokojąca jest popozycja zmniejszonego przydziału dla dzieci do lat sześciu: 2 kg masy mięsnej, czyli przypuszczalnie niewiele więcej, niż 1 kg czystego mięsa. Dziwić tylko może fakt, że takie instytucje, jak Instytut Pediatrii czy Instytut Matki i Dziecka nie złożyły dotąd protestu w tej sprawie, bo na protest Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej nikt chyba nie liczy.

Słowem: zaplanowane przydziały kartkowe są za małe.

Autorzy „Projektu" odpowiedzą na to, że — po pierwsze: na więcej liczyć nie można, co przecież wynika ze statystycznych danych. Po drugie zaś — statystyczne przydziały powiększyć należy o wielkości przewidziane dla zakładów zbiorowego żywienia.

Przyjmijmy te argumenty, bo nawet w ich ramach można kartkowe normy powiększyć. Nie wiem, dlaczego „Projekt", którego intencją miał być sprawiedliwy podział puli mięsnej, zakłada wyłączenie spod reglamentacji sporej części tej puli, jaka jest kierowana do zakładów zbiorowego żywienia. Ten element „Projektu" jest wielce niedemokratyczny: dzieli społeczeństwo na uprzywilejowanych i pokrzywdzonych. Nie widzę więc powodu, dla którego nie można i tej części masy mięsnej podzielić po równo.

Korzystasz ze stołówki zakładowej, oddać więc musisz część swojego przydziału, bo ten, który nie może lub nie chce z niej korzystać, ma taki sam żołądek, jak ty. Przebywasz w szpitalu czy sanatorium, oddaj zatem odpowiednią część kartek, bo byłoby niesprawiedliwe, gdyby na konto twojego pobytu w placówce leczniczej twoja rodzina dysponowała większą ilością mięsa, niż inni. Włącznie z obiadem w restauracji, z okazji którego nie tylko płacisz rachunek, ale zostawiasz też 100-gramowy odcinek ze swoich kartek.

Nie, nie ma w tym nic śmiesznego. Takie demokratyczne rozwiązania stosowały — nie koniecznie nawet demokratyczne — kraje w ciężkich czasach reglamentacji żywności. Przestańmy wreszcie faworyzować ludzi z wypchanymi portfelami! Dlaczego mają oni również i lepiej jeść, niż ci, którzy mają znacznie mniej pieniędzy? Autorom „Projektu" nie zależy chyba na podtrzymywaniu mechanizmów, które tak przecież niedawno wywołały ostry sprzeciw pracujących mas.

Poruszamy się wciąż w ramach nakreślonych przez „Projekt", a więc abstrahujemy nadal od tego, czy zostały one oparte na słusznych przesłankach statystycznych. I w tychże ramach tkwią dalsze „rezerwy" — pod kolejną pozycją, zatytułowaną „samozaopatrzenie". I w oparciu o tę pozycję można zwiększyć nieco przydziały mięsa dla statystycznego Polaka.

Jak?

Chociażby kontrolując odpowiednio rolnika, który zresztą nie może być dyskryminowany, a więc powinien otrzymać tyle samo kartek, co my wszyscy.

O ile rolnik będzie miał ochotę ubić na potrzeby własne tucznika, powinien zwrócić swoje — a może i całej rodziny — przydziałowe kartki. Oczywiście, niekoniecznie — kilogram za kilogram, bo rolnik hoduje, ma więc prawo więcej jeść. Chce jednak jeść więcej, to nie naszym kosztem. Wbrew pozorom, nie jest to trudna do przeprowadzenia operacja. Ubój jest bowiem tylko wówczas legalny, gdy mięso zostanie przebadane i oznakowane przez weterynarza. Służba więc weterynacyjna może przejąć i tę kontrolę nad samozaopatrzeniem.

Także i w przypadku gdy rolnik nie odstawia tucznika czy opasa do skupu, lecz chce sprzedać mięso na rynku — powinien zwrócić kartki!

Przy tej okazji chciałbym zwrócić uwagę na kolejny, arcyniebezpieczny element „Projektu", który zakłada sprzedaż po cenach wolnorynkowych — a więc dyktowanych przez producentów — wszelkich nadwyżek mięsa. Propozycja ta ma — moim zdaniem — posmak skandaliczny, zwłaszcza, że ukryta jest za parawanem stymulowania rozwoju hodowli. Po pierwsze — doprowadzi ona (znów!) do preferowania ludzi najwięcej zarabiających. Po drugie zaś, wcale nie musi pobudzić wzrostu produkcji, a na pewno — co, niestety, nieuniknione — pobudzi producentów do przeróżnych kombinacji, którymi będą chcieli ominąć skup, aby ze swoim towarem trafić na wolny rynek. Ponieważ zaś w grę będą tu wchodziły duże pieniądze, szybko znajdą oni usłużnych pomocników, którzy nas wszystkich oszwabią, aby sobie na boku dorobić.

Sądzę, że w katastrofalnej bez mała sytuacji, kiedy to musimy wypić piwo, które nie myśmy nawarzyli, dystrybucja mięsa powinna być w całości zmonopolizowana przez państwo. Jednoznaczną decyzją uznać należy sprzedaż mięsa poza oficjalna siecią handlową za nielegalną, a więc karaną. Wszelkie nadwyżki powinno przejmować państwo i sprzedawać je w specjalnych sklepach po wysokich cenach, nie odbiegających jednak zbyt daleko od obecnych cen komercyjnych. Cały dochód z tej sprzedaży otrzymać powinien rolnik, dla którego byłby to finansowy doping, faktycznie pobudzający jego hodowlane wysiłki.

Skoro zaś o cenach mowa, wydaje się, że wprowadzenie kartek jest okazją — tak dla państwa, jak i dla społeczeństwa — do ostatecznego, na czas długi, uregulowania cen mięsa i przetworów. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydaje się być średnia między dotychczasowymi cenami „normalnymi" a cenami „komercyjnymi". Przypuszczać można, że to odczuwalne urealnienie cen przyjęte by zostało bez szczególnych sprzeciwów.

Sprawa kolejna: **kartki wartościowe czy wartościowo-asortymentowe?** To drugie rozwiązanie byłoby niewątpliwie sprawiedliwsze. Wobec jednak nierównomiernej podaży mięsa i przetworów — bardzo trudne do sprawnego przeprowadzenia.

Jedno jest pewne — dla dzieci i chorych — należy wprowadzić odmienny rodzaj kartek. Szlachetniejsze gatunki mięsa i wędlin — cielęcina, poledwica, szynka itp. — w okresach zmniejszonej podaży powinny być dostępne tylko i wyłącznie na te „dziecięco-rekonwalescencyjne' kartki.

Co zaś z resztą?

Jako absurdalny należy odrzucić pseudoegalitarystyczny pomysł sprzedawania całego mięsa w postaci tzw. rąbanki. Byłoby to niewątpliwie wygodne dla handlu, ale oznaczałoby cofnięcie się o prawie pół wieku wstecz. Przeciwnie zatem, uważam, że mięso powinno być znacznie skrupulatniej oczyszczane i porcjowane, niż dotąd. Cała masa mięsna powinna zostać przetworzona w formy i kształty, z jakimi zapoznaliśmy się wszyscy, kiedy z apetycznego wyglądu i estetycznych opakowań usiłowano sprokurować alibi dla rozszerzającej się sieci sklepów komercyjnych.

Właśnie jednakowo porcjowane i paczkowane mięso i wędliny — to szansa na maksymalne uniknięcie marnotrawstwa, a równocześnie gwarancja sprawiedliwszego rozdziału masy towarowej.

Nie koniec na tym: porcje powinny być niewielkie, jak i niewielkie powinny być poszczególne odcinki kartek. Co najwyżej — 100-gramowe. Być może i to również — przy równoczesnym wyeliminowaniu tzw. nerwowości rynku mięsnego, jak również odczuwalnym podniesieniu i ustabilizowaniu jakości przetworów — przyczyni się do wyrobienia nowych, jakże nam wszystkim potrzebnych nawyków robienia zakupów na dzień — dwa z górą, a nie — jak dziś — kupowania tyle, ile nam się zdobyć uda. Dotychczasowe bowiem przyzwyczajenia podyktowane nie zachłannością, lecz niepewnością jutra — prowadzą do ogromnego marnotrawstwa produktów żywościowych.

Jak dzielić?

W oparciu jednak o zasadę asortymentowo-wartościową, bo wartościowa byłaby równoznaczna z kontynuowaniem obecnych polowań na towar i wystawania w kolejkach, a kto wie, czy nie pogłębiłaby jeszcze dotychczasowych trudności. Kartki więc — wieloodcinkowe — musiałyby uwzględniać odpowiednie — a zatem tak sprawiedliwe, jak i realne — proporcje między poszczególnymi grupami asortymentowymi. Może i u nas należałoby wprowadzić tzw. system punktowy? Tego tematu jednak nie rozwijam, mając nadzieję, że specjaliści — po powszechnej krytyce „Projektu" — wezmą się wreszcie do poważnej pracy i w krótkim czasie przedstawią nam kilka wariantów, spośród których — w toku dyskusji społecznej — wyłoniony zostanie najwłaściwszy.

Wydaje się bowiem, że kartkowa reglamentacja ma za cel nie skomplikowanie, lecz uproszczenie, nie utrudnienie, lecz ułatwienie nam wszystkim życia.

Dlatego też za bzdurne należy uznać projekty ograniczenia sieci sklepów mięsnych, jak i przypisania nas wszystkich do poszczególnych placówek. Wszyscy powinni uczynić wszystko, aby za sprawą kartek wyeliminować wielogodzinne tasiemcowe kolejki, aby maksymalnie usprawnić zakupy mięsa i wędlin, czyniąc je wreszcie łatwymi i sprawiedliwymi. Uważam, że jest taka szansa. Jasne, że jej wykorzystanie wymagać będzie dodatkowego wysiłku organizacyjnego, a może i finansowego, że trzeba będzie usprawnić przetwórstwo, transport i dystrybucję. Ostatecznie, nie my dla handlu jesteśmy, lecz handel dla nas, jak obywatele nie są dla państwa, lecz państwo dla nich.

Stąd też wnoszę niniejszym o solidne przepracowanie całego „Projektu", nawet gdyby jego realizacja miała się z tego powodu przeciągnąć o miesiąc czy dwa. Przepracowania pod kątem zarówno przesłanek (o, niebezpieczna statystyko!) jak i wniosków (temat zbyt poważny, żeby go na prędce „odfajkować"!).

Na koniec jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym poddać pod rozwagę.

Eksport mięsa.

Wiadomo, że od lat najwięcej napięć w naszym kraju wywołuje rynek żywnościowy.

Latami całymi eksport mięsa był tematem tabu. Kiedy zaś nie było już innego wyjścia i temat ten trzeba było podjąć, próbowano w nas wmawiać, że kłopoty z żywnością są przejściowe, że lada moment sytuacja się poprawi diametralnie, prowadząc do nadwyżek mięsa i przetworów, z którymi nie będziemy mieli wówczas co począć. Dlatego też — z myślą o świetlanych perspektywach — musimy teraz eksportować mięso, aby nie stracić znakomitych rynków, na które — ponownie — po przerwie — może nam się nie uda wejść.

Odstąpiono już dziś od tej argumentacji, sięgając po inne wyjaśnienia:

— eksportujemy około **150 tys. ton mięsa** i przetworów, co nie ma istotnego wpływu na zaopatrzenie rynku wewnętrznego, bo sięga zaledwie 7 proc. dostaw;

— eksport jest bardzo opłacalny, **bo za kilogram szynki otrzymujemy 3,5 dolara;**

— musimy eksportować, bo przecież importujemy zboża i pasze.

Zacznijmy od statystyki. 7 proc. to rzeczywiście niewiele, ale na tych parę procent składa się czyste, najszlachetniejsze mięso. Za granicę wysyłamy prawie 50 proc. wszystkich szynek i niemal tyle samo polędwic wieprzowych i wołowych. Jest to — powtarzam — czyste mięso.

Spożycie mięsa — a więc cała ta 73-kilogramowa góra — obliczane jest w przeliczeniu na tzw. rąbankę, a nie na czyste mięso. Co gorsza, wiele na to skazuje, że dla statystycznego efektu przelicznik ten opierany bywał na tzw. wadze żywej, a nie wadze rzeźnej skupywanych zwierząt. A tymczasem — na przykład — waga rzeźna świni, to 72—80 proc. wagi żywej, zaś waga rzeźna opasa — to 65 proc. wagi żywej. Sam ciężar kośca tucznika — to 18 proc. całej jego wagi, zaś kościec bydła — to 20 proc. wagi. Na tej zasadzie można by obliczać udział innych niejadalnych elementów — włącznie z rogami czy racicami — w naszej „statystycznej górze". Na eksport idzie czyste mięso, gdyby więc przeliczyć je na masę mięsną, okazałoby się, że zuboża ono rynek już nie o 7 proc., lecz może o 20 proc., a może i więcej. Cóż, robota dla specjalistów — niechaj wreszcie uczciwie obliczą.

Eksport ten jest rzeczywiście opłacalny, ale w wartościach bezwzględnych, bo kiedy uwzględnimy nakłady nań poniesione, gorzej to już wygląda. I trzeba by wnikliwie się przyjrzeć efektywności tego eksportu, bo dewizowe zyski — bezsprzecznie duże — to zaledwie jedna strona medalu, a druga?

Eksportujemy mięso, żeby importować zboża i pasze. Importujemy zboże i pasze, żeby hodować trzodę i bydło. Hodujemy trzodę i bydło, żeby móc eksportować... Koło się zamyka. Czy jest to błędne koło? Nie wiem. Niejedno błędne koło toczy się od lat, rozkładając naszą gospodarkę. Czas chyba najwyższy, aby specjaliści obliczyli, o ile zboża i pasz mniej musielibyśmy importować, gdybyśmy zaniechali eksportu mięsa. Zwłaszcza że produkcja jednego kilograma mięsa wciąż jest u nas nieporównywalnie kosztowniejsza, niż gdzie indziej..

Po tej dygresji — akcent optymistyczny.

Wierzę, że ożywiona dyskusja społeczna nad „Projektem" uświadomi jego autorom, że do decyzji — daleka jeszcze droga. I wierzę też, że nikt nie będzie próbował grać z nami znaczonymi kartami, mimo że sami się o tę „grę w kartki" prosiliśmy. Wierzę, bo postęp dokonał się już i w tej dziedzinie. Ostatecznie, do niedawna był to temat tabu, a dziś dziennikarz może się takim oto artykułem włączyć do publicznej dyskusji. Nikt mu przynajmniej tego nie broni, bo czy nikt mu tego nie będzie miał za złe, to całkiem inna sprawa...

*) **„Higiena ogólna"** (pod red. prof. M. Kacprzaka, Warszawa 1961. Pozostałe dane liczbowe pochodzą ze źródeł równie oficjalnych: roczników statystycznych oraz prasy codziennej i periodycznej.

TOMASZ SOLDENHOFF

INWESTYCYJNY ZAKALEC

16 października br. Polska Agencja Prasowa doniosła:

„Trwa śledztwo dotyczące nieprawidłowości popełnionych podczas zawierania kontraktów na dostawę z zagranicy maszyn i urządzeń dla przemysłowej produkcji ciast i pieczywa cukierniczego. Spowodowane straty sięgają wielu milionów złotych".

Jakiś czas przed ukazaniem się tej notatki dowiedziałem się, że miano wyposażyć w te maszyny siedem wielkich kombinatów ciastkarskich w kilku miastach Polski.

Była wśród nich i Łódź.

Złożyłem wówczas wizytę w **Zarządzie Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców.** Wiceprezes **Edwin Wojtal** potwierdził tę wiadomość. Usłyszałem także, że importowane urządzenia — przeznaczone m. in. dla Łodzi — od kilku lat leżą bezużytecznie w magazynach przy ul. Sosnowej w Piotrkowie Trybunalskim. 1 października br. wygasła umowa o ich konserwację przez zagranicznego dostawcę. Drugi mój rozmówca — dyrektor **Białoskórski z Zakładu Budownictwa i Inwestycji łódzkiego „Społem"** dodał jeszcze:

— Sprawa nie jest świeżej daty i była już przedmiotem kontroli i analiz, wskutek których wobec kilku osób zamieszanych w kupno maszyn wyciągnięto sankcje dyscyplinarne.

Zabrzmiało to dość tajemniczo, tym bardziej, że dyrektor zaznaczył ostrożnie:

— Być może będą również reperkusje natury karnej...

Notatka, która ukazała się w tydzień po tej wizycie, potwierdziła enigmatyczną sugestię. W miesiąc później — 15 listopada — usłyszałem z ust prokurator **Haliny Ratasiewicz** z Prokuratury Generalnej:

— Śledztwo skończone, akt oskarżenia przepisuje się na maszynie. Wkrótce sprawa trafi do sądu.

Wraz z aktami na salę sądu powędrują trzej oskarżeni: były wicedyrektor do spraw technicznych w **Zjednoczeniu Przemysłu Piekarniczego**, jeden z byłych naczelników wydziału w tym zjednoczeniu, odpowiedzialny za nadzór i realizację inwestycji, oraz były wiceminister handlu wewnętrznego. Właśnie w tej kolejności wymieniła ich pani prokurator.

KRÓTKA HISTORIA ZAKALCA.

Prawno-karny aspekt całej tej sprawy pozostawiam jednak sprawozdawcom sądowym. Sensacyjną otoczkę — wyspecjalizowanym dziennikarzom, dzięki którym prawdopodobnie historia wkrótce stanie się głośna, acz zapewne nie tak głośna, jak afera z „Minexem". Z prostego powodu. W czasie śledztwa nie zdołano bowiem ustalić żadnych korzyści majątkowych, jakie z tych transakcji mogły mieć wymienione osoby.

Mnie intryguje raczej odpowiedź na pytanie o los urządzeń i maszyn, których koszt określa się dzisiaj na 20 milionów złotych dewizowych (wliczając w to zamrożony kapitał, drożejący z każdym rokiem, koszty składowania oraz odsetki bankowe), a także inwestycji, dla których je przeznaczono. Pytanie następne: o przyszłość łódzkiego kombinatu — nasuwa się już samo. Konieczna będzie jednak przedtem krótka historia inwestycyjnego zakalca. Bo że to ciasto p r z e s o l o n o — jest zupełnie jasne, choć pierwsze 20 mln — w porównaniu z 375 kolejnymi milionami, które trzeba będzie jeszcze dopłacić, było tylko skromną szczypta, pierwszą pozycją w tym słonym rachunku.

W Łodzi temat stał się aktualny w 1976 roku, ale jego korzenie sięgają głębiej. W marcu 1973 roku wspomniany wicedyrektor zjednoczenia wraz z naczelnikiem wydziału obaj odpowiedzialni za przygotowanie i koordynację inwestycji branżowych, sprzadzili pismo do Komisji Planowania **w którym celowo podali nieprawdziwe dane** — jak stwierdza akt oskarżenia — na temat stanu zaawansowania przygotowań do realizacji nowych inwestycji i możliwości wybudowania siedmiu kombinatów do przemysłowej produkcji ciast. Obiekty te miały stanąć w ciągu lat 1973—1976, a więc w czasie krótkim, co jednak można zrozumieć jeśli się przypomni ówczesną optymistyczną atmosferę inwetycyjnego boomu...

Komisja Planowania — mimo początkowych oporów — zaakceptowała wniosek o zakupienie importowanych maszyn i urządzeń, zobowiązując jednak inicjatorów do dokonania transakcji w określonych przez nich terminach i obejmującej komplet urządzeń. Warunki te miały nie zostać spełnione.

Realizacji kontraktu podjęła się centrala **„Polimex-Cekop"**, a głównymi dostawcami były firmy z Austrii i Włoch, choć urządzenia pochodziły również z kilku innych krajów zachodnich. Gdy sprowadzono maszyny, okazało się jednak, że nie ma ich gdzie zamontować.

Wygląda więc na to, że **autorzy ambitnego projektu uprzemysłowienia piekarnictwa zaczęli realizację tego dzieła od końca, że kupili urządzenia nie wiedząc na pewno, co z nimi będzie.** Z drugiej strony okazało się, że nie przeprowadzono badań sondażowych rynku. Tymczasem trudno sobie wyobrazić podjęcie decyzji o budowie tak poważnych inwestycji bez szczegółowego rachunku ekonomicznego: bilansu potrzeb i możliwości zbytu. Koronnym argumentem za koniecznością uprzemysłowienia produkcji ciast i pieczywa cukierniczego w Polsce było porównanie z wielkością tej produkcji w innych krajach socjalistycznych. Ale tam wielkość ta odpowiada rozmiarom zapotrzebowania. W Czechosłowacji na przykład spożycie jest statystycznie dużo większe niż u nas (i wynosi 20 kg rocznie na jednego mieszkańca). Jest to przede wszystkim wynik tradycji. Ale czy z tego faktu można wyciągać tak daleko idące i jednoznaczne wnioski na temat tendencji wzrostu spożycia w Polsce?

Odpowiedź nie jest taka prosta.

Zdaniem **Dionizego Kuklera** — wiceprezesa **Centralnego Zarządu „Społem"** — produkcja ciastek bardzo się u nas ostatnio rozwinęła. Kiedyś wynosiła ona nie więcej niż 8 proc. wartości całej produkcji piekarniczej, dzisiaj — sięga 20, a niekiedy i 28 proc. *Zbliżyliśmy się więc* — mówi wiceprezes — do krajów które mają w tej dziedzinie długą tradycję, jak Czechosłowacja czy Węgry. Zakładamy, że w najbliższym czasie spożycie w Polsce osiągnie 8—10 kg rocznie na głowę, ale będzie dalej rosło.

— Można więc nawet przyjąć rozumowanie tych, którzy podjęli akcje inwestycyjną. Nie było ono całkiem pozbawione racji, jeżeli weźmie się pod uwagę przyszłe zapotrzebowanie na ciasta i pieczywo cukiernicze — konkluduje **D. Kukier** i dodaje jeszcze: **— U nas zresztą spożycie to jest nierównomierne, większe na przykład w Poznaniu, Wrocławiu i Szczecinie, niż na wschodzie Polski. Budowę kombinatów zaplanowano tylko w dużych ośrodkach, gdzie istniał już państwowy przemysł cukierniczy. Liczono widać, że w produkty kombinatów zaopatrywać się będzie całe aglomeracje. Można natomiast dyskutować, czy trzeba było kupować tak dużo maszyn naraz. Projektodawcy nie byli w stanie rozpocząć w terminie wszystkich inwestycji. Zaciążyły trudności inwestycyjne. Być może jednak można było zahamować realizacje kontraktu, przesuwać terminy dostaw — trudno dziś powiedzieć...**

Ciągi technologiczne do produkcji ciasta podzieliły więc los wielu zakupionych w tym czasie maszyn i całych licencji, które nie zostały praktycznie wykorzystane w gospodarce kraju. **Oblicza się, że prawie jedna trzecia licencji czynnych każdego roku, nie była w ogóle zastosowana.** Np. w przemyśle chemicznym nie wdrożono w 1979 roku aż 39 proc. licencji. Najbardziej powszechną przyczyną były ograniczone możliwości budowlane i montażowe. **Kupowano drogie maszyny, których nie było gdzie zainstalować.**

Zakup urządzeń piekarniczych jest tylko jednym przykładem tego ekonomicznego marnotrawstwa. Może tym bardziej drastycznym, że dotyczy przemysłu spożywczego, należącego do tych gałęzi gospodarki, które na zakupach licencji i „inwestycyjnym skoku" skorzystały najmniej (a czego skutki — np. w branży spożywczej — obserwujemy dzisiaj, gdy wskazuje się na naglącą potrzebę jej doinwestowania). Można żałować, że nieliczne środki, jakie w tej dziedzinie wygospodarowano, przeznaczone zostały na zakup i takich urządzeń, które — zamiast do hal produkcyjnych — powędrowały do magazynów. Przynajmniej część tych funduszy (i tych, które trzeba będzie jeszcze wydać, by doprowadzić inwestycje do końca) można było skierować na import parku maszynowego i wyposażenie dla tych działów produkcji w przemyśle spożywczym, które tego zastrzyku potrzebowały bardziej, niż piekarnictwo.

W roku 1976, w którym — zgodnie z projektem — miano zakończyć budowę kombinatów, doszło tymczasem do reorganizacji w resorcie handlu wewnętrznego. Zlikwidowano Zjednoczenie Przemysłu Piekarniczego, a jego agendy wraz z częścią pracowników przejęło CSS „Społem". Dotyczyło to m. in. ciastkarni w dużych aglomeracjach. Podobnie w Łodzi tutejsze Zakłady Przemysłu Piekarniczego przeszły pod zarząd spółdzielców.

Wraz z tym faktem na „Społem" spadła uciążliwa niewątpliwe scheda zagospodarowanie dotąd nie wykorzystanych linii.

Jeszcze dzisiaj wiceprezes Kukier podkreśla, że jak na ówczesne trudności, udało się to i tak w dużym stopniu.

Najwcześniej rozpoczęta ciastkarska inwestycja — w Szczecinie — jest dziś w fazie rozruchu technologicznego i produkuje już na rynek. Do końca roku ma się do niej dostarczyć brakujące urządzenia do odbioru i paczkowania gotowych wyrobów. W Poznaniu produkcja ruszy w I kwartale 1981 roku. Wiceprezes Kukier podzielił się ze mną nadzieją, że uda się w przyszłym roku uzyskać i dla Poznania brakujące — podobne jak wymienione — urządzenia.

We Wrocławiu w oparciu o importowane maszyny powstaje wytwórnia sucharów delikatesowych. Jej uruchomienie zaplanowano na I kwartał 1981 r., ale też jeszcze na razie brak urządzeń paczkujących. Bardzo ciężko idzie budowa w Katowicach, plany nie są realizowane, a poza tym także trzeba będzie dokonać licznych zakupów uzupełniających.

Nie rozpoczęto natomiast budowy kombinatu w Gdańsku, gdzie ma znaleźć się zarówno produkcja ciast jak i pieczywa. Realizowana jest budowa w stolicy, ale z profilem zdominowanym produkcją pieczywa.

A w Łodzi?

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

I tu — podobnie jak w innych miastach — WSS „Społem" musiała kontynuować zainicjowaną i nie dokończoną przez Zjednoczenie Przemysłu Piekarniczego akcję. W 1978 roku przy zbiegu ulic Wróblewskiego i Łaskiej rozpoczęła się budowa ciastkarskiego giganta. Jej generalnym wykonawcą jest Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 1.

Cały koszt tej inwestycji (wraz z maszynami) miał wynieść 252 mln 348 tys. zł, w samych robotach budowlanych — 106 mln 509 tys. W 1978 roku wykonano na budowie prace wartości 4.5 mln, w 1979 — 16,5 mln. W bieżącym roku — do października — było 15 mln złotych przerobu. Jak z tego widać, budowa jest dość zaawansowana. Główna hala produkcyjna zamontowana została w 95 proc., a budynek administracyjno-socjalny — w 40 proc.

— Do lipca 1980 roku realizowaliśmy — zgodnie z planem pierwotnym — program ciastkarni o wydajności 22 ton na dobę — mówi wiceprezes do spraw rozwoju i techniki WSS „Społem" **E. Wojtal. — Jednocześnie przygotowywana była dokumentacja innej inwestycji: dużej piekarni na Kurczakach, której budowę planowaliśmy w nadchodzącej pięciolatce, w oparciu o technologię z ZSRR.**

Sytuację zmieniła radykalnie uchwała Centralnego Zarządu „Społem" z 11 lipca br. **„Ze względu na występujące potrzeby piekarskie** — czytamy w niej — **dokonano zmian programowych w realizowanych ciastkarniach przemysłowych"**

„W ciastkarni przemysłowej o wydajności 22 ton na 16 godzin w Łodzi — stwierdza dalej uchwała — **zmienić program produkcji na dotychczasowej powierzchni, uzyskując orientacyjną wydajność obiektu w wysokości 48 ton na 16 godzin pieczywa i 7 ton na 16 godzin wyrobów ciastkarskich..."**

— Ten dokument przewrócił temat — dopowiada wiceprezes. — **Powstała potrzeba opracowania nowej koncepcji dalszej budowy, innego ustawienia procesu produkcyjnego, zmiany wyposażenia. Trzeba opracować nowe założenia ekonomiczno-technologiczne, a następnie — projekty techniczne wytwórni.**

Na szczęście — podkreśla wiceprezes — zmiany nie spowodują strat w wykonanej już części obiektu. A na 2 tygodnie przed nadejściem nowej decyzji mieli wejść na budowę instalatorzy... Spóźnili się i już nie weszli.

Duże znaczenie ma również to, że generalny wykonawca nie opuścił budowy. Faktycznie więc, mimo zmian w profilu produkcji, inwestycja nie została przerwana, „nie wypadła z kolejki", jak mówi wiceprezes Wojtal. Kontynuowane będą tylko te prace, które byłyby niezbędne i bez zmiany założeń technicznych. Aż do czasu opracowania nowych założeń. Inwestor obiecuje ukończyć je przed upływem pierwszego kwartału przyszłego roku.

Dla Łodzi nowa decyzja w sprawie przyszłości kombinatu jest „szczęściem w nieszczęściu" **Kontynuowanie budowy według pierwszego projektu byłoby bezsensem, przede wszystkim dlatego, że produkcja wielkiej ciastkarni przekraczałaby zapotrzebowanie Łodzi.** Jest ono kilkakrotnie mniejsze, niż na przykład w Poznaniu. Byłyby kłopoty ze sprzedażą tak wielu wyrobów na miejscu.

Realizacja pierwotnego planu — nie tylko w Łodzi, również w skali kraju — wymagałaby ponadto dodatkowego importu urządzeń (będzie on i tak w dużej części konieczny), a zwłaszcza — surowców i opakowań. Obciążyłby on — i tak już nadwerężony — bilans płatniczy z krajami zachodnimi.

Produkcja przemysłowa ciast i pieczywa cukierniczego zakłada import pewnych komponentów surowcowych i materiałów do wyrobu opakowań. Pod tym względem sytuacja na rynkach światowych wygląda gorzej, niż wtedy, gdy rzucono pomysł uprzemysłowienia tej gałęzi produkcji. Z każdym rokiem powiększają się nasze kłopoty z otrzymaniem odpowiednich przypraw, esencji aromatycznych, rodzynków, orzechów, a nawet — dobrej jakości — drożdży i tłuszczów, bez których produkcja cukiernicza — na taką skalę — jest nie do pomyślenia. Zresztą, zaopatrzeniowe problemy dały się już we znaki nowym wytwórniom w Szczecinie i Poznaniu, a będą — jak się przypuszcza — coraz większe.

Do listy koniecznych zakupów można by jeszcze dopisać specjalistyczne samochody dostawcze, których u nas nie produkujemy. Ale na nie pewnie już zabraknie środków.

Program dla Łodzi przewidziany w ostatniej uchwale jest realny. W łódzkim „Społem" przewidują, że kombinat osiągnie produkcję 48—55 ton pieczywa i 10—11 ton ciast. Jak wynika z sondaży działu produkcji WSS jest to zgodne z łódzkimi tendencjami wzrostu spożycia produktów piekarniczych. Ponadto nowa ciastkarnia umożliwi likwidację wytwórni pracujących dotąd w starych, przeznaczonych do wyburzenia budynkach.

Prawdziwą wygraną dla Łodzi — przy okazji całej tej ciastkarskiej afery — jest piekarnia. Tym bardziej, że nie należy spodziewać się rychłej realizacji planu budowy piekarni na Kurczakach. Nowa piekarnia nie tylko pozwoli na stworzenie rezerwy produkcyjnej dla Łodzi, lecz także na zaopatrywanie miejscowości leżących poza nią.

A co z maszynami i urządzeniami z piotrkowskiej składnicy?

W centrali „Społem" dowiedziałem się, że jednak zdołano przedłużyć umowę na ich konserwację. Te, które przeznaczono na wymianę lub uzupełnienie parku maszynowego — zostały już skierowane do istniejących ciastkarni. Część określa się jako „rezerwę produkcyjną", część posłuży na wymianę zużytych maszyn w przyszłości. Większość zakupionych linii skierowana jednak zostanie do nowo powstających kombinatów.

Zgodnie z pierwszym planem, dla łódzkiego kombinatu ciastkarskiego zarezerwowano trzy linie: dwie do produkcji rolad i jedną do wypieku różnego asortymentu ciast. Po zmianie decyzji w Łodzi ma być zainstalowana linia „babka-keks", a ponadto ciąg technologiczny do produkcji różnych ciast (tzw. reikart) z czynnej ciastkarni przy ul. PKWN.

Nowy kłopot spadł jednak na głowy szefów „Polimexu-Cekopu". Będą oni musieli sprzedać część zakupionych urządzeń Komu? Niektórzy powątpiewają, czy znajdą się jeszcze chętni na „zużyty moralnie" sprzęt.

Wiceprezes **Dionizy Kukier** jest **optymistą.**

— Poszliśmy nawet na to — mówi — **żeby po prostu wymienić te nieprzydatne urządzenia na takie, które będą nam potrzebne. Sądzę, że to się uda.**

Gorzki to optymizm dla tych, którzy teraz muszą jeść ten zakalec.

Foto: R. Łucyszyn

KILKA MYŚLI O RÓŻNYCH SPRAWACH

Zachodzące zmiany przyjąłem ze zmiennymi uczuciami, zwłaszcza, że przeżyłem dodatkowy zakręt w moim życiu, zresztą za winy nie popełnione, gdyż stałem się ofiarą błędów i wypaczeń. Dziś nie myślę już o tym. Są bowiem sprawy ważniejsze, o znaczeniu ogólnonarodowym. Za jeden z takich problemów uważam wydźwignięcie naszej narodowej gospodarki z sytuacji krytycznej. W pełni zdaję sobie sprawę, że ten stan jest o wiele krytyczniejszy, niż określa się go w obecnej chwili w publikatorach i jeszcze gorszy, niż rysuje się on w świadomości większości Polaków.

Dokonane przemiany polityczno-społeczne stały się jedyną i nieodwracalną formą budowy nowej wolnej i niepodległej POLSKI po roku 1944. Taką właśnie POLSKĘ starałem się budować od młodych lat, wspólnie z większością obywateli — budować dosłownie, łącznie z udziałem w brygadach „Służby Polsce". Moją świadomość społeczno-polityczną kształtowała wówczas rzeczywistość i aktywny udział w życiu ZMP, gdzie działałem jako członek i organizator aż do jego rozwiązania w 1957 roku.

Zawsze była mi bliska rzetelna i dobra praca zawodowa i społeczna. Starałem się porównywać swoje wyniki z osiągnięciami sąsiadów, współpracowników i konkurentów w taki sposób, aby wybrać dla siebie najlepsze, najbardziej realne i ekonomiczne rozwiązania, które stawiałyby mnie na platformie niezaprzeczalnego partnerstwa.

Kiedy dla własnych potrzeb rozważałem realność poczynań gospodarczo-ekonomicznych dokonywanych w naszym kraju, zastanawiałem się nad prawidłowością działań systemów ekonomicznych i w miarę posiadanych możliwości usiłowałem porównywać je z zachodzącymi lub już istniejącymi strukturami i formami działania podobnych zjawisk ekonomicznych w innych zaprzyjaźnionych krajach socjalistycznych, w których zachodziły one również po drugiej wojnie światowej.

Odnoszę swoje rozważania jedynie do działania niektórych zjawisk ekonomicznych w naszym kraju, które jak bumerang wracają przy każdej okazji, jak byśmy je nie nazwali: „błędy i wypaczenia", „zmiana orientacji gospodarczej", „reorganizacja struktur" czy „manewr gospodarczy". Zjawiska te są raczej mało spotykane u naszych sąsiadów.

Proszę mnie źle nie rozumieć. Nie uważam się ani nie chcę być uważany za żadnego odkrywcę czy odnowiciela — po prostu od wielu lat nurtują mnie te same wątpliwości, które niezmiennie wracają jako sprawy nie rozwiązane. Wielokrotnie miałem przeświadczenie, że już teraz wiele spraw zostanie inaczej, lepiej i zdecydowanie rozwiązanych. I znów przeżyłem kolejne rozczarowanie. Znów okazało się, że to tylko manewr dobrze zaplanowany, ale kierowcy i realizatorzy wajchę przełożyli delikatnie na tory, które prowadziły ich w ich kierunku, a nie ogólnonarodowym.

Pierwszą sprawą, która mnie nurtuje, jest problem właściwego wychowania młodego pokolenia w duchu demokracji socjalistycznej z zachowaniem prawidłowych norm moralnych. W tej dziedzinie widzę szczególne zaniedbanie. Organizacje młodzieżowe wychowują konsumentów, a nie społeczników, działaczy, aktywistów czy organizatorów. Uważam, że należałoby wrócić nieco do historii ruchu młodzieżowego lat pięćdziesiątych. Spory dorobek miał Związek Młodzieży Polskiej, który stawiał na pierwszym miejscu godność, morale i świadomość społeczną młodego obywatela. Istniała wówczas sprzyjająca atmosfera dla wspólnego organizacyjnego działania dla dobra ogólnego. Dziś ta sprawa wygląda zupełnie inaczej, przynajmniej w odczuciu większości ludzi z mojego pokolenia.

Mamy bardzo fajną i z gruntu dobrą, inteligentną młodzież, która powinna stać się partnerem całego narodu we wszystkich zamierzeniach i dokonywających się zmianach, w odnowie życia społeczno-gospodarczego. Powinna, ale czy jest na tyle przygotowana ideologicznie i socjologicznie? Nie, na pewno nie! Bywam czasem na spotkaniach z młodzieżą robotniczą ZSMP i stwierdziłem, że w jej zachowaniu nie widzę żadnego zaangażowania politycznego i społecznego. Nie widzę twórczego działania dla zmiany istniejącego stanu, dla wyprowadzenia społeczeństwa z marazmu i odrętwienia.

Sprawą drugą, która mnie nurtuje jest stale odradzająca się biurokracja. Nie zliczę, ileż to razy nasi przywódcy zarzekali się i wypowiadali na temat likwidacji przerostów biurokracji i administracji państwowej. Przyznam się, że za każdym razem cieszyłem się, miałem błogą nadzieję, że teraz to już na pewno zmniejszą liczbę ministerstw czy urzędów centralnych przynajmniej o 10, nie mówiąc o różnego rodzaju centralach i zjednoczeniach. Brałem do ręki warszawską książkę telefoniczną i łączyłem sobie dwa a nawet trzy ministerstwa o podobnych profilach w jedno i już tak ładnie się układało, że możemy doskonale gospodarować w liczbie 16—18 ministerstw łącznie z komitetami i urzędami centralnymi. Ale mimo zadeklarowanej polityki powstało nowe ministerstwo, urząd centralny i dwa komitety szczebla ministerialnego. Pojawiali się urzędnicy żądający nowych sprawozdań, analiz i druków w zamian za nadesłane wytyczne, dyrektywy i wskaźniki, dając w skali kraju milionowe „oszczędności" in minus. Czyż nie była jawnym pogwałceniem zasad walki z rozrastającą się biurokracją motywacja zaoszczędzenia w skali kraju kilkunastu tysięcy etatów w administracji państwowej w wyniku przeorganizowania terytorialno-administracyjnego kraju w 1975 roku, a w konsekwencji (tego dane GUS nie podają) powstało dodatkowo dalszych 30.000 etatów. Nie jestem w stanie powiedzieć, jakie straty z tego tytułu poniósł kraj, choćby z konieczności budowy wielkich (na miarę województwa) gmachów dla administracji. W gminach też apetyty rosły. W wyniku tej reorganizacji dla wielu tysięcy spokrewnionych i skumanych obywateli znalazły się ciepłe warunki.

Ileż to przeżyliśmy reorganizacji i przeobrażeń wewnętrznego i zagranicznego handlu, czy któraś z nowo wprowadzonych form była taką, która polepszyła stan dystrybucji i zaopatrzenia? Nie! Żadna. Co gorsze, każda z nowych organizacji handlowych ma za swój punkt honoru numer jeden — przebranżowienie, przebudowanie lub modernizację każdego lokalu czy sklepu. Czy nas na to stać???

Kiedy to piszę, sytuacja rynkowa znajduje się w impasie, ale na moim osiedlu „Nowe Rokicie", w chwili obecnej, w październiku 1980 roku, zamknięto sklep branży spożywczej (duży) i obok sklep warzywno-owocowy (mniejszy, wyłożony ładną glazurą) celem połączenia. Obydwa sklepy w ostatnich dwóch latach były remontowane. Miano tam otworzyć delikatesy osiedlowe. Komu to potrzebne?

Sądzę, że sensowną byłaby w tym konkretnym przypadku decyzja o nierozpoczynaniu remontu w obydwu sklepach, a siły i środki natychmiast przesunąć na konieczne wykończenie mieszkań, szpitali, żłobków, przedszkoli czy szkół. Wydaje się to celowe i konieczne, ale cóż robić wobec skostniałej biurokracji.

W Berlinie, Lipsku czy Dreźnie, gdzie bywam nieczęsto za każdym razem trafiam bez przeszkód do tego samego sklepu „CH" czy prywatnego. U nas natomiast nie można mieć pewności, czy sklep odzieżowy jeszcze jutro będzie w tym samym miejscu, bo często po paru tygodniach jest tam sklep Centrali Rybnej. Czy ze społecznego i ekonomicznego punktu widzenia stać nas na to?.

Sprawa następna — to mój osobisty sprzeciw wobec NIEZALEŻNOŚCI, która pokutuje od wielu, wielu lat. Mowa tu o Polskich Kolejach Państwowych, które są przedsiębiorstwem niezależnym i wyobcowanym z wszelkiej odpowiedzialności wobec pasażera, że równego mu w kraju nie znajdziesz. Byłem świadkiem bezprecedensowych zajść w czasie moich podróży służbowych, kiedy to pasażer, który wsiadł do pociągu pospiesznego z biletem na pociąg osobowy — bo tenże pociąg pośpieszny był już opóźniony o około 180 min, a ze stacji nie odszedł planowy pociąg pasażerski osobowy — został zmuszony do zapłacenia w obecności rewizora kary plus dopłaty za pośpiech. Natomiast nam wszystkim, pasażerom z ważnymi biletami na przejazd pociągiem pośpiesznym, po dojechaniu do stacji docelowej z opóźnieniem 218 minut oświadczono, że stało się to z przyczyn obiektywnych a nie z winy PKP.

Wiemy wszyscy, jak trudnym problemem jest sprawa transportu kolejowego w ogóle, a w przypadkach realizacji eksportu — w szczególności. Uzyskanie odpowiedniego wagonu dostosowanego do potrzeb załadunku towarów dla odbiorcy zagranicznego i to jeszcze do strefy dolarowej jest problemem nie lada. Tak więc w zaplanowanym terminie otrzymanie jednego czy dwóch wagonów na własną bocznicę jest osiągnięciem nie byle jakim, zwłaszcza, jeśli to dzieje się w dni świąteczne(niedziela). Ale jakież było zdziwienie dyspozytora fabrycznego, kiedy po otwarciu podstawionego do załadunku wagonu (plomb nie było, numery zgadzały się z listem przewozowym PKP) zobaczył on wnętrze wypełnione pudełkami z damskimi pantoflami. W okresie niespełna dwóch miesięcy, też w niedzielę, podstawiono w tym samym zakładzie wagon z meblami.

Jakie wynikły z tego konsekwencje?

Po pierwsze — przedsiębiorstwo nie wysłało na eksport towaru w określonym czasie, w związku z czym zostało obciążone karami umownymi. Po drugie — w celu dokonania załadunku i ekspedycji wagonu przyszli do pracy w niedziele specjalnie robotnicy transportowi, którym trzeba było zapłacić 100 proc. za nie przepracowane godziny. Po trzecie — zachwiana została rytmiczność zbytu i sprzedaży na eksport (liczy się wagon wyekspediowany). Po czwarte — inny klient bezskutecznie poszukiwał w całej Polsce wagonu z obuwiem czy meblami, również nie wykonując planu sprzedaży.

PKP z takiej sytuacji wychodzi bez obciążeń, ponieważ przepisy mówią, że w takich przypadkach, z przyczyn nie zawinionych, odpowiedzialności nie ponosi. A co biedny klient może zrobić wobec „gmachu" adiunktów, naczelników, rewizorów, dyrektorów, itp., obwarowanych swoimi przepisami.

Wiem, że problem jest tak stary, jak stare są PKP, ale to nie usprawiedliwia kontynuowania w dalszym ciągu takiego stanu rzeczy. Wiemy, z jakimi trudnościami borykają się PKP, ale to również nie usprawiedliwia traktowania tej zasłużonej instytucji jako „świętej krowy".

Kolejny problem. Jest nim „przemysł turystyczny", który — jakby go nie oceniać — w większym czy mniejszym stopniu przysparza wiele cennych dewiz. Jeżeli stać nas na utrzymywanie Głównego Komitetu Turystyki, jako nadbudówki biurokratycznej, bo spółdzielnie turystyczne i PTT-K pod ten komitet nie podlegają, to niechże ten komitet zajmie się konkretnymi sprawami inwestycji bazy hotelowo-turystycznej, tak ubogiej w naszym kraju.

Od czego należy zacząć? Od zinwentaryzowania całej bazy turystycznej, następnie zaprojektowania i budowy nowych ośrodków, domów wczasowych, pensjonatów, hoteli, kampingów, zajazdów, itp. Sądzę, że poważne ograniczenie realizacji nie realnych i nieekonomicznych inwestycji przemysłowych w poważnym stopniu zwolni moce przerobowe zarówno w biurach projektów jak i budownictwa dla realizacji przedstawionego programu.

Czy ktoś, przed II wojną światową, słyszał o Złotych Piaskach, Albenie, Mamai i tym podobnych kurortach i wczasowiskach w Bułgarii i Rumunii? Nie, bo ich nie było. Dziś istnieją i nieźle prosperują, przysparzając spore zyski dewizowe. Ktoś może powiedzieć, że u nas nie ten klimat, że nie mamy Morza Czarnego. To prawda, ale poza morzem mamy również inne walory turystyczno-widokowe, jak jeziora, puszcze, Bieszczady, góry, zabytki historyczne, wreszcie sporo pięknych i luksusowych ośrodków rekreacyjno-wypoczynkowych, chronionych przez MSW gdzie wieloosobowy personel tygodniami oczekuje na gości. Jeżeli prywatnym osobom (a znam kilka takich) opłaca się budować w Karpaczu, Szklarskiej Porębie, Wiśle, Zakopanem, Krynicy i wielu innych miejscowościach z własnych środków pensjonaty z kilkunastoma pokojami gościnnymi do wynajmowania za dewizy (a wiem, że miejsca te są wykupione na kilka lat naprzód), to czy państwu to się nie może opłacać?

Proponuję następujące warianty finansowania tych inwestycji:

1. Przeznaczenie 1/4 zysku z wszelkiego rodzaju państwowych gier liczbowych, wyścigów konnych oraz Państwowego Monopolu Loteryjnego.

2. Przeznaczenie 5 proc. dopłat do wszelkiego rodzaju wyrobów alkoholowych i tytoniowych, opłat paszportowych, opłat celnych, opłat dewizowych.

3. Podniesienie opłat o 30—50 proc. za wstęp i zwiedzanie wszelkiego rodzaju obiektów zabytkowo-turystycznych.

4. Zaangażowanie kapitału naszej Polonii przez rozpisanie pożyczki na zagospodarowanie zabytkowo-turystycznych obiektów w Polsce, tworzenie państwowo-polonijnych spółek, realizujących inwestycje turystyczno-hotelowe z prawem korzystania Polonii na warunkach ulgowych.

5. Istnieje możliwość budowy ośrodków czy obiektów kuracyjno-wypoczynkowych na warunkach zaangażowania kapitału zachodniego określonego kilkuletnią eksploatacją przez turystów danego kapitałodawcy. Inwestycja bardzo opłacalna. Po 5 czy 10 latach przechodzi na własność państwa bez najmniejszego udziału własnego kapitału.

Jeśli mogliśmy kupować rozmaite fabryki i wytwórnie licencyjne, np. przetwórnie mięsa i spłacać je własnym mięsem, to sądzę, że wyżej podane propozycje mogą okazać się przedsięwzięciem bardziej korzystnym od Huty Katowice, Polkoloru, Ursusa czy Bełchatowa.

JANUSZ PRUSKI

„DO TRZECH RAZY SZTUKĄ"

W 42 numerze „Odgłosów" z dnia 16 października br. ukazał się „list" p. Gorzelskiego, w części dotyczący mojej osoby i roli negatywnej, jaką rzekomo odegrałem w storpedowaniu jego spotkania autorskiego w Towarzystwie Przyjaciół Łodzi.

Korzystając z przysługującego mi prawa do obrony proszę o wydrukowanie mojego sprostowania. Otóż jako przedstawiciel Działu Naukowo-Oświatowego i Wydawniczego Muzeum Historii Miasta Łodzi uczestniczyłem — obok prezesa TPŁ. p. Mieczysława Woźniakowskiego oraz reprezentanta Instytutu Teorii Literatury UŁ dr Henryka Pustkowskiego — w 2 czy 3 posiedzeniach poświęconych cyklowi spotkań autorskich, firmowanych właśnie przez TPŁ, UŁ i MHMŁ. Nie przypominam sobie jednakże, mimo najlepszej woli, abym podejmował jakiekolwiek działania, przeciw p. Gorzelskiemu, o które mnie pomawia.

W związku z tym niechaj będzie mi wolno zwrócić się tą drogą do pana prezesa Woźniakowskiego jako uczestnika tych narad, aby zechciał publicznie ujawnić, kiedy to — na tych posiedzeniach lub może w prywatnych z Nim rozmowach — podejmowałem próby zdyskredytowania p. Gorzelskiego?

Może też zechce pan Pustkowski przypomnieć mi, kiedy to mianowicie — w trakcie posiedzeń lub może w sytuacjach pozakulisowych — wygłaszałem opinie, o p. Gorzelskim, które mogłyby zaważyć na odwołaniu tegoż spotkania?

PROPOZYCJE I LISTY

Oczywiście fakt odwołania spotkania autorskiego, jakiekolwiek byłyby tego przyczyny, należy do tej ciemnej strony życia kulturalnego w naszym mieście, jednakże do czasu przynajmniej, aż zechcą w tej sprawie zabrać głos panowie Woźniakowski i Pustkowski, słowa p. Gorzelskiego przeciw mnie skierowane pozostają obrzydliwym i wyjątkowo podłym pomówieniem.

Z podobnych też powodów najpewniej brak temu autorowi kwalifikacji moralnych do formułowania uogólnień i sądów wartościujących o poszczególnych pisarzach.

Osobiście jestem głęboko przekonany, że rozliczenie polityki kulturalnej ze wszystkich błędów, ale także osiągnięć, jest nieuniknione, wierzę wszakże, iż nastąpi to na innej płaszczyźnie i w innym wymiarze, niż proponuje p. Gorzelski.

MIECZYSŁAW KUCNER

*

W związku z listem p. Romana Gorzelskiego stwierdzam, że nigdy z p. Mieczysławem Kucnerem nie omawiałem sprawy zorganizowania przez TPŁ spotkania autorskiego z p. Romanem Gorzelskim. Skądinąd z p. Mieczysławem Kucnerem często kontaktujemy się, organizując wspólnie z Muzeum Historii Miasta Łodzi różne imprezy i akcje. Kontakty te są dla nas bardzo cenne z uwagi na dużą znajomość spraw dotyczących poezji i literatury w ogóle oraz osobistą kulturę, jaka cechuje p. Mieczysława Kucnera.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

PREZES TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ŁODZI

REZOLUCJA

Lekarze, reprezentujący łódzkie środowisko zawodowe, zgromadzeni na spotkaniu koleżeńskim w dniu 21 listopada 1980 roku — z inicjatywy Koła Lekarzy Seniorów w Łodzi oraz Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, po wysłuchaniu referatów i wszechstronnym przedyskutowaniu sprawy reaktywowania Izb Lekarskich w Polsce, oświadczają co następuje:

1. Lekarze łódzcy gorąco i w całej rozciągłości popierają inicjatywę i działania Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, mające na celu reaktywowanie Izb Lekarskich w Polsce.

2. Lekarze łódzcy zwracają się do Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego o opracowanie projektu statutu i struktury Izb Lekarskich z uwzględnieniem sytuacji wynikającej z istnienia w Polsce socjalistycznego modelu Ochrony Zdrowia.

3. Statut powinien zapewnić Izbom możliwie szerokie uprawnienia i kompetencje, aby Izby Lekarskie mogły skutecznie wpływać na podniesienie poziomu etyki, godności, pozycji stanu lekarskiego w Polsce oraz podniesieniu opieki zdrowotnej w kraju.

4. Przynależność do Izby Lekarskiej powinna obowiązywać wszystkich lekarzy medycyny i stomatologii.

5. Łódzkie środowisko lekarskie zgłasza gotowość swego udziału w pracach przygotowawczych, których celem jest wniesienie projektu „Ustawy o Izbach Lekarskich w Polsce" do laski marszałkowskiej Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

6. Treść rezolucji zostanie podana do wiadomości Zarządowi Głównemu Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w Warszawie, Kołom Lekarzy Seniorów, tygodnikowi „Służba Zdrowia", innym pismom i środkom masowego przekazu i Ministerstwu Zdrowia i Opieki Społecznej.

Niniejsza rezolucje podpisali

Prof. dr T. PAWLIKOWSKI
Koło Lekarzy Seniorów w ŁODZI
Prof. dr J. GOLDSTEIN
Przewodn. Zarządu Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego
i 50 lekarzy reprezentujących Towarzystwa Naukowe Lekarskie w Łodzi oraz środowisko lekarskie łódzkie

Łódź, dnia 21 listopada 1980 roku.

INTERWENCJE

RADOŚĆ ZA 100 ZŁ

Wielka radość zapanowała w domu, gdy otrzymaliśmy decyzję o przyznaniu zniżki (pomocy finansowej) w kwocie 100 złotych na pokrycie czynszu na rok do 1 września 1981 roku. — Będziemy płacić o sto złotych mniej! — powiedziałem do żony i w dniu wpłat pobiegłem do inkasenta Zarządu Nieruchomości z mniejszą niż zazwyczaj sumą.

— Nie, proszę zapłacić pełny czynsz, a zwrot pan otrzyma później, w specjalnym trybie — powiedział inkasent. O decyzji wiemy.

Chwile osłupienia, a potem nagłego oświecenia! No, przecież! Jak mogłem dopuścić się podobnej naiwności, można rzec prostactwa myślowego, ja, przeszło siedemdziesięcioletni prawnik! Przecież inkaso — jest czynnością gospodarczą, a decyzja zwrotu, wymagająca orzeczenia władzy, uprawomocnienia się, uznania mnie za wierzyciela, a Skarbu Państwa za dłużnika — to czynność z innej dziedziny prawa, oderwana jakby od sprawy czynszu i absolutnie niezależna. Jak mówią prostaczkowie — inna para kaloszy! No i wykonanie! Inkasent w żadnym wypadku nie jest uprawniony do interpretowania formalnej prawomocności decyzji i momentu potrącenia. Byłoby to uzurpowanie sobie atrybutów władzy.

Jasne były i dalsze konsekwencje prawne. Skoro zniżka uzyskała samodzielny byt i bieg prawny, to zwrot musi nastąpić w żadnym wypadku nie przez ręce administratora, gospodarczego li tylko zarządcę, lecz w drodze, raczej w trybie operacji bankowych, mających w tych sprawach doświadczenie, przez PKO lub Bank Narodowy.

Istotnie, po wpłaceniu już trzech kolejnych miesięcznych rat czynszu, otrzymałem wezwanie do stawienia się do PKO, z dowodem osobistym, dla podjęcia „przelewu". Zaintrygowany, po pół godzinnym wyczekiwaniu w kolejce, zapytałem urzędniczki o rodzaj przelewu i jego tytuł. Po odszukaniu w kartotece, powiedziała:

— Jest to suma 100 zł z tytułu zniżki za czynsz z września br. Czy ma pan książeczkę oszczędnościową? bo nie mogę wypłacić w gotówce, tylko dopisać jako wkład na książeczkę. Jeśli pan nie ma, to muszę wystawić nową książeczkę i wpisać sto złotych.

Powie może ktoś, że jest to decydowanie za obywatela co do rodzaju przeznaczenia tej sumy? Nic podobnego! Urzędniczka wystawiła książeczkę, wpisała wkład sto złotych i wręczyła mi. Poszedłem do innego okienka i stojąc nie dłużej jak pół godziny w kolejce, podjąłem wkład w wysokości 100 złotych.

Logiczne? Tak. Jest zachowany duch postępowania biurowo-administracyjnego, manipulacja i instancyjność? — Jest.

Po trzech godzinach odchodziłem wprawdzie zmęczony, ale i głęboko usatysfakcjonowany: oto ja, podmiot mieszkaniowych uprawnień, jestem jednocześnie wierzycielem Skarbu Państwa i biorę udział w umacnianiu zasad postępowania prawnego, kształtującego życie.

Przyjemna była świadomość, że ta procedura powtórzy się w ciągu roku dwanaście razy i że nie jestem samotnym, bowiem podobnych mnie są tysiące.

Jedna tylko myśl mnie nieco niepokoi — koszt tych decyzji, instancyjnych właściwości i przelewów. Można sobie wyobrazić stosy zestawień, bilansów, decyzji przyznania kredytów, zatwierdzeń, wzywań, pracy urzędników. To wszystko zapewne kosztuje w każdym wypadku drugie tyle, co przyznana zniżka. No ale „czynniki miarodajne" wiedzą lepiej.

WITOLD KOTOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

blem stowarzyszeń młodzieżowych to właściwie seria nieporozumień, będąca wynikiem niezweryfikowanych uprzedzeń i — w konsekwencji — małego zainteresowania. „Zawinił" tu bodaj najwięcej jeden z najznakomitszych polskich historyków, wspomniany autor pomnikowego dzieła o Łukasińskim, który kreśląc rozległą panoramę rzeczywistości społeczno-politycznej Królestwa konfrontował często konspiracje „dorosłe" ze związkami młodzieżowymi, deprecjonując te ostatnie — ich organizację, cele i znaczenie, stale też sugerując — w sposób niemal obsesjonalny — prowokację.

Tylko przez Uniwersytet Warszawski (pomijając warszawskie szkolnictwo średniego szczebla) przewinęło się do powstania ok. 3 tysięcy studentów. Wszyscy oni prawie bez wyjątku byli w sposób poświadczony w kręgu bezpośredniego oddziaływania stowarzyszeń młodzieżowych (do 1822 i po 1827) lub ich ideologii (w latach 1823—1827), do momentu odrodzenia się konspiracji). A ilu uczniów pozostawało pod wpływem ok. 40 związków pozastołecznych? Mimo że nasza wiedza jest niepełna, posiadamy bowiem tylko prace materiałowe *Józefa Bielińskiego* i *Aleksandra Kraushara*, wykorzystujące zachowane dokumenty oraz monografię *Aleksandra Kamińskiego*, porządkującą wiadomości z publikacji źródłowych — wiemy wystarczająco dużo, by stwierdzić, że podstawowym hasłem niemal wszystkich związków młodzieżowych było odzyskanie niepodległości.

Już współcześnie orientowano się, że nazwy stowarzyszeń, sugerujące częstokroć cele samokształceniowe, są jedynie szyldem maskującym ich prawdziwy charakter; przykładowo Towarzystwo Literackie faktycznie nosiło miano Towarzystwa Miłośników Narodowości. Panta Koina, Towarzystwo Akademickie Czcicieli Nauk, Towarzystwo Literackie, Akademicki Związek Powszechny, Związek Bezimienny, Związek Wolnych Polaków, organizacje warszawskie działające od 1817 do 1822 r. głosiły i wpajały konieczność walki narodowowyzwoleńczej. Natychmiast lub „stosownej chwili" — to była podstawowa różnica. *Nowosilcow*, jeden z największych „fachowców" ówczesnych, zastanawiając się w raporcie do *Aleksandra* z 17 marca 1822 r. nad dokumentem z śledztwa, stwierdzał, że w młodzieżowych związkach tajnych jedni organizatorzy *„zmierzają do urobienia umysłów według jednego tonu, do zjednoczenia wszystkich narodów — postępują wolno i działają skrycie. Drudzy pragną uzyskać to, czego sobie życzą* („wyswobodzenia ojczyzny"), *przemocą — od razu"*. Do „urobienia umysłów" służył przede wszystkim legendarny związkowy śpiewnik.

W stowarzyszeniach studenckich lat przedpowstaniowych statut był największą tajemnicą, śpiewnik — największą świętością. Oba dokumenty pilnie strzeżono, stąd znamy tylko jedną konstytucję związkową — krakowskiego Bractwa Burszów Polskich, organizacji „spokrewnionej" ze stołecznym Związkiem Wolnych Polaków oraz jeden śpiewnik nie zidentyfikowanego stowarzyszenia, zachowany w odpisie w materiałach śledczych kancelarii *Nowosilcowa*.

Według powszechnego chyba przepisu, znanego z krakowskiej konstytucji Burszów Polskich, śpiewnik przechowywał jeden, wybrany bursz. *„Na każy komers zwyczajny* (cykliczny i „roboczy") *listę pieśni układa Marszałek, na komers uroczysty wszyscy bursze"* (art. 42). *„Każdy brat ma prawo wnosić pieśń nową lub podać jaką do wyrzucenia ze śpiewnika, lecz sam tylko bursze* (z wykluczeniem terminatorów szpaków) *o tym stanowią"* (art. 43). *„Nikt nie może mieć pieśni pisanych, nikogo ich uczyć tudzież powtarzać przed osobami sobie nieznajomymi; pieśni związkowych nie wolno jest powtarzać przed nikim nie należącym do Bractwa"* (art. 44).

Skąd taka, wydawałoby się — przesadna — ostrożność? Jeżeli przejrzy się częściowo tylko ocalałe, opasłe tomy ze śledztw *Nowosilcowa*, gdzie jak refren brzmią pytania o studenckie pieśni; jeżeli zrozumie się, co znaczy kilkadziesiąt monotematycznych utworów śpiewanych do powstania przez kilka tysięcy akademików Warszawy i Krakowa (nie wspominając o uczniach), a ponadto przenikających, dzięki łatwej formie i nieostrożności związkowych, do szerokiego obiegu społecznego — to wszystko jest jasne. I pasja *Nowosilcowa*, i troska studentów — a zwłaszcza: konsekwencje meliki akademickiej dla podsycania nastrojów patriotycznych.

Spora część piosenek studenckich ograniczała się do bezpośredniego wezwania bojowego. Przykładem może być choćby refren *„Śpiewu na nutę Jeszcze Polska nie zginęła"*:

Jedna iskra drugą rodzi,
Więc się wszyscy śmieli młodzi
Bierzmy do pałaszy
W świętej sprawie naszej.

Podobnie formułował swój apel w 1819 r. *Ksawery Godebski*, syn bohatera spod Raszyna, stałe utrapienie policji Wielkiego Księcia.

A gdy święte kraju znamię
Młódź wywoła z szkolnych ścian,
Książka pod stół! broń na ramię!
I naprzód studencki stan!

Jednak przeważają wśród meliki studenckiej utwory szerzej traktujące problematykę niepodległościową. Wielokrotnie prezentowany jest zestaw związkowych świętości o charakterze uniwersalnym: równość, braterstwo, przyjaźń, wolność. Uniwersalizm odnajdujemy także w powtarzanych bez końca hasłach-nakazach: być wiernym, zginąć za towarzyszy, mścić się na tyranach. Cały ten zasób treści, przejęty w dużym stopniu z utworów adaptowanych głównie niemieckich, pojawia się w obu podstawowych grupach tekstów: wśród pieśni na oficjalne posiedzenia (sporo tu wierszy inicjalnych) oraz wśród pieśni przy uczcie braterskiej (szczególnie znamienne są w tej grupie tzw. toasty). Wszystkie te utwory mimo częściowo ponadczasowego i eksterytorialnego charakteru traktowane były jednoznacznie jako przede wszystkim odnoszące się do sytuacji Polski. Tym bardziej, że z reguły w tok pieśni wplatano zwrotki, które dotyczyły już wprost ojczyzny — jak choćby w bardzo popularnej, głośnej piosence *„Dalej bracia, głośmy pienia..."*

Wśród ojczyzny, bez niej przecie,
W gruzach widząc Chrobrych dom,
Gdy Polska w Polsce gniecie
Najezdniczych kajdan srom,
Stańmy na dziś w zmarłych rzędzie,
Niech nam przyszłość życiem będzie,
Niech nam sił do zemsty da,
Niech nam sił do krwawej zemsty da!

Największą popularność nie tylko wśród studentów, ale także w szerokim obiegu społecznym, zyskały utwory *Feliksa Frankowskiego*, zapomnianego barda akademików przedpowstaniowych (zmarł tragicznie na emigracji, podczas pracy w fabryce papieru). Popularność jego piosenkom zapewniło umiejętne połączenie uniwersalistycznej frazeologii burszowskiej z analizą aktualnej sytuacji Polski, współistnienie obok siebie patriotycznej emocji i refleksji historiograficznej. Najgłośniejsze utwory *Frankowskiego* to *„Trzeci maj"* oraz *„Cześć polskiej ziemi, cześć..."*. Ten ostatni krążył przed powstaniem w dziesiątkach odpisów, później był wielokrotnie drukowany w prasie powstańczej — bez wahania należy go uznać za najpopularniejszą pieśń niepodległościową Królestwa Kongresowego. Był już nie tylko studencką piosenką, stał się czymś w rodzaju narodowego hymnu. Po kilkudziesięciu latach na przedpolu XX wieku niektórzy pamiętnikarze potrafili nadal bezbłędnie zacytować fragmenty pieśni czynił to m.in. *Jan Nepomucen Janowski*.

Przypomnijmy tutaj ostatnie strofy, które podejmują i rozwijają opinię formułowaną powszechnie po utworzeniu Królestwa Polskiego

Uderzmy w trwogi dzwon,
Przez łaski ten nam zgon
Dziś daje wróg.
Przez łaski wiąże nas,
By duch zawiści zgasł,
By złagodzonych raz,
W wiecz dzierżyć mógł.
Odzyskać trzeba cześć,
Kościuszki szablę wznieść
Na wrogów zgon.
Bracia przysiążmy wraz,
Pierw zginąć mężnie raz,
Nim ścierpieć wpośród nas
Tych wrogów tron.

SANKTUARIUM NARODOWYCH RELIKWII

Można relatywizować wnioski płynące z próbnej rekonstrukcji nastrojów niepodległościowych wśród przedlistopadowej młodzieży spiskowej. Można tak obracać liczbami związków ich członków, utworów i ich odpisów, tak interpretować ustawy oraz działania, by nie popsuć uzgodnionej raz kiedyś wizji Królestwa apatycznego, pogodzonego, gdzie energiczni i świadomi byli tylko wszelkiej maści zwolennicy koncepcji zmierzania do suwerenności poprzez kolejne fazy ekonomicznego i prawnego wzmocnienia organizmu państwa. Jednak nie tylko młodzieńczo niespokojni i zbuntowani akademicy oraz licealiści nie pasują do tego obrazu. Przekazy literackie dowodzą jak ogromnej aktywizacji patriotycznej podlegało społeczeństwo, zwłaszcza jego część pozostająca w kręgu oddziaływania słowa pisanego. Z braku akceptacji ustaleń Kongresu Wiedeńskiego, z rozczarowania i sprzeciwu przeciwko poczynaniom rządu, Wielkiego Księcia, Namiestnika i cesarskiego komisarza brała się potrzeba stałego prowadzenia zamierzonej na wielką skalę edukacji patriotycznej. W akcji tej uczestniczyła, sprowadzając sprawę do rzeczy najistotniejszych, z jednej strony publicystyka drukowana na łamach postępowych periodyków związanych najczęściej z określonymi związkami spiskowymi lub stronnictwami politycznymi — z drugiej strony najzupełniej zwykle prywatna, przebogata w teksty i tematy — poezja. Ta ostatnia, zwłaszcza nie publikowana, uległa z czasem w większości zapomnieniu. Jej prezentację utrudnia niesłychana różnorodność komplikująca zabieg klasyfikacji.

Poezję edukującą patriotycznie najsensowniej można chyba podzielić stosując kryterium funkcyjno-tematyczne. Jeden dział to twórczość zwrócona w kierunku historii i tradycji, bez bezpośrednich odwołań do współczesności (reprezentatywne są tu zwłaszcza dramaty i śpiewy historyczne). Następną grupę tworzą utwory, w których przeszłość służy teraźniejszości i przyszłości: analogią, apelem, radą. Kolejny dział to twórczość okolicznościowa, ograniczająca swą uwagę tylko do chwili bieżącej Ostatni blok poezji stanowią utwory, w których teraźniejszość jest na usługach przyszłości z aktualnych wydarzeń i sytuacji wyprowadza się wnioski, sugeruje, podpowiada. Szczególnie bogate są grupy druga i czwarta: przeszłość dla teraźniejszości i przyszłości oraz teraźniejszość dla przyszłości. W tych dwóch działach twórczości niepodległościowej mieszczą się bardzo popularne tematy, winne w dużej mierze — jak się wydaje — komplikacji i porażek kadrowych powstania.

Paralelnie do kultu pól bitewnych, wyimaginowanych i faktycznych grobów, zrujnowanych zamków, kwitł kult sławnych, bohaterskich wodzów. Najczęściej zasadą konstrukcyjną tych utworów było akcentowanie męstwa, poświęcenia i honoru po to, by dopominać się kontynuacji (choćby w imię Wergiliańskiego hasła o kościach rodzących mścicieli). Jak pamiętamy *Gorecki* „pisał" wiersz wzywający po uchwałach Kongresu do wycięcia najezdników pod pomnikiem *Sobieskiego* w Wiedniu. Przywołany wcześniej fragment akademickiej „pobudki" *Godebskiego* zawiera w innej partii taki oto apel:

Niech z nas każdy wielkim będzie,
Jak Henryk, Tadeusz, Jan.

Oczywiście *Dąbrowski, Kościuszko, Sobieski* Bibliografia znanych mi wierszy poświęconych ks. *Józefowi:* po śmierci, w chwili sprowadzenia zwłok, w czasie przenoszenia ich na Wawel — liczy około 40 pozycji, a większość z nich krążyła w dziesiątkach odpisów. Podobnie było

Generał Józef Chłopicki
Litografia Villaina

DLACZEGO ② MUSIAŁO WYBUCHNĄĆ?

w przypadku Kościuszki: jego zgon, a później sypanie mogiły komentowane było dziesiątkami skwapliwie przepisywanych utworów. Na mniejszą skalę spotykamy się z tym zjawiskiem po śmierci *Dąbrowskiego, Stanisława Kostki Potockiego, Staszica*, prezesa sądu sejmowego *Piotra Bielińskiego*. Przypominano również konsekwentnie przez cały ciąg owych 15 lat bohaterów zmarłych i poległych wcześniej; na przykład cały cykl poświęcił swoim przełożonym i kolegom z kampanii napoleońskich pierwszy w szerokiej opinii publicznej poeta tego okresu *A. Gorecki*.

Ciągła adoracja panteonu bohaterów narodowych miała też swe skutki niezamierzone. Nie tylko krzewiła i krzepiła patriotyczne cnoty apelując o naśladownictwo. Efektem tych ponad stu wierszy było pojawienie się przekonania, że istnieje zjawisko naturalnej, przyrodzonej niejako ciągłości wodzów — mężów opatrznościowych ojczyzny. Poezja uczyła, że w każdej epoce naszych trudnych dziejów był jakiś *Czarniecki, Żółkiewski, Sobieski, Kościuszko* Oczywista więc, bo w sposób naturalny zagwarantowana, wydawała się „instytucja" kolejnych bohaterów i zbawców. Nigdy nie może ich zabraknąć, są co najwyżej chwilowo niewidoczni, ale można ich odszukać. W licznej rodzinie przyszłego narodowego hymnu pojawił się po śmierci *Dąbrowskiego* tekst z wielce znamienną „aktualizacją".

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy
I drugiego w jej obronie
Kościuszkę znajdziemy.

J. Łojek dziwi się opinii publicznej i w roku 1830, i po upadku powstania, że nie oceniła właściwie przekonań oraz czynów uznanych przywódców, że *„po prostu wmawiała im postawę, od której byli jak najdalsi (...). Mechanizm kształtowania się tej opinii jest po dziś dzień zupełnie nie wyjaśniony"*.

Nieprawda. Ów mechanizm w świetle wspomnianych wyżej dziesiątków utworów wydaje się oczywisty. Skoro — jak wpajano w toku edukacji patriotycznej — istniała w sposób naturalny „instytucja" mężów opatrznościowych, to dlaczego niby miano nagle zacząć wątpić i podejrzewać.

Wiara w patriotyczne intencje wodzów powstania to skutek społecznie utrwalonej adoracji narodowych zbawców, adoracji, którą literatura podjęła i spotęgowała.

KOMPROMITACJA WETERANÓW

Opinia publiczna w momentach globalnej oceny postaw przedstawicieli społeczeństwa nie zna wątpliwości: jednych wznosi, drugich strąca. To oczywiście odmienna sfera działań, a zwłaszcza inny czas niż w przypadku prezentacji i kultu narodowego panteonu Weryfikacja obejmuje czas teraźniejszy, a nie przeszły, dotyczy nie tych, co odeszli, lecz tych, co są.

Przegląd utworów oceniających znane postaci życia publicznego przeczy przytoczonej na początku rozważań tezie *Łojka*, iż organizatorzy powstania nie orientowali się w podziałach społecznych wynikających z różnego stosunku do sprawy niepodległości. Dzięki licznym wierszom komentującym zachodzące wydarzenia nie tylko organizatorzy, ale i szeregowi uczestnicy powstania mieli świadomość ewolucji postaw części administracji i wojska.

Na oczach społeczeństwa dokonywała się coraz głębiej idąca kompromitacja dotychczasowych autorytetów. Zaczęło się od zmiany orientacji politycznej już w 1813 r. znacznej części elity administracyjnej Księstwa Warszawskiego, owych łasiczek z głośnej bajki bodaj *Goreckiego*, łasiczek, które po utworzeniu Królestwa rzuciły się na urzędy, odcinając od nich zających — wojskowych powracających z pól bitewnych lub z niewoli. *Marian Molski*, niesłusznie całkowicie dyskredytowany wierszopis winszujący, szydził dotkliwie po pierwszym sejmie w 1818 r. z czołowego przedstawiciela tego obozu, *Kajetana Koźmiana*, autora przygotowanego dla *Aleksandra* raportu o stanie kraju stanowiącego wyraz skrajnego legitymizmu.

Twój raport w sejmie był dla ziomków plastrem,
Uwielbiam chemika głowę,
Co umiał zrobić wapno alabastrem
Przez czarodziejską wymowę.

Opinia publiczna trafnie też oceniła walkę o urząd Namiestnika. Obiektem kpin i ataków wielu wierszy stał się przede wszystkim gen. *Zajączek*, dzięki zasługom i kalectwu uosobienie patriotycznej ofiarności, który wówczas wstąpił na drogę hojnie wynagradzanego serwilizmu. Dostało się przy okazji magnackim konkurentom *Zajączka:* stronnictwu *Potockich* i *Czartoryskich*.

Odrębnym nurtem płynęła przez wszystkie przedpowstańcze lata rzeka pamfletów na tchórzliwych „herosów" walk narodowowyzwoleńczych okresu napoleońskiego. Najwięcej wierszy doczekał się gen. *A. Rożniecki*, posypały się one zanim jeszcze towarzysz broni *Poniatowskiego* zdołał się ostatecznie zhańbić kierowaniem policją Królestwa. Oprócz niego atakowani byli i inni wojskowi ze sztabu ks. *Józefa*. W głośnym *„Apologu do pieczeniarzy"* anonimowy autor uskarżał się:

Losie nieszczęsny i smutny,
Czemuś dla nas tak okrutny,
Czemuż jesteśmy tak nieszczęśliwi,
Że giną sami tylko podczciwi.
Poległ z tych Książę w ojczyzny ofiarze
Żyją atoli jego pieczeniarze

Chodziło o generałów: *Rożnieckiego, Kamienieckiego, Rautenstraucha* oraz pułkownika *Kickiego*.

Najsmutniejszym, najobficiej zarazem skomentowanym etapem patriotycznej kompromitacji elity społecznej był rzecz jasna sąd sejmowy Słynnym, negatywnym bohaterem został *Wincenty Krasiński*. *M. Brandys* cytuje w *„Końcu świata szwoleżerów"* dwa wiersze skierowane przeciwko niemu, było ich w rzeczywistości co najmniej siedem. Atakowano także *Lubeckiego, Haukego, Rożnieckiego, Zamojskiego;* krytykowano „tańcującą" w czasie procesu Warszawę (cały cykl utworów). Najlapidarniej ocenę opinii publicznej prezentuje anonimowy autor krążącego w licznych odpisach wiersza *„Miły mi ojciec, matka, miła mi dziewczyna..."* Wylicza on tych, co się skompromitowali i tych, co ocalili honor narodowy.

W niebie Pan Bóg rządzi, u nas rząd szelmowski —
Rożniecki ma wstęgę, stryczek Krzyżanowski
Lecz nie wstydź się Polsko za tych nikczemników,
Masz w krzesłach Bielińskich, a w więźniach Sołtyków

Schorowany, zmaltretowany więzieniem *Stanisław Sołtyk* zmarł w 1831 r. *P. Bieliński* w 1829 r., tuż przed ostatecznym zatwierdzeniem przez *Mikołaja* wyroku sądu. Rówieśnicy niemal (ur. w 1853 i 1854 r.), zaliczani byli przez opinię publiczną do ostatnich nie splamionych rycerzy narodowej sprawy. Na jawnej scenie politycznej pozostali niemal wyłącznie bohaterowie negatywni. Koronacja *Mikołaja* w maju 1829 r. wywołała kolejną serię wierszy atakujących wynagradzanych tytułami medalami i apanażami serwilistów oraz zdrajców.

Okryci wawrzynami chlubnymi wśród boju,
Co życie narażali za ojczyzny całość,
Zamiast przemoc odeprzeć, zhańbieni w pokoju
Cechą ich jest pochlebstwo, maksymą — niedbałość.
Okryci wawrzynami, blizny, wojny potem,
Uklękli przed tyrana chęciami i złotem.

Tak pisał anonimowy autor w *„Wierszu na śmierć Piotra Bielińskiego* i była to opinia powszechna.

Spośród najbardziej zasłużonych w służbie ojczyźnie niemal wszyscy do 1830 r. skompromitowali się w oczach społeczeństwa. Proces ten — uprzytomniając nieuchronność upadku charakterów tych niegdysiejszych patriotów, którzy wybrali drogę kolejnych kompromisów w warunkach niewoli — był jednym z istotniejszych bodaj czynników skłaniających do podjęcia próby odzyskania niepodległości.

Narastająca presja wydarzeń zachodzących w Europie i w kraju, potęgująca się z dnia na dzień, w dużej mierze dzięki oddziaływaniu literatury, determinacja patriotyczna — doprowadziły w końcu do wybuchu powstania Kompromitacja dotychczasowych autorytetów, powodująca tym silniejsze, mimo iż wzbudzane całkowicie odrębnie, „zapotrzebowanie" na mężów opatrznościowych — określają tragiczny wymiar decyzji o rozpoczęciu walki. Determinują także przebieg i ostateczną porażkę powstania.

Zjawiska te pozostają w ścisłym związku z poczynaniami i wpływem na społeczeństwo zradykalizowanej młodzieży. I tej, która w 1819 r śpiewała: *„książka pod stół, bron na ramię"*, a która rok czy dwa później nakazywała walić w *„trwogi dzwon"* oraz *„wznieść szablę Kościuszki"*. I tej, o której po śmierci *Bielińskiego*, w obliczu ostatecznej kompromitacji autorytetów, pisano:

Na was nadzieja spoczywa,
Akademicka młodzieży.
Czoło nowego plemienia,
Was ojczyzna, zemsta wzywa.
Tylko mądrze, tylko w zgodzie.
Czekajmy pory skinienia.

Dotychczasowe rozważania historyków dotyczące uwarunkowań wybuchu i przebiegu powstania w wielu kwestiach nie znajdują odpowiedzi na liczne „dlaczego". Pobieżny przegląd wybranych przejawów przedlistopadowej świadomości narodowej sugeruje, że o szereg odpowiedzi nietrudno. Wystarczy sięgnąć do pomijanych, a przebogatych złóż nie publikowanej twórczości niepodległościowej. Tej twórczości, która wbrew racjonalnym przesłankom na „optymistyczne" postanowienia Kongresu Wiedeńskiego powiedziała: nie, a na beznadziejny zryw młodzieży wojskowej i akademickiej: tak:

WIESŁAW PUSZ

Referat przedstawiony na sesji naukowej poświęconej powstaniu listopadowemu, która odbyła się 28 listopada br. w Instytucie Filologii Polskiej UŁ.

MIECZYSŁAW KUCNER

OBŁOKIEM PŁYNĘ, MATKO

Obłokiem płynę, matko
kruche naczynie w dłoni
za rudel mając;
w niewiarę świtów, kolan triumf,
w nieostateczne ocalenie u ramion.

Obłokiem płynę, matko,
lecz to, co silniejsze, niż konieczność
przeszywa mnie ciemnym głosem;
ze źródeł piję śmiertelnych,
a sprawy moje niejasne.

Obłokiem płynę, matko,
ku zapomnianym ujściom,
za którymi Biała Pani czeka;
gdzieniegdzie tylko plazmy chlupot,
materii akord ostatni.

Obłokiem płynę, matko,
poprzez rozkład młodości
i sprzeniewierzenie się przyczyn;
tak mości gniazdo u rąk
dar słowa kruchy.

JESIEŃ TO PISANIA PORA

Jesień to pisania pora,
umierania po stokroć własnej obfitości,
w nadmiarze wzmaganym przez brak;
sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu.

Jesień to powrotu pora
różą, brakiem, ufnością, dobrocią,
z obrzeży tekstów, gdzie sens
pieni się dziko.

Jesień to skupienia pora,
podwojenia siebie w rozchyleniu Ja,
w trwodze i niepogodzie bytu
podszytej piękną nieobecnością.

Jesień to odwiedzin pora,
rozbierania mitów i przepędzeń czasu,
gdzie w spokoju siebie prześciga
pogłos ontyczny.

Jesień to odejścia pora,
zapadania w krajobraz, światłocień, Polskę,
naszym przeznaczeniem wiatr
spadający jak jastrząb.

Bąkowa Góra, 23. IX. 1975

WIERSZ DLA PAULI

To jest mama, to tata,
a to jest ziemia, córeczko;
widzisz, jak ciężko oderwać się od ziemi,
jak trudno wzlecieć.

To są upadki, za które trzeba płacić
i winy, które wracają echem;
i to jest prawda o tobie,
ale ty nie wiesz o tym.

Więc raduj się za mnie,
ja za ciebie będę się smucił;
świat, który mówisz — twe olśnienie pierwsze —
śle ci wyzwanie braterskie.

Ja także z drżeniem wchodziłem w każdy poranek,
piłem z zórz, zachodów i świtów;
zieleń i światła świata,
karmiły mnie obietnicą partnerstwa.

Dziś nie dogonisz mnie, córeczko,
choć tego tak bardzo pragniesz;
ty rośniesz dla tamtego drzewka,
mnie w inną stronę śpieszno.

Ty witasz się, ja żegnam
z miejscami mojej klęski;
zmarłe imiona i twarze
zagasłe oczy.

Ty podnieść to piórko ptasie,
ja ciężki kosz ponieść —
omszałym traktem pradawnym światłem
dokąd? dokąd? dokąd?

Pauli, w drugą rocznicę urodzin

PERŁA

Poeta czuwa u źródeł bytu,
źródeł poranka, pragnienia i rosy,
pierwszego promienia i ostatniego oddechu,
poeta gospodarzy milczeniem i troską.

Z braku, z nieobecności, ze śmierci
buduje swoje zbawienie, które o wszystkich zaświadczy;
nikt z sytych nie zagościł jeszcze
w pałacach sensu.

Ale obrastają go rzeczy,
wżerają się w zdarzenia i myśli;
w tkankach ciała osiadają klęską,
blokują skurcz i rozkurcz emocji.

Poeta jest przypalany za łzy
i potępiany za rozpacz,
za pośpieszne opuszczanie miejsc,
za wszystkie swoje ucieczki.

Bywa domem jego serdecznym
gradowa chmura lub spopielona historyczność,
z której wykrawa okruch ciepła,
by zrodzić swoją perłę: ból.

Michał gdzie z głębin pamięci wydobywa teraz pierwszy zapamiętany obraz ojca. Wysoki i silny stoi nad nim z uśmiechem. Matka również uśmiechnięta gładzi go po głowie *„Jesteś, synku, tak samo silny jak tatuś"*, mówi i Michał z dumą spogląda na opaloną twarz ojca. Potem z wysiłkiem chwyta jakiś tobołek, aż matka przestraszona i trochę zagniewana biegnie mu z pomocą. Ojciec zatrzymuje ją w miejscu:. *„Daj spokój, Anno. Niech chłopak ćwiczy mięśnie. Musi z niego wyrosnąć prawdziwy mężczyzna"*. Matka z niepokojem obserwuje spoconą twarz Michała. *„Oberwie się..."* mówi z troską, ale on pokonuje wysoki próg i z tryumfem rzuca ciężar na ziemię. Tak kończy się przeprowadzka do nowego mieszkania.

Po latach dopiero Michał dowie się, że w tej zapamiętanej chwili zadecydował się jego los. Był to bowiem ich pierwszy dzień w miasteczku. Po wojennej zawierusze Anna pociągnęła z mężem i synkiem w swoje rodzinne strony. Jednak nie dotarli do wioski Anny. W miasteczku, w którym zatrzymali się na noc, ojciec Michała dostał pracę. Nazajutrz wynajęli izbę w niewielkim domku dziadka Bojarskiego. Michał odnajduje w pamięci smutną pobrużdżoną twarza Bojarskiego, którego lubiła cała okolica, młodzi i starzy. Sympatyczne i miłe przezwisko „dziadka" zdobył sobie jeszcze za młodu. Przechodziło ono z ust do ust i z pokolenia na pokolenie, z czasem wypierając całkowicie prawdziwe imię Bojarskiego. Izba była naprawdę malutka, ale miała duże okno, wychodzące na niewielki ogródek. Całe podwórko było ogrodzone niewysokim, ale solidnym płotem. Dziadek Bojarski w każde sobotnie popołudnie posypywał podwórko białym piaskiem, kopanym na Wzgórzu pod miasteczkiem. Michał dobrze zapamiętał ostry, drażniący zapach piasku, pokropionego wodą ze studni. Pamięta też chrzęst tego piasku, gdy kroczył po nim ojciec wracający z pracy.

Dla Michała przez długi czas codzienne wychodzenie ojca do pracy było tajemniczą wyprawą w nieznane. Zawsze z jednakowym zaciekawieniem przyglądał się jak ojciec rano po myciu starannie tarł brzytwę o zawieszony na gwoździu pasek i jak potem golił się równo odmierzanymi pociągnięciami. Po jego wyjściu długo odczuwał ssącą gdzieś w głębi pustkę. Zagłuszał ją wymyślaniem najdziwniejszych zabaw, w czasie których nawet Azor, uwiązany do łańcucha, zwijał się w kłębek niespokojnie łypał półprzymkniętymi oczami. Matka nie umiała go uspokoić, przeciwnie jej wiecznie drżący zatroskaniem głos, pobudzał Michała do nowych swawoli. Kończyły się one wraz z powrotem ojca do domu.

Michał pamięta również ten dzień, w którym wybrał się z matką po raz pierwszy do sklepu, w którym pracował ojciec. Był to niewielki sklepik, mieścił się w dwóch izbach, z których jedna stanowiła podręczny magazyn, a druga — właściwe pomieszczenie sklepjowe, z długim drewnianym kontuarem i oszkloną szafką.

Michałowi wydał się ten sklep miejscem ogromnie tajemniczym. Z jakimś dziwnym do wytłumaczenia uczuciem przemierzał tę niewielką przestrzeń, zastawioną piramidą pudeł, beczek i opakowań. Upajały go niemal do nieprzytomności zmieszane zapachy zgromadzonych tu produktów. Słodko-mdlący zapach marmolady, ciężki odór sera, czy drażniąca w gardle woń skóry towarzyszyła mu potem przez długie dni.

Później, już w domu Michał jeszcze wiele razy przeżywał tę pierwszą wyprawę do sklepu. Powoli stawał się on w jego wyobraźni tajemniczym sezamem, w którym beczki z marmoladą przeistaczały się w skrzynie pełne złota, a zakurzone cukierki zza oszklonej szafki — w najwspanialej mieniące się klejnoty. Ojciec zaś był tego sezamu najdzielniejszym strażnikiem. Michał już rozumiał, dlaczego ojciec musi codziennie rano wychodzić z domu, a nawet tego oczekiwał z jakimś szczególnym napięciem.

Do dzisiaj pamięta to ogromne rozczarowanie, gdy znacznie później zrozumiał, że ojciec sprzedaje te wszystkie wspaniałości. Sprzedawanie wydało mu się wtedy czymś nieporównywalnie gorszym, nawet wstydliwym, od samego faktu strzeżenia, pilnowania, choćby w tym sklepowym sezamie znowu wszystkie beczki miały być napełnione marmoladą, a klejnoty stać się zwykłymi miętowymi cukierkami.

Gdy się wreszcie z tym pogodził, ponownie wstrząsnęła nim wiadomość, że od pewnego czasu ojciec przestał być w sklepie najważniejszy. Przyszedł inny, którego ojciec musiał nazywać kierownikiem. Była to dla Michała niepojęta wiadomość, aż do chwili, gdy zastał ojca w sklepie z tamtym. Tamten był także młody, miał chmurną twarz i mówił śpiewnie, dziwnie przeciągając sylaby. Michał zapamiętał bladą, zagniewaną twarz ojca i niecierpliwość, z jaką wypychał go ze sklepu.

W te dni matka chodziła z zapuchniętymi oczami i wzdychała po kątach. Ojciec wracał z pracy zagniewany i od razu kładł się do łóżka.

Matka zaczynała mówić: *„Jerzy, dlaczego ci nie ufają, powiedz, dlaczego?"*, ale ojciec przerywał jej jak zwykle krzykiem, żeby milczała, bo nigdy niczego nie rozumie.

Michał nie pamięta, ile to trwało: może miesiąc, może dwa. Natomiast doskonale przypomina sobie ten letni dzień, gdy ojciec wrócił do domu zastanawiająco wcześnie i powiedział z pobladłą twarzą: *„W sklepie była kradzież"*. A później już spokojnie, gdy umilkła matka wyczerpana krzykiem, płaczem i wzdychaniem. dodał, że właśnie on odkrył tę kradzież.

Dla miasteczka była to nie lada sensacja. W ciągu pierwszych dni przez ich izbę przewinęły się niemal wszystkie miasteczkowe osobistości. włączne z komendatem posterunku Zielińskim Z wielokrotnie powtarzanych opowieści ojca Michał dowiedział się, że kradzież była niewielka, prawie niezauważalna. Po prostu z magazynu zginęła skrzynka wódki i cały worek konserw. Jednakże opinia miasteczka potraktowała tę kradzież bardzo poważnie. Przede wszystkim ludzi zdumiały jej tajemnicze okoliczności. Jak stwierdził komendant Zieliński wszystkie okna i drzwi sklepu były nienaruszone. Złodziej więc dostał się do środka w tajemniczy sposób. Jedyne klucze posiadał kierownik Byszewski, który jak zgodnie zapewniali świadkowie przez całą noc bawił się na chrzcinach w sąsiedniej wiosce. Po tygodniu daremnych poszukiwań komendant Zieliński nakazał zmienić zamki we wszystkich drzwiach sklepu i na tym sprawę zakończono.

Prawdziwą sensację wywołał więc fakt powtórnej kradzieży. Tym razem larum podniósł kierownik Byszewski. Na prędce zwołana komisja remanentowa potwierdziła braki w magazynie. Tym razem Zieliński zawiadomił powiat. Do miasteczka zjechały dwa wyładowane milicjantami samochody. Ojciec przez cały dzień przesiedział na posterunku. Wrócił dopiero wieczorem i ledwie mógł mówić. Michał długo w noc nadsłuchiwał szeptu rodziców. Po dwóch dniach ci z powiatu odjechali, a Zieliński znowu nakazał zmienić zamki w drzwiach. Od tej pory kierownik Byszewski musiał odnosić klucze na posterunek. Ojca denerwowała każda wzmianka o złodzieju i kradzieży. Podobno odtąd Byszewski i ojciec patrzyli sobie na ręce, wzajemnie się obserwowali. starając się nie pozostawać w sklepie bez świadków.

To, że kradzieże powtarzały się z regularnością najlepszego zegarka Michał przyjmował

MIROSŁAW KUŹNIAK

SKLEP PEŁEN PAMIĘCI

nieomal z ulgą. Znacznie gorsze było wyczekiwanie na nowy znak złodzieja. W końcu Byszewski i ojciec dostali wezwanie do miasta, do Zarządu, gdzie zagrożono im natychmiastowym zwolnieniem, jeśli kradzieże nie ustaną.

Od tej chwili powiększyła się ich wzajemna nieufność. Ojciec często opowiadał później, że wyczuwał w Byszewskim jakąś drażniącą obcość. Byszewski nie pochodził z ich miasteczka. Do sklepu przyszedł z polecenia Zarządu. Długo jednak nie mógł znaleźć mieszkania. Miejscowi przyjęli go nieufnie. Ojciec niechętnie o nim mówił, z czego oczywiście najmniej była zadowolona matka.

Kradzieże trwały. Michał poznawał to po częstych wizytach komendanta Zielińskiego. Przychodził późnym wieczorem, zmęczony, ledwie unoszący zapuchnięte powieki znad oczu. Wynikało z nich, że złodziej mimo pułapek organizowanych przez miejscowy posterunek pozostawał nieuchwytny. Sam Zieliński miał za sobą niejedną nieprzespaną noc. Wartak i Zieba, podwładni Zielińskiego snuli się po miasteczku z opuszczonymi głowami.

Kradzieże w sklepie stały się jedynym tematem rozmów, zwłaszcza, że milicjanci byli skąpi w udzielaniu informacji. Jedynym wiarygodnym źródłem wiadomości stała się matka, bo ojciec na ten temat rozmawiał tylko z komendantem.

Od rana już u matki zbierały się największe miejscowe plotkary. Na początku wpadały niby to przypadkiem, zamówiwszy się jakąś drobną pożyczką, ale z czasem porzuciły nawet te niewinne pozory. Michał wtulony w jakiś kąt izby słuchał godzinami ich rajcowania. Jak zwykle prym tu wiodła Ogrodzińska, ale nie ustępowały jej i inne. Czasem zaplątał się w to zgromadzenie dziadek Bojarski, ale kiedyś rzuciwszy jakąś sceptyczną uwagę o sprawcy kradzieży, uznany został przez ten konwektyl za intruza i rzadko wysuwał nosa ze swojego pokoju.

Oczywiście najbardziej wszystkich intrygowała osoba złodzieja. Kobiety przymierzały więc do obrazu domniemanego sprawcy kradzieży niemal wszystkich mężczyzn z okolicy. Dziwnym trafem wielu do tego obrazu pasowało. Tylko Ogrodzińska miewała inne zdanie.

— *Czyście baby powariowały?* — mówiła wciąwszy się pod boki. — *To Cebula kradnie? To Kalemba złodziej?! Co? To ja wam powiem, że za Cebulę mogę z zamkniętymi oczami zaręczyć. Toż ja starego Cebulę, świeć panie nad jego duszą, znałam od zaprzeszłej wojny. A młodego Cebulę zeswatałam z Maryśką zza Wzgórza. A Kalemba mój familant i nie żaden złodziej. Złodzieja, to wy baby szukajta pośród tych przybłędów, co do naszego miasteczka przyszli nie wiadomo skąd. Gadacie, że ten mógł ukraść albo tamten. A ja wam mówię, że wśród naszych nie ma złodziei. Byli, ale już ich tu nie ma. Nazywali się... czekajcie, bo nie pomnę... acha, Gludzińscy. Siedzieli w jednej chałupie w piętnaście, nie, w szesnaście gąb. Bo tak: stara Gludzińska to raz. Młoda Gludzińska ze swoim starym to trzy. Dzieciów ośmioro. Najstarsza Maryśka wyszła za Kulasa z Wężydołów i mieli dwóch chłopaków, szatanów i diabłów, że strach Julcia wyszła za Jura, który do nas przywędrował z Cyganami. A najmłodsza Anielka dorobiła się bachora z Bochentynem, co zmarł następnego roku na suchoty. A więc jak obszył szesnaście.*

Gdy Ogrodzińska wyliczała na palcach całą familię Gludzińskich kobiety z powagą przytakiwały tym słowom. Tylko matka, jako najmłodsza z zebranych słuchała w milczeniu(..)

„Jezus Mario! O Józefie święty!" żegnały się kobiety trwożliwie, nieco się przy tym odsuwając od matki, która jako jedyna w tym zgromadzeniu mieszkała w miasteczku od niedawna. Matka rumieniła się aż po korzonki włosów i mocno zaciskała ręce na stole.

Po wyjściu sąsiadek długo wzdychała, mruczała coś do siebie. Michał wtedy schodził jej z drogi. Zauważył jednak, że następnego ranka matka z taką samą co zawsze niecierpliwością, oczekuje na przybycie sąsiadek.

Tymczasem złodziej stawał się zuchwały. Już z półek sklepowych zaczęły ginąć towary. Opinia miasteczka była coraz bardziej zniecierpliwiona. Najbardziej odczuwał to ojciec, ponieważ począł rosnąć między nim a miasteczkiem mur obcości. Coraz potężniej rozlegały się głosy o potrzebie przepędzenia z miasteczka ludzi obcych, napływowych. Czuło się w tym ostre języki miejscowych plotkarek, zwłaszcza Ogrodzińskiej.

Któregoś dnia nawet dla Michała stała się jasną myśl o rychłym opuszczeniu dziadka Bojarskiego i w ogóle całego miasteczka. Dziadek Bojarski machał co prawda ręką na to babskie gadanie, ale ludziom mogło zamknąć usta tylko złapanie złodzieja. Niestety, Zieliński był bezradny. Powiedział to ojcu wprost, bez osłonek. Michał słyszał w jego słowach cień usprawiedliwienia. Ojciec przez cały wieczór był zamyślony i Michał schodził mu z drogi. Późną nocą, na chwilę przed zaśnięciem usłyszał z pokoju rodziców odgłos sprzeczki, a potem trzaśnięcie drzwi wyjściowych. Tak zaczęły się otoczone rodzinną tajemnicą nocne dyżury ojca. Nie wiedział o nich nawet komendant Zieliński.

Prawdopodobnie te jego nocne spacery nie uszły uwagi mieszkańców. Nim jednak utwierdziło się w nich przekonanie, że to ojciec jest owym tajemniczym złodziejem, zaszły wypadki, które wstrząsnęły całym miasteczkiem.

Michał niemal jak przez mgłę przypomina sobie tę rozkrzyczaną noc, w czasie której przez ich dom przewinęli się prawie wszyscy mieszkańcy. Widzi też zakrwawionego ojca, siedzącego na stołku przy piecu. Zapłakana matka obwiązuje mu czoło, z którego ścieka strużka krwi. Jest Bojarski, Ogrodzińska, Polowa i Materkowa. Są inni, mniej Michałowi znani. Na koniec wchodzi komendant Zieliński, zaspany, w nierówno zapiętym płaszczu.

— *Co się stało, panie Jerzy?* — pyta.

Ojciec odsuwa matkę, zapala papierosa i mówi przez zaciśnięte zęby.

— *Złapałem skurwysyna!*

Zieliński chwyta go za ramię.

— *Człowieku, co gadasz? Kogo złapałeś?!*

— *Złodzieja. Leży tam, przy magazynie. Idźcie po niego, bo ucieknie.*

Komendant jest już za progiem, za nim biegnie Ogrodzińska i pozostali. W pokoju zostaje matka i dziadek Bojarski. Michał też chciałby tam pobiec, ale boi się milczącego ojca.

— *Jurek, kogo złapałeś?* — pyta poważnym głosem dziadek Bojarski.

— *Jak to kogo? Byszewskiego* — mówi ojciec ze znużeniem.

— *Jezus Mario!* — wykrzykuje matka i nagle milknie.

— *A co? Dawno już podejrzewałem tego skur...* — ojciec wrzuca niedopalonego papierosa do popielnika.

Dalszy ciąg historii Michał poznał dopiero po kilku dniach, gdy uspokoiło się całe zamieszanie. Gdy komendant Zieliński dobiegł do drzwi magazynu, zobaczył leżący na ziemi nieruchomy kształt człowieka. Podobno Byszewski był okropnie pobity. Obok jego głowy leżała gruba drewniana laga, którą Michał znalazł kiedyś w drewutni dziadka Bojarskiego.

Byszewskiego odniesiono na płaszczu komendanta na posterunek. W kilka godzin później przyjechał lekarz z sąsiedniego miasteczka. Po badaniach odwiózł go samochodem do szpitala. Ojciec resztę nocy spędził na posterunku, gdzie Zieliński spisał protokół. Wina byłego kierownika sklepu była oczywista. Znaleziono przy nim pęk podrobionych kluczy do magazynu. Z jego mieszkania Zieliński wyniósł kilka skrzynek wódki i innych towarów.

Przez trzy następne dni sklep był zamknięty. Z miasta przyjechała specjalna komisja, która zajęła się spisywaniem towarów. Ojciec wracał do domu późnym wieczorem. Przez całe dnie przez ich pokój przewijały się tłumy ludzi. Wszyscy z zapartym tchem słuchali opowieści matki o tym jak to Byszewski rzucił się z pięściami na ojca. Michał wielokrotnie przeżywał tę opowieść. Ojciec po zeznaniach na posterunku zaciął się w milczeniu. Michał chodził dumny jak paw. Przez dwa tygodnie był najważniejszą osobą na łąkach. Ogrodzińska miała mu to za złe, inni także. Później przyszły ważniejsze wydarzenia, które przyćmiły tamtą pamiętną noc. Michał próbował jeszcze zainteresować chłopaków dodając tu i tam jakieś barwniejsze szczegóły, ale życie biegło naprzód Tę denerwującą sytuację zakończyła nieoczekiwana wizyta Zielińskiego, który wpadł do nich późnym wieczorem. Uśmiechnięta matka szybko przygotowała kolację. Ojciec wyciągnął z kredensu butelkę wódki. Michał przyglądał się im leżąc na łóżku zasłoniętym kotarą. Gdy wypili i przekąsili Zieliński pochylił się do ojca i ściskając mu ramię powiedział na poły poważnie na poły żartobliwie:

— *Jurek, powiedz mi szczerze, musiałeś go tak mocno bić?*

Ojciec skrzywił się jak po occie.

— *Daj spokój Antek. Nie ma do czego wracać. Było, minęło. Byszewski wyliże się z tego, na pewno Lepiej wypijmy, bo nawet nie wiesz, że jest okazja.*

Michał usłyszał uradowany głos matki:

— *Jurek dostał wiadomość, że zostaje kierownikiem w sklepie.*

Michał zdążył tylko pomyśleć, że powinien się bardzo ucieszyć. Zasnął ściskając w ręce kawałek fioletowej kotary.

(Fragment powieści pt. „Wyrok")

WIECZNIE MŁODA

„Przybyła do Łodzi, by znów, pomimo wszystko, otworzyć konto żywe..." — tymi słowami powitał dawną wileńską „Lutnię" Jerzy Wyszomirski, recenzent „Dziennika Łódzkiego", gdy ta późną jesienią 1945 roku zaprezentowała swą pierwszą, przygotowaną dla widzów naszego miasta, premierę.

Tytuł pierwszej po wojnie łódzkiej premiery muzycznej — „Podwójna buchalteria" — mógł istotnie natchnąć autora cytowanej na wstępie fragmentarycznie recenzji do szerszych uogólniających refleksji. Martwych kont wojennych mieliśmy wtedy dużo, miała je także i „Lutnia", ale miała też spontaniczną chęć wypełnienia radością, muzyką i śpiewem nowych, otwierających się dni. Ludziom, którzy przez pięć wojennych lat oprócz dotkliwych strat i głodu fizycznego cierpieli także głód polskiego słowa, polskiego teatru, „Lutnia" niosła w podarunku piękne melodie i pogodny uśmiech, ten zaś ścierał z ich twarzy cienie codziennych trosk, umilał trud budowania.

Dziś łódzka scena muzyczna ma trzydzieści pięć lat, zobowiązującą nazwę Teatru Muzycznego, wiele cennych doświadczeń i sto trzydzieści premier na swym artystycznym koncie. Swoje trzydziestopięciolecie uczciła ona inscenizacją operetki Emmericha Kalmana „Księżniczka czardasza". Dawno nie oglądaliśmy na łódzkiej scenie „klasycznej" operetki, dobrze się więc stało, iż dyrekcja Teatru Muzycznego taką właśnie decyzję repertuarową podjęła „ku czci" i „z okazji". Miłośnicy klasycznej operetki mogą tą inscenizacją czuć się usatysfakcjonowani także i z tego powodu, że ma ona otwierać nowy okres panowania na łódzkiej scenie tego właśnie, tak bardzo i szeroko lubianego gatunku. Cokolwiek bowiem powiedzielibyśmy o schematyzmie i konwencjonalności klasycznej wiedeńskiej operetki, to przecież ma ona ten niepowtarzalny urok, prawdziwy wdzięk i pełną powabu elegancję, której brak niestety większości współczesnych komedii muzycznych nie mogących zatuszować tej słabości ani nowszymi rytmami, ani stokroć większą odwagą tekstów, a która to elegancja im bardziej odległa, tym silniej przyciąga naszą uwagę i tym większą budzi za sobą tęsknotę.

Mają też klasyczne operetki tę niezaprzeczalną nad swymi młodszymi siostrami — owymi komediami muzycznymi — niepodważalną przewagę, iż stanowiące o ich urodzie melodie dzięki swej artystycznej wartości i nieskazitelności konstrukcji opierają się próbie czasu wprost proporcjonalnie do łatwości, z jaką zdobywają sobie miejsce w naszej pamięci. Mogą mi miłośnicy komedii muzycznych i musicali podejmując się ich obrony wskazać rownie niezaprzeczalne walory dzieł takich jak: „West side story", „My fair lady" czy „Oklahoma", ale te akurat nie trafiają na nasze sceny (dewizy!), są poza tym utworami, które niczym pierwsze jaskółki ciągle niestety nie uczyniły wiosny w szarej rzeczywistości naszej produkcji tego gatunku. Wszystkim oglądanym przeze mnie rodzimym musicalom (poza może jedynym „Cieniem" Małeckiego i Młynarskiego) daleko było niestety do owych ideałów, które chętnie oglądalibyśmy na naszych scenach. Powielane wzory będące słabymi kopiami pierwowzorów, watłe konstrukcje fabularne, słabiutkie, a częstokroć graniczące z trywialnością teksty — oto owa szara rzeczywistość. Jeśli zaś kompozytorzy klasycznych operetek po jakimś frenetycznym sukcesie swych pierwszych dzieł już wszystkie następne tworzyli wychodząc z tych samych założeń konstrukcyjnych rozwiązań fabularnych i melodycznych, to przecież — jak w przypadku Kalmana — powstawały w ten sposób dzieła nie gorsze, ale za to umiejętnie wychodzące naprzeciw raz rozbudzonym i na ogół rodzącym się z dobrego smaku i wysokich wymagań upodobaniom publiczności. I tak po „Księżniczce czardasza" ujrzała światła rampy „Hrabina Marica", „Bajadera" i inne operetki tego kompozytora. „Księżniczkę czardasza" jednak, jako pierwowzór twórczych możliwości Kalmana i jego dzieło najdoskonalsze zaprezentował nam zespół Teatru Muzycznego, na swój wieczór jubileuszowy. Realizację tego dzieła dyrekcja tej sceny powierzyła Jerzemu Woźniakowi, ten zaś mając duże doświadczenie w rozrywce telewizyjnej, ale będąc debiutantem w „żywym" teatrze uczynił to, co z „Księżniczką czardasza" zrobić można było najlepszego, to znaczy zaproponował dla niej kształt szlachetny i czysty bez zbędnych udziwnień i niestosownych, ale często stosowanych przez młodych twórców „unowocześnień", które rzadko klasykę unowocześniają, często natomiast odkształcają formę niezbędną dla specyficznej żywotności tego gatunku. Mądra decyzja reżysera pozwoliła smakować nam ów zapomniany urok i z lekka staroświecki, ale ciągle ujmujący wdzięk tego dzieła. Co zaś Jerzy Woźniak, pozostawiając „Księżniczkę czardasza" w jej nieskalanym kształcie zrobił dla dobra tej operetkowej sprawy dobrego, to to, że nie próbując — jak już mówiłam — zbliżyć jej do nas, nas właśnie, jakby zmieniając nieco kierunek niezbędnych dla jej poznania działań zbliżył do utworu Kalmana. To właśnie wydaje mi się zasługą reżysera najważniejszą i największą, obok artystycznego umiaru i smaku z jakim rozwiązał poszczególne sytuacje i z jakim prowadził bohaterów przez prawdziwe meandry ich uczuć i istotnie mało prawdopodobnych, ale zabawnych zdarzeń i nieporozumień. Udało się reżyserowi, zwłaszcza dzięki pierwszej scenie stworzyć wśród widzów nastrój taki, jaki musiał towarzyszyć bywalcom wiedeńskich teatrzyków, gdzie nim panie i panowie grać zaczynali, odbywały się dyskretne (ze sceny) powitania z publicznością, którym towarzyszył szmer tak właśnie nazbyt długo strojonych przez muzyków instrumentów, powolne przyciemnianie stojących na proscenium lamp, które w odpowiednim momencie „podkręcone" oświetlały z niecierpliwością oczekiwanego kankana. Zabiegi to niby drobne i pozornie mało znaczące, ale właśnie nastrój widza uzależnia powodzenie spektaklu. I dobrze, że od jego budowy rozpoczął swe dzieło reżyser widowiska. Całość przygotowana przez niego sprawia miłe wrażenie lekkości i wdzięku. W urodzie spektaklu ma swój olbrzymi udział twórca scenografii bogatej, ale szlachetnej — Marian Stańczak. Scena Teatru Muzycznego w proponowanej przez niego zabudowie nabrała głębi i „powietrza", a kostiumy pań podkreślały ich urodę.

„Księżniczka czardasza". Elżbieta Ptak — Sylvia i Edward Kamiński — Edwin.
Foto: Jacek Kopeć

Wykonawcy premierowego spektaklu spisali się doprawdy znakomicie. W tytułowej roli Sylvi Varescu — „Księżniczki czardasza" wystąpiła Elżbieta Ptak — nienaganna, a miejscami wręcz błyskotliwa wokalnie ujęła widzów urodą, niezłym aktorstwem i kulturą sceniczną. Mamy więc w osobie Elżbiety Ptak świetną kontynuatorkę tradycji wielkich operetkowych gwiazd, które samym pojawieniem się na scenie wzbudzały szmer zachwytu i oczekiwania. Ta wielce utalentowana młoda śpiewaczka umiejętnie i ze świadomością osiąganych rezultatów dysponuje środkami, którymi natura tak hojnie ją obdarzyła. Znakomicie kontroluje wszystkie reakcje publiczności, której nastrojem potrafi kierować zachowując zawsze ów niezbędny w operetce półdystans do kreowanej przez siebie postaci. Edward Kamiński od lat najzasłużeniej dzierżący palmę pierwszeństwa wśród solistów Teatru Muzycznego wcielił się w postać księcia Edwina i świadomie uczynił wszystko, by swojemu bohaterowi nadać cechy określane mianem „operetkowości". Był więc „zabójczo" urodziwy, „zabójczo" zakochany. Szkoda tylko, że niedyspozycja gardła nie pozwoliła mu całej partii Edwina zaśpiewać równie czysto, jak w pierwszym akcie. Znamy jednak tego solistę od lat, znamy jego możliwości głosowe i kulturę wokalną i możemy być pewni, że następne przedstawienia „pójdą gładko". Z licznej grupy wykonawców wspomnieć warto o ładnie śpiewającej i urodziwej Renacie Rentowskiej (Stazi), tworzącej charakterystyczną rolę Anhildy Irenie Harasim, i o odtwórcy roli Boniego — Jerzym Czaplińskim, który zda się, iż od ostatniej swojej roli na scenie tego teatru poczynił niejakie postępy, choć pracę nad zwiększeniem nośności głosu i pogłębieniem jego brzmienia winien ten młody artysta nadal kontynuować. Mniej niż zwykle podobał mi się natomiast Zbigniew Waloch, który pragnąc przydać swemu głosowi brzmienia starszego od siebie bohatera, zakłócił jego czystość. Stanisław Marian Kamiński, Jan Padkowski i Czesław Jarosiewicz kontynuują serię ról charakterystycznych i przyznać trzeba, że czynią to z coraz większym powodzeniem. W niesłychanej mnogości rozmaitych gatunkowo tańców zaprezentował się balet Teatru Muzycznego (choreografia Krystyny Gruszkówny). Chór obdarzony większymi niż zazwyczaj zadaniami aktorskimi i wokalnymi wywiązał się z nich dobrze (kierownictwo chóru: Roman Paniuta). Kierownictwo muzyczne spektaklu sprawował Mieczysław Wojciechowski, który też poprowadził sobotnie, premierowe przedstawienie, dbając o czystość brzmienia orkiestry bardziej nieco, niż o konieczne tempo całości. Tempa tego — mam nadzieję — spektakl nabierze w czasie codziennej eksploatacji. Miłośnikom klasycznej operetki polecam go serdecznie.

EWA PANKIEWICZ

OPERETKA

SUBSTYTUT „KORDIANA"

Sto pięćdziesiątą rocznicę wybuchu powstania listopadowego skwitowała Telewizja Polska w różnorodnych formach programowych. Teatr TvP wystąpił z premierą widowiska Jerzego Mikke „Niebezpiecznie, panie Mochnacki". Program ten zaprezentowany nam został jako jeden z „półkowników", czyli że taśma z nagraniem przeleżała kilka lat na półce, nie znalazłszy swego czasu uznania w oczach niesławnej pamięci kierownictwa radiokomitetu.

Przymusowa karencja półkowa nie jest oczywiście równoznaczna z patentem na wysoki poziom artystyczny spektaklu. Mimo sprawnej reżyserii Jerzego Krassowskiego i doborowej obsady ról przez czołówkę aktorstwa krakowskiego z Janem Nowickim (Mochnacki), Eugeniuszem Fuldem, Romanem Stankiewiczem i innymi, ten wieczór teatralny nie sprawił mi szczególnej satysfakcji, prawdopodobnie głównie ze względu na mielizny tekstu.

Tu na marginesie uwaga. Szkoda, że sztuka Mikkego wyparła z programu zapowiadanego uprzednio „Kordiana" w reżyserii Gustawa Holoubka z Markiem Kondratem jako tytułowym bohaterem, Piotrem Fronczewskim w roli Cara i Zbigniewem Zapasiewiczem w roli Wielkiego Księcia. Zapowiadało się widowisko dużego formatu, tym bardziej że ów najwspanialszy dramat Słowackiego w każdej sytuacji naszego narodu, a zwłaszcza w tych trudnych, jak dzisiejsza, niezmiennie wstrząsa sumieniami Polaków. Nie wyjaśniono nam przyczyn, dla jakich „Kordian" wypadł z programu. Czy może znów asekuranctwo?

Spełnianie funkcji substytutu wobec „Kordiana" stawiało sztukę Mikkego od początku w niewygodnym położeniu. Byłoby jednak nielojalnością oceniać tekst sztuki „Niebezpiecznie, panie Mochnacki" w kontekście „Kordiana". W tej konkurencji każdy przegra ze Słowackim. Skupmy się więc na samej sztuce Mikkego.

Mochnacki jako inspiracja literacka to postać arcyciekawa. Przypomnijmy Lechonia: „Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie /I z wolna jął próbować akord po akordzie...". W związku z ostatnią rocznicą odbyła się w Poznaniu prapremiera współczesnej sztuki Bohdana Urbankowskiego „Mochnacki — sny o ojczyźnie".

Autor wspomnianej właśnie wyżej sztuki w rozmowie telewizyjnej zwrócił uwagę na pęknięcie w postaci Maurycego Mochnackiego. Ten radykalny działacz powstańczy i płomienny publicysta miał w swej przeszłości czyn, który na całe życie wypełnił go poczuciem winy. Fakt ten jest zresztą i dla Mikkego punktem wyjścia dla zawiązania dramatycznego sztuki.

Otóż aresztowany w 1823 roku przez władze Królestwa Polskiego za działalność konspiracyjną dziewiętnasto- albo dwudziestoletni młodzieniec (istnieją spory co do roku urodzenia Mochnackiego) załamuje się pod presją policji i podpisuje dokument, w którym odżegnuje się od swoich przekonań i deklaruje lojalność wobec carskiego władcy. Za tę cenę uzyskuje wolność.

Kompromitujący dokument spoczywa wprawdzie głęboko w dossier policyjnym, ale w dobie listopadowej rewolucji zostaje ujawniony. Za błędy młodości trzeba płacić, ludzie rzadko wykazują w tym względzie wyrozumiałość. Tak więc i Mochnacki przeżywa ciężkie chwile, gdy podniecony tłum wyszukuje na ulicach Warszawy kandydatów do wieszania na latarni.

Fakty biograficzne zostały przez Mikkego wykorzystane. Nie udało mu się natomiast ukazać dramatu Mochnackiego jako człowieka. Zbyt dużo w sztuce doktrynerstwa, werbalizmu, a zbyt mało pogłębionej analizy psychologicznej. Po prostu nie Mochnacki stanowił główny punkt zainteresowania Mikkego, ale mechanizm polityczny nocy listopadowej, intrygi księcia Druckiego-Lubeckiego, ślepota polityczna i zadufanie generała Chłopickiego, słabość i zmienność nastrojów Lelewela.

Chcąc dać jakąś szerszą interpretację wydarzeń towarzyszących wybuchowi powstania, zagubił Mikke swego głównego bohatera, przestał interesować się jego psychologicznym pęknięciem, umniejszając go jak gdyby i stawiając wobec widza w dość dwuznacznym świetle. Wydaje mi się, że skoro autor nie zamierzał ukazać pogłębionego dramatu osobistego Mochnackiego nie powinien był tak eksponować jego młodzieńczego grzechu na początku sztuki.

O co bowiem chodzi Mikkemu? O skompromitowanie Mochnackiego, o odarcie go z nimbu bohatera nocy listopadowej? Chyba nie. Mochnacki całym swym krótkim, gwałtownym życiem oczyścił się z winy, jaką był ów nieszczęsny dokument policyjny. Ale ten wniosek nie wynika ze sztuki Mikkego. Przynajmniej nie wynika jednoznacznie.

Wydaje mi się, że autor spróbował w swym tekście metody tzw. odbrązawiania historii, tak modnej przed kilkudziesięciu laty. Odbrązawiało się Mickiewicza, wysuwało ciężkie zarzuty pod adresem Stanisława Brzozowskiego. Nie powinniśmy tworzyć mitów ani terenów tabu w dziejach ojczystych, ale korzystajmy z nich obiektywnie, nie popadajmy w antymitologię.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TELEWIZJA

O „KALENDARZU UKRAIŃSKIM"

Przed kilkunastu laty poznałem w Kijowie kilku tłumaczy poezji polskiej. W rozmowie jeden z nich wspomniał o swym eseju poświęconym sprawom translatorskim. Temat zainteresował mnie. — Gdzie można znaleźć ten artykuł? — spytałem. Odpowiedź mnie zaskoczyła. Rozprawka, jak się okazało, zamieszczona została wprawdzie w wydawnictwie ukraińskim, ale nie w ZSRR, a — w Polsce.

Takie było moje pierwsze spotkanie z **Kalendarzem Ukraińskim**, bo tam właśnie ukazał się wspomniany esej. Spotkanie to przerodziło się w długotrwałą i systematyczną znajomość.

I oto leży przede mną kolejny rocznik — 1980. Chciałbym przed końcem roku zwrócić nań uwagę, w myśl zasady „Lepiej późno niż nigdy". Jest już od dawna nieosiągalny ale może moje refleksje wzbudzą zainteresowanie rocznikami następnymi, może rzucą pewne światło na działalność dużej grupy społeczności ukraińskiej w Polsce, zaangażowanej w sprawę umocnienia więzów między oboma narodami. Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne w Polsce — a ono firmuje ukazane wydawnictwo — warte jest zaprezentowania w specjalnym artykule. Ja ograniczę się do przedstawienia treści ostatniego wydania **Kalendarza.**

Rozpoczyna go kalendarium, w którym wyszczególniono dużą liczbę jubileuszowych dni roku, wśród nich wydarzenia historyczne oraz daty związane z życiem działaczy nauki, literatury i sztuki — zwłaszcza polskich i ukraińskich. Owe jubileuszowe daty są swoistą zapowiedzią treści sześciu pierwszych rozdziałów (których tytuły podaję w tłumaczeniu z ukraińskiego): **W PRL, Jubileusze, Wydarzenia historyczne, Życie kulturalne, Nauka i sztuka, Literatura.** Dwa następne — a zarazem ostatnie — rozdziały zawierają utwory dla dzieci oraz materiały z dziedziny rolnictwa. Jest ich więc w sumie osiem, a uwzględniają specyfikę życia Ukraińców w Polsce i odzwierciedlają różnorodne powiązania między naszymi narodami — ideologiczno-polityczne, naukowe, kulturalne — zwłaszcza zaś literackie. Są to sprawy bardzo istotne i ze wszech miar godne uwagi. Z konieczności zatrzymam się tylko na niektórych z nich, bliskich mi z dwóch względów: jako łodzianinowi i jako człowiekowi, w pewnym stopniu związanemu z nauką i literaturą.

Zacznijmy od eseju ukrainisty doktora Jarosława Hryckowjana, który dzieli się spostrzeżeniami na temat polskich przekładów klasyków literatury ukraińskiej w pierwszym dwudziestoleciu powojennym. Chodzi o pisarzy, których dzieła dawno i na stałe weszły do skarbca kultury bratniego nam narodu — takich jak Taras Szewczenko, Iwan Franko, Łesia Ukrainka, Mychajło Kociubyński i wielu innych. Należy zgodzić się z konkluzją autora, że mimo osiągnięć polskich tłumaczy klasyka ukraińska jest u nas bardzo mało znaną. Tym bardziej cieszy — a pisząc to wychodzę za ramy prezentacji **Kalendarza** — niedawne ukazanie się na półkach księgarskich pierwszego w Polsce wyboru dzieł Łesi Ukrainki, opracowanego przez łodzianina Tadeusza Chróścielewskiego.

Dwa inne artykuły poświęcono sylwetkom uczonych, dobrze znanych z zasług na niwie słowiańskich powiązań literackich, w szczególności polsko-ukraińskich. Autorem pierwszego z nich jest długoletni redaktor naczelny **Kalendarza**, Antoni Serednicki (używający pseudonimu literackiego Antin Werba). Bohater jego eseju to jeden z założycieli i animatorów naszej powojennej slawistyki, profesor Marian Jakóbiec — **koryfeusz ukrainistyki polskiej**, jak słusznie nazywa go autor.

Z kolei docent Florian Nieuważny, kierownik katedry filologii ukraińskiej Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawia sylwetkę cenionego polonisty kijowskiego, profesora Hryhorija Werwesa. Jest to autor wielu studiów i zagadnień literatury polskiej i polsko-ukraińskich powiązań literackich — wśród nich monografii o Mickiewiczu, Słowackim, Orkanie i — z naszych współczesnych — Jarosławie Iwaszkiewiczu.

Wypada dodać, że są to eseje jubileuszowe, bowiem Marian Jakóbiec ukończył w tym roku 70 lat, a Hryhorij Werwes — 60. Niechaj więc dostojni jubilaci przyjmą serdeczne życzenia i od piszącego te słowa.

Wspomnę teraz po raz drugi nazwisko Tadeusza Chróścielewskiego. Tym razem chodzi o spotkanie z poetą na stronicach **Kalendarza.** Niejako pierwszą częścią tego spotkania jest wiersz Chróścielewskiego **Krakowskie Przedmieście** w przekładzie na język ukraiński Iwana Złatokudra. Tłumaczenie po mistrzowsku przekazuje kształt wiersza i poetycką refleksję autora oryginału nad historią naszej stolicy.

Chróścielewski „odwdzięczył się" za ten przekład swoim ukraińskim kolegom, tłumacząc kilka ich wierszy. Duże wrażenie wywarła na mnie jego translacja **„Ballady o peruce Katarzyny II** znanej poetki ukraińskiej Liny Kostenko — ballady bliskiej, jak sądzę, sercu tłumacza, bo pełnej filozoficznej zadumy nad wielkością i marnością życia i dziejów ludzkich. Jest to przekład piękny i sugestywny; nie mogąc przytoczyć go w całości zacytuję przynajmniej końcową, puentującą strofę:

Czy tobie, o księżniczko Anhalt-Zerbska,
Co wydźwignęłaś się na carski prestol,
A tabakierkę miałaś zamiast serca,
Choćby przez chwilę krótką przez myśl przeszło,
Że gdyby czas niczego nie dochował
Z dzwonu łańcuchów i krzyku tortury,
Będą wciąż płonąć oczy Pugaczowa
Nad pudrem stromej twojej koafiury?!

W dziale **Literatura** zamieszczono ponadto ukraińskie przekłady wierszy Jana Kochanowskiego i Aleksandra Błoka, uczciwszy w ten sposób dwa znakomite jubileusze urodzin: 450-lecie polskiego i 100-lecie rosyjskiego poety, a poza tym translacje utworów (przeważnie poetyckich) niektórych przedstawicieli współczesnej literatury polskiej, oraz oryginalne utwory pisarzy ukraińskich, w większości tych, którzy mieszkają w naszym kraju. To jest niejako jeden nurt. Nurt drugi, którego prezentację rozpocząłem nieco wcześniej **Balladą o peruce**, to polskie przekłady z ukraińskiego. Tu najpełniej reprezentowane są tłumaczenia wierszy Ukraińców zamieszkałych w Polsce, nie brak jednak prób spolszczenia klasyków, przede wszystkim Szewczenki. Ciekawe, że niektórzy autorzy łączą oba te nurty, tłumacząc zarówno poezje ukraińskie na język polski, jak i polskie na ukraiński.

Dużo jeszcze ciekawych materiałów zawiera omawiany rocznik Kalendarza — ale pisanie o wszystkim mijałoby się z celem. A jest nim zarekomendowanie czytelnikowi godnego uwagi, a mało znanego i trudno dostępnego wydawnictwa.

ZYGMUNT GROSBART

ŹRÓDŁA

LEWYM OKIEM

MOŻNA KONKRETNIEJ

W pisanych ostatnio felietonach parę razy wyrażałem nadzieję, że ostra i pełnym głosem brzmiąca krytyka, jaką słyszymy i czytamy co dzień, nie wyczerpie się negliżowaniem spraw przeszłości, że zajmie się także rzeczywistością bieżącą, że będzie jej stale towarzyszyć jako niezbędny, twórczy element wszelkiego działania się. Czy na tym ma polegać odnowa, że dawniej nie można było krytykować tamtej władzy, a teraz już wolno krytykować... tamtą władzę? Że wtedy wielu dziennikarzy pisało pod dyktando różnych „decydentów" (modne słowo!), a teraz też ochoczo godzą się to robić, tyle że dyktującym byłby ktoś inny?

Pod tym względem zgadza się ze mną Lucjan Bogusz w swoim liście pt. „Wszyscyśmy?", zamieszczonym w „Odgłosach" z 16. XI. br., a nawiązującym do mojego felietonu z dnia 9. XI. br. Zgadza się, ale tylko przez chwilę. Potem zaczyna się denerwować i przypisywać mi różne brzydkie rzeczy, wobec czego muszę mu odpowiedzieć.

Redaktora Bogusza niepokoi takie moje zdanie: „Pisze oto Ćwiek o jakiejś dziennikarce, która klaskała pod drzwiami, bo jej nie wpuszczono, o czym później napisała z wielką dumą w „Kulturze". Czy nie można konkretniej?".

Można, proszę bardzo. W „Kulturze" nr 40 (903) z 5. X. br. Ewa Berberyusz, w artykule pt. „Drugi krok", w którym miał się znaleźć reportaż z narady związkowej w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Przemysłu Mięsnego w Gdańsku, relacjonuje: „Ktoś z głębi sali (drelich, beret) wstaje i mówi: — „Stawiam wniosek o wykluczenie z naszego spotkania przedstawicielki prasy".

„Głosowanie: kto jest przeciw obecności prasy? Las rąk. Kto jest za? W górę idzie tylko jedna ręka".

„Wychodzę ponaglana słowami nie mogącego ukryć radości dyrektora Zarządu, z którym przez dwa dni — o ironio losu — toczyłam batalię nie tylko o możność wejścia na tę salę, ale o jakikolwiek kontakt z załogą".

I kończy Ewa Berberyusz tak: „...tłumiąc urazę biję brawo tym, którzy mnie upokorzyli, z przeświadczeniem i nadzieją, że ich działalność nie jest zjawiskiem odosobnionym i że wszyscy wchodzimy w rytm drugiego kroku naszego wspólnego marszu".

Można by z tych słów wyczytać nawet i to, że autorka niedoszłego reportażu ma nadzieję na upokarzanie dziennikarzy i usuwanie ich z zebrań. Ona tak na pewno nie myślała, ale czy nie można tak zrozumieć przytoczonych słów? Wracajmy jednak do Lucjana Bogusza. Zapytuje na przykład: „Co Ćwiek ma na myśli pisząc o dyskusji „bez żadnego tematu", która ukazała się na całej kolumnie w „Głosie Robotniczym"? Kiedy to było?".

Proszę bardzo. W numerze z 13. X. br. zapełnia „Głos Robotniczy" całą kolumnę wieloosobową rozmową, dając do niej taki wstęp: „Dział partyjny „Głosu Robotniczego" zorganizował w Łódzkich Zakładach Radiowych „Fonica" robotniczo-dziennikarską dyskusję. **Nie ustaliliśmy żadnych tematów dla tego forum"** (podkreślenie moje).

Rzeczywiście, rozmówcy poruszają kilkadziesiąt spraw nie dyskutując o żadnej, aż wreszcie jedna z obecnych osób, monter Janina Wargowiak, mówi (cytuję wciąż za „Głosem Robotniczym"): „Mnie się wydaje, że ta dyskusja do niczego nie doprowadzi..."

Mnie się też tak zdawało i podtrzymuję swoje zdanie z felietonu z dnia 9. XI. br.: „Uważałbym za stratę czasu wielogodzinną dyskusję bez żadnego tematu".

Potem następuje w liście Lucjana Bogusza podsumowanie Ćwieka: „Co sądzić o metodzie polegającej na rzucaniu aluzyjek, robieniu docinków nie wiadomo komu i za co. A co sądzić o metodzie felietonisty, który bierze zdanie w cudzysłów, sugerując że to cytat? Nowa to metoda, czy my już ją skądś znamy?".

Oczywiście należało się natychmiast domyśleć, że znamy to z epoki donosów, którą Ćwiek w całej rozciągłości pragnie oto kontynuować. Ale czy to nie właśnie w tamtej epoce posługiwano się zwrotem: „skąd my to znamy?".

Mam nadzieję, że nie może już być mowy o aluzyjkach i docinkach nie wiadomo komu i za co. Myślę też, że zdanie redaktora Bogusza: „Ostatnio wokół dyrektorów wytworzyła się niezbyt miła atmosfera, jakby to tylko oni byli winni wszystkim naszym kłopotom. Jeśli nawet ponoszą jakąś część winy, to myśmy wszyscy godzili się, aby tak było..." — zawiera taki sens:

— nie tylko dyrektorzy są winni wszystkim naszym kłopotom,

— ewentualnie („jeśli nawet...") ponoszą jakąś część winy, ale tylko „jakąś", czyli nie taką znowu wielką,

— cała reszta winy obciąża nas wszystkich, bośmy się godzili.

Ten właśnie sens streściłem w swoim felietonie, przeciwstawiając mu pogląd, że obwinianie wszystkich jest równe generalnej amnestii. Redaktor Bogusz odmówił mi prawa do wypowiadania takiego poglądu. „Na jakiej podstawie? — pyta. — Czy może Ćwiek sam krzyczał gromkim głosem i był bez przerwy p r z e c i w. Nie słyszałem, nie widziałem".

Piszę felietony „Lewym okiem" od piętnastu lat. Proponuję grę towarzyską: niech redaktor Bogusz przejrzy blisko osiemset tych felietonów i znajdzie w nich jeden z „propagandą sukcesu", z nabożnym zachwytem, z wazeliną. Nie mam gromkiego głosu, ani do protestów, ani do hymnów. Ale mówiłem zawsze w ł a s n y m głosem, będę to czynił nadal i bardzo bym chciał mieć dokoła siebie ludzi, nie przechodzących zbyt wielu i zbyt częstych mutacji.

Aha, jeszcze jedno. Redaktor Bogusz nazwał mnie swawolnym Dyziem, który narozdawał prztyków i poszedł do domu chichocząc z radości. Na to zdanie już nie odpowiadam. Niewykluczone przecież, że wśród licznej rzeszy czytelników mojego szanownego adwersarza są i tacy, którym taki styl polemiczny odpowiada.

ĆWIEK

TELEWIZJA

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

I to słowo, w języku dnia dzisiejszego, nabrało nowych treści, wyostrzyło swoje znaczenia, stało się hasłem kluczowym w formułowaniu diagnoz społecznych, uległo swoistej, semantycznej rewaloryzacji. Wśród wielu innych słów.

Odpowiedzialność, a zatem „konieczność, obowiązek moralny lub prawny odpowiadania za swoje czyny i ponoszenia za nie konsekwencji, odpowiadania przed kimś, wobec kogoś za coś. Inną odpowiedzialność ciążyła na Piotrze Wysockim, trzydziestoletnim podporuczniku w dniach listopada 1830 roku, inna była udziałem Maurycego Mochnackiego, który przystępował do powstania mając lat 27, jeszcze inna Lelewela, Niemcewicza, Chłopickiego i Skrzyneckiego, generalicji ojców, którzy „wybicie się na niepodległość" realizowali. Mówił o tym spektakl Jerzego Krasowskiego według sztuki J. Mikkego, nadany w TvP po siedmioletnim leżakowaniu.

Dlaczego podkreślam różnice pokoleniowe? Pytanie przecież retoryczne. Wystarczy poparzeć na młode twarze tych, którzy zasiadają teraz w prezydiach, podpisują porozumienia, tych, którzy zaczęli mówić, działać, reformować. Temu pokoleniu poświęcił swoją wypowiedź profesor Afeltowicz w sobotnim programie „Studia 8", mówiąc o odwadze cywilnej młodych, o ich instynkcie ochrony rzeczywistych interesów narodowych, o goryczy ubezwłasnowolnienia, o ich aspiracjach nie potwierdzonych przez rzeczywistość. Mówił także, że to właśnie pokolenie jest gwarancją wyjścia z impasu, bez jego udziału nie ma szans na powodzenie odnowy. Reforma dla wielu jest zagrożeniem, zwłaszcza dla tych, którzy przekroczyli próg własnej niekompetencji. Pryncypium reformy, to znaczy samodzielność i samorządność stanie się weryfiktorem tego ‚kto i do czego się nadaje". Miarą człowieka będą jego kwalifikacje, zawodowe i moralne, a nie tak zwana nomenklatura (patrz tekst Jerzego Palki w „Głosie Robotniczym" z 24 listopada), czyli orbita stanowisk, z której nie można wypaść. Właśnie ci z nomenklatury mają nadzieję, że wszystko się ułądzi, wróci do starej normy „pod podmuchem groźnych ostrzeżeń". Takie sytuacje przedstawiały również łódzkie „Spotkania w drodze" (sprawa pracownika zwolnionego z pracy za udział w Komisji Postulatowej) zrealizowane przez Jadwigę Wileńską i Krzysztofa Krubskiego.

Kręcił się niespokojnie dziennikarz rozmawiający z profesorem Afeltowiczem, spoglądał znacząco na zegarek rozmówcy Macieja Szumowskiego: trudno przyzwyczaić się do słów, które obecnie padają. A mówił Szumowski o wywiadzie jakiego udzielił „Gazecie Południowej" Stefan Bratkowski po rozwiązaniu sprawy Narożniaka i Sapety. Rozwiązanie to, precedens nie tylko prawny, ale i społeczny, dało Szumowskiemu asumpt do przekazania kilku uwag natury ogólnej na temat dziennikarza i publicysty. „Poręczenie społeczne" (Bratkowski uznał je za „krok do przodu", pani prokurator — „krok do tyłu"), rola jaką przyjął w tym sam Bratkowski, są widomym świadectwem jakie odpowiedzialne funkcje może wypełnić dziennikarz. Pisałem o tym w ubiegłym tygodniu.

Trzecim, po prof. Afeltowiczu i Szumowskim, ważnym głosem w telewizyjnych wystąpieniach minionego tygodnia była wypowiedź profesora Łopatki w programie „Umowa społeczna" (27 XI), także na temat odpowiedzialności w realizacji ustalonych porozumień. Zwrócił uwagę prof. Łopatka na jedno jeszcze zaognienie teraźniejszych konfliktów, które bierze się z licytacyjnego charakteru postulatów zgłaszanych przez związki branżowe, co bierze się z chęci odbudowania za wszelką cenę utraconego autorytetu. Mówił prof. Łopatka o innych jeszcze sprawach, równie istotnych. Czy te głosy są słuszne?

Reportaż, na którego niedostatki w TvP wielokrotnie narzekaliśmy, staje się najsilniejszym atutem telewizyjnego programu. Z minionego tygodnia trzeba wymienić przede wszystkim reportaż Krystiana Przysieckiego „?" z cyklu „Daleko i blisko", podejmujący na przykładzie tragicznego w skutkach pożaru w Górnej Grupie problem bazy materialnej naszego lecznictwa w ogóle. Także audycje Ewy Piątkowskiej pt. „Tragedia" z cyklu „Mówić nie mówić" (28.XI). Tu również jednostkowy przykład z gminy Ciężkowice stał się społecznie odpowiedzialnym uogólnieniem. Podobne refleksje nasuwały się podczas emisji (wspominam jeszcze raz, bo warto) „Spotkań w drodze". Wynika z tego, że przyczyny słabości reportażu minionego czasu tkwiły nie w braku myślenia, krytycznej obserwacji, czy dziennikarskiej odpowiedzialności właśnie, ale w mechanizmach obowiązującej wówczas propagandy. „Szminka dla ludzi jest, oczka podrobić..." — mówił brygadzista z Tomaszowa (w „Spotkaniach w drodze"), zatrudniony przy budowie fontanny, której rusztowania stoją o pięćdziesiąt metrów od autentycznych slumsów.

W piątek i w sobotę oglądaliśmy „Studio 8" po raz ostatni. Nie wiem dlaczego. Cokolwiek by o tym bloku programowym nie powiedzieć, dawał on przecież okazję do pełniejszego zaprezentowania się telewizyjnym ośrodkom regionalnym. Ciekawym jak to teraz będzie?

Po raz ostatni oglądaliśmy także „Waszyngton za zamkniętymi drzwiami" — jeden z najciekawszych seriali, jakie TvP w swojej historii przedstawiła. To co zobaczyliśmy zza zamkniętych drzwi Władzy, było pouczające nie tylko jako refleksja na temat burżuazyjnych systemów demokracji. Ktoś powiedział w ostatnim odcinku: Upadek prezydenta związany jest z erozją norm społecznych. Właśnie. A te metody Władzy! Współczuję Amerykanom!

GRZEGORZ GAZDA

SPORT

CZY TYLKO SPRAWA „OKĘCIA"?

Dzieci czasem powtarzają taką rymowankę: „oliwa choć nieżywa, zawsze sprawiedliwa i na wierzch wypływa". I tym razem wypłynęła. W porcie lotniczym „Okęcie". Szczegóły są już szeroko znane. Pisały o tym gazety, mówiono w radio, w telewizji. Przypomnę więc tylko, że tuż przed odlotem do Rzymu polskiej reprezentacji piłkarskiej okazało się, że Józef Młynarczyk — reprezentacyjny bramkarz, a także bramkarz RTS Widzew, jest pijany. Wrócił on o godz. 5 rano do hotelu „Riwiera", gdzie mieszka drużyna i do 7 rano, kiedy piłkarze stawili się na lotnisku, nie zdążył wytrzeźwieć. Trener Ryszard Kulesza postanowił wtedy, że Józef Młynarczyk do Rzymu nie poleci. Wówczas „zbuntowali się" trzej łódzcy piłkarze: dwaj klubowi koledzy Józefa Młynarczyka — Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda oraz piłkarz ŁKS — Stanisław Terlecki. Zagrozili, że jeśli Józef Młynarczyk do Rzymu nie poleci ,to nikt nie poleci i wtedy będzie jeden wielki kłops, bo przegramy z Maltą walkowerem, a poza tym stracimy mnóstwo dolarów. Ten fakt, zdaje się, był głównym powodem troski działaczy PZPN obecnych na lotnisku. I piłkarze dobrze o tym wiedzieli. Ryszard Kulesza w końcu ustąpił, samolot nie mógł czekać, bramkarz, Józef Młynarczyk, poleciał do Rzymu wraz z resztą ekipy, a smutni działacze PZPN poszli do domu. No i zaczęło się!

Stanowczo RTS Widzew nie ma szczęścia do bramkarzy. Najpierw była sprawa Stanisława Burzyńskiego, a teraz jest sprawa Józefa Młynarczyka, do której dołączyli się Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda. Ze Stanisławem Terleckim kłopoty ma ŁKS, który do tej pory nie wypowiedział się w sprawie swego zawodnika. RTS Widzew, jeszcze przed decyzją PZPN, zawiesił swoich zawodników i zażądał ich powrotu do Polski, co PZPN potwierdził swoją decyzją. Stanisław Terlecki też do Polski wraca. Ciekawe, kto wyjdzie na lotnisko na ich powitanie. A warto. Może dowiedzielibyśmy się przy tej okazji, co myśli „druga strona".

Decyzje zapadły. Ale ja mam nadal wątpliwości. I chyba nie ja jedna. Dlatego zadam kilka pytań.

Po pierwsze — dlaczego sprawą pijanego Józefa Młynarczyka nie zajęto się jeszcze w hotelu „Riwiera", skoro Ryszard Kulesza, oczekując piłkarzy na lotnisku, przyznał, że dowiedział się o tym jeszcze w domu?

Po drugie — co robili inni działacze PZPN, którym powierzono opiekę nad piłkarzami? Jak stwierdzają świadkowie, decyzję pozostawiono Ryszardowi Kuleszy. Jaka jest więc ich odpowiedzialność i kompetencje?

Po trzecie — czy to pierwszy raz zdarzyło się, że piłkarze wyjeżdżali lub wracali z zagranicy w stanie nie zupełnie trzeźwym? Krążyły przecież na ten temat liczne opowieści. Coś się mówiło po słynnym laniu zafundowanym naszym piłkarzom przez drużynę NRD, coś się mówiło o sprawie holenderskiej, coś się opowiadało o innych wydarzeniach. Gdyby „starcie na Okęciu" zdarzyło się wiosną tego roku też pewnie krążyłoby jako plotka wśród kibiców.

Po czwarte — w jakim świecie żyją piłkarze? Bo to jest chyba najważniejsze. Czy nie zdają sobie sprawy z tego, co wokół nich się dzieje? Co o nich myśli społeczeństwo? W jakiej sytuacji jest kraj? Czy nadal uważają, że wolno im postępować wedle własnego widzimisię? Czy nadal sądzą, że żyją w świecie wyizolowanym, w którym wszystko jest dla nich, a oni nic nie muszą dawać społeczeństwu, nie ponosić żadnych wyrzeczeń? No, to może ktoś im wreszcie otworzy oczy na otaczającą ich rzeczywistość. I może przy okazji poznamy ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność za dotychczasowy system wychowywania gwiazd sportu.

Bardzo na to czekamy. Jak również na to, że otrzymam odpowiedzi na moje pytania.

BOGDA MADEJ

PLASTYKA

TO JEST DOKUMENT

Mówi się, że dokument nie jest sztuką, gdyż jest rejestracją faktu. Dlatego sztuka nie stawia przed sobą zadań dokumentalnych, ani też nikt tego od niej nie żąda.

Ale sztuka także bywa dokumentem i to często o wiele bardziej przejmującym, niż reporterski zapis, zdjęcie czy film rejestrujący rzeczywistość. Bo sztuka bywa nie tyle dokumentem konkretnych faktów, co raczej określonej atmosfery, przeżywania uczuć, obsesyjnych myśli i towarzyszącego im stanu napięcia emocjonalnego artysty. Kiedy napięcie to trwa dłuższy czas i działa mobilizująco na wyobraźnię artysty, powstaje często też coś na kształt dokumentu — tylko innego, głębszego, choć nie bezpośredniego.

Przyszło mi to do głowy, kiedy oglądałem wystawę **Jerzego Mroza**, pokazaną w Salonie Sztuki Współczesnej. Na wystawę tę można spojrzeć jako na pokaz kolekcji nieźle malowanych technicznie obrazów i jako na popis dojrzałej sprawności warsztatowej malarza — figuratywisty. Tym bardziej, że Mróz w okresie dziesięciu lat swojej samodzielnej drogi twórczej dokonał w tym zakresie znakomitego postępu. Ale kiedy obserwować widzów, oglądających tę wystawę, widać, że nie sprawność warsztatowa artysty każe im kontemplować te obrazy w milczeniu, a nawet z wyraźnym napięciem.

Jest bowiem to malarstwo szczególnym dokumentem ostatnich lat, w których oficjalny, pełen sukcesów wizerunek rzeczywistości pozornej odstawał tak mocno od życia. W wizji artysty ujawniło się to jako rozsiew bolesny i głęboki, zaznaczony symbolami skazania człowieka na martwotę pragnień i dążeń, na smutek bytowania.

Obrazy te były malowane niewątpliwie z impulsu intuicji, z głębokiej u Mroza siły wewnętrznego odczuwania tych wszystkich ograniczeń, półprawd i fasadowych twierdzeń, poza którymi toczyć się musiało życie ludzi tęskniących do czegoś innego.

W obrazach Mroza tęsknota za swobodą w kształtowaniu swych losów zaznaczana jest otwartymi drzwiami prowadzącymi na światło ze smutnych, brudnych pomieszczeń, długich, monotonnych korytarzy, mrocznych podwórek. Świat zbudowany jest z chałupek, budek, plażowych koszy — obiektów tandetnych, ubogich i sezonowych, ale wyposażonych w znamiona oficjalnego porządku, ładu, solidności. Są to numery wypisane starannie na rozlatujących się ścianach, wiklinocej, choć przecież prowokacja intelektualna obrazów dzięki wyważonym, monochromatycznie przemyślanym kolorom nie jest gwałtowna ani natrętna.

„Bohaterowie" wielu obrazów Jerzego Mroza — banalne obiekty osadzone w pustej przestrzeni, jak zapadający się namiot, barak, rozpadająca się ze starości brona, zgniecione kubły na śmieci, zaopatrzone w znak oficjalnej nobilitacji. Są to owe numery lub też pocztowe „datowniki", nadające tym smutnym, banalnym przedmiotom wymiar urzędowej mocy, oficjalnej pompatyczności.

Z wielu obrazów Mroza wybija się oprócz smutku sarkazm, czasem ironia. Tryptyk „Labirynt" ukazuje nie budowlę kamienną, w której można błądzić latami, ale rozległe pole poznaczone słupami wytyczającymi plątaninę ślepej drogi. Słupki są nędzne, pokrzywione, zbutwiałe i można by sobie utorować wyjście jednym kopnięciem nogi, rozwalając tę całą fasadową barierę. Ale wewnątrz tej „budowli" urządzona została cała hierarchia „Głównych alei" i alei ubocznych, w których ma się dziać ważny rytuał. I ludzie w tym rytuale bezsensów uczestniczyć powinni, piętrząc bezsensy i mnożąc pozory. Usadowieni na kamiennych piedestałach, w pustym pejzażu, czekają bohaterowie tych obrazów na przesunięcie się o jedno miejsce w kolejce do samospełnienia. Na razie jednak zajmują pozycje dalekie — 65 lub jeszcze dalszą, trwając w pozie rytualnego oczekiwania.

Sztuka Jerzego Mroza jest sztuką gniewną, choć może się wydawać, iż przepełnia ją postawa pokory, pogodzenia się, determinacji. Wyraża ona bowiem nie tylko stan psychicznej stagnacji, w który wpadają ludzie pozbawieni większych perspektyw przez zewnętrzną rzeczywistość, ale jest też przykładem bierzącego oporu, którego siła jest częstokroć większa niż głoszenie gwałtownych protestów i ubieranie się w szaty rycerza wolności.

Rzadko można dziś zobaczyć dobrą sztukę polityczną, ponieważ wzory na jej uprawianie jakby zubożały. Mróz stworzył swymi obrazami wzór nowy, który autentycznie porusza wyobraźnię.

GUSTAW ROMANOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Infor RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto meraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów NBP XV odd lal w Warszawie nr 1153 201045 139, prenumerata ta jest droższa od i urzędy pocztowe. Cena prenu- wy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź, Druk: Prasowe Zakłady pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażomacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 33762. Zam. 2634. G-2.